

ZAGUBIONE DZIEDZICTWO

ZBIGNIEW FIETKIEWICZ

ZBIGNIEW FIETKIEWICZ

**ZAGUBIONE
DZIEDZICTWO**

WYDAWNICTWO WASPOS

Copyright © by Zbigniew Fietkiewicz
Wydawnictwo WasPos, 2018

Redakcja i korekta
Olga Kłos

Projekt okładki, skład i łamanie
Wydawnictwo WasPos

Wydanie I

ISBN 978-83-66070-32-5

Wydawnictwo WasPos
Warszawa, tel. 517312519,
kontakt@waspos.pl, www.waspos.p

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Podziękowania i parę słów wstępu.](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Interludium pierwsze](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Interludium drugie](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Interludium trzecie](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Interludium czwarte](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

Podziękowania i parę słów wstępu.

Drogi czytelniku, nim otworzysz bramy do fragmentu mojej nieokrzesej wyobraźni, chciałbym byś wpierw wysłuchał paru słów. Słów, w których wyjaśnię przyczynę, jak i inspirację do początku historii, której mam nadzieję, z przyjemnością doświadczysz.

Nie będę wymieniał wszystkich szczegółów czy niuansów, które poukrywałem pomiędzy wierszami tej książki. Pozostawię to wszystkim sprytnym oczom, które je wyłapią i zachowają dla siebie. Powiem tylko, że sam rdzeń historii ma swoje początki w różnych gatunkach twórczości, zaczynając przede wszystkim na wielu książkach, przechodząc przez niektóre seriale telewizyjne i kończąc na pojedynczych grach komputerowych, których byłem wielkim fanem. Przyjemność jaką mi przyniosły z pobudzania mojej wyobraźni, starałem się bezpośrednio przełożyć na, między innymi, tę historię. Teraz moim pragnieniem jako autor, jest oddanie części z tej przyjemności następnym osobom, które mam nadzieję, uda mi się zainspirować do wymyślenia własnych epickich światów.

Wszystko ma jednak swój początek, więc pozwolę sobie teraz podziękować różnych osobom, dzięki którym w różnych etapach pisania i tworzenia, nie ukończyłbym tej książki, ani nie wymyślił całego mojego pozostałego universum.

Zaczynając od początku muszę oddać honory mojej siostrze oraz mojej mamie. Ich poranne polityczne rozmowy, których musiałem słuchać z rana przy śniadaniu, za czasów początku studiów, chociaż niechętnie, to jednak stały się główną siłą napędową tworząc rdzeń i zarys do tej historii. Historii, która z czasem mam nadzieję w pełni ukaże się w świetle dziennym. W drugiej kolejności, muszę podziękować mojemu dobremu przyjacielowi

Adamowi, z którym prowadziłem długie wielogodzinne wywody i opowiadania na tematy wszelakie, przy jednym czy często dwóch lub więcej puszkach piwa. Głównie, jednak nasze tematy opierały się o wzajemnie wymyślane historie i opowiadania. Nasze rozważania same z siebie mogłyby zostać zamknięte w niejedną książkę, ale to inny temat. Dziękuję mu za to, że de facto dla mnie stał się, tym pierwszym ruchem tłoka w silniku. Bez poczucia lekkiej rywalizacji, nie byłbym wstanie niczego zacząć. Muszę też wspomnieć, że za jego sprawą odkryłem niezliczone książki i autorów, o których wcześniej nigdy nie słyszałem. Spora część z nich była, tak dla odmiany, źródłem pomysłów do moich pozostałych opowiadań, które obecnie składam i przerabiam na następną książkę. O niej zapewne będzie więcej w przyszłości jeszcze. Nie ma co uprzedzać faktów, chociaż powiem tylko, że będzie to coś zupełnie innego niż, to co się przed Tobą czytelniku siedzi teraz na kolanach, lub na wyświetlaczu telefonu czy też monitora. W następnej kolejności będzie mój inny dobry przyjaciel (również Adam). Bez niego, nie poznałbym fantastycznych seriali, które po wielu miesiącach przekonywania, obejrzałem i byłem nimi całkowicie zachwycony i zatracony w historii, którą opowiadały. Wiele wspólnych godzin spędzonym na komunikatorze przełożyły się na dokładną analizę i interpretację niuansów tych fabuł. Cytując: „Oddaję cesarzowi, co cesarskie...”. I skoro o tym mowa, muszę teraz przejść do mojej narzeczonej Klaudii, wtedy jeszcze dziewczynie. Bez której nie zebrałbym się do zebrania wszystkich luźnych pomysłów i załączków opowiadania, które miałem w głowie, w jeden tekst. Była i jest ona moją główną motywacją, by usiąść i zacząć pisać na bardziej poważnie. Chociaż sama nie wyraża większego zainteresowania tematyką, którą piszę, jest codziennym powiewem pragmatyzmu, którego potrzebuję w życiu. Była i jest bardzo dumna, z tego co mi się udało osiągnąć, za co szczerze bardzo dziękuję.

Nie mogę zapomnieć też o wspomnieniu mojego ojca, który stał się moim pierwszym czytelnikiem beta (wraz z moją siostrą) i wciąż nim jest. Bez jego celnej krytyki i również wielu godzin różnych dyskusji, nie nauczyłbym się zapisywać moich myśli i pomysłów w sposób, jaki to teraz

robię. Chociaż przyznam, że styl zmienił się bardzo na przełomie lat. Również dziękuję mojej świętej pamięci babci Hannie. Chociaż magiczno kosmiczne tematy były jej zupełnie obce, pod względem znajomości zawłości języka polskiego, była mi bardzo pomocna i bez jej opinii zwrotnej, wszystko zostałoby tylko w mojej głowie.

Przejdę teraz do osób, które z innych powodów, też przyczyniły się do ukończenia książki, choć w mniejszym, to jednak wciąż ważnym stopniu. Zacznę od mojej nauczycielki języka polskiego z liceum, Pani Kasi. Bez niej nie miałbym wewnętrznego impulsu, do udowodnienia zarówno sobie, jak i jej, że szkolne kryteria oceny ni jak się mają do kreatywności i pewnej smykałki do robienia rzeczy, które się lubi. Żeby nie zabrzmiało to nieprzychylnie z mojej strony, Pani Kasia, była jedną z moich ulubionych nauczycielek i szanuję ją za to bardzo. Po prostu oceny, które mi dawała w wyniku przyjętych systemów ocen, nie mogły być inne niż najwyżej mierne. A szkoda, gdyż uważam, że przekaz, jaki starałem się przekazywać w wypracowaniach był bardziej cenny, niż styl w jakim go pisałem. Mam nadzieję jednak, że poniższa książka przypadnie jej do gustu, gdyż wywarła Pani profesor na mnie ogromne wrażenie. Nie zapomnę jej wyznania, że śniły jej się koszmary na temat mojej matury. Przepraszam Pani profesor, ale musiałem udowodnić, że coś ze mnie wyrośnie na przekór temu.

Dziękuję też wszystkim moim czytelnikom beta, którym w różnych okresach wysyłałem różne teksty i za wszystkie ich opinie. Recenzja każdego z was była dla mnie i jest wciąż bardzo cenna. Przepraszam za okresowe spamowanie waszych skrzynek pocztowych, ale po skończonej edycji tekstu, byłem bardzo głodny tego, jak bardzo się wam podoba. Podziękowania w tej samej kategorii idą też do mojego wujka Walerego i świętej pamięci dziadka Olgierda, za to że nie jestem pierwszym upublicznionym autorem w rodzinie. Chociaż nie miałem przyjemności nigdy z nimi rozmawiać o swoich opowiadaniach i książkach, zawsze byli gdzieś tam na horyzoncie, jako osoby do inspiracji i podziwu.

Na końcu, co nie oznacza, że ujmuje to w żadnym stopniu, muszę podziękować mojej agentce Pani Patrycji, za to, że zgodziła się mnie

reprezentować i wysłać mój debiutancki tekst do wydawnictwa pod którym ta książka się ukazała. Gdyby nie Pani, ta książka finalnie nie pojawiłaby się na żadnej półce, rzeczywistej czy wirtualnej.

Na końcu wszystkim innym nie wymienionym z imienia, szczerze dziękuję.

A teraz zapraszam do otworzenia się do progu świata pełnego kosmicznych przygód, przyjaźni i zawirowań polityczno-ambicjonalnych.

Drogi czytelniku... miłej lektury.

Rozdział pierwszy

Zapis pierwszy. *Dwanaście kolonii. Dwanaście planet. Nadzieja dla ludzkości czy desperacki krok. Los tak wielu, będzie wykuty przez ich własne ręce.*

Port kosmiczny Akwariususa tętnił życiem, jakkolwiek można było je zdefiniować. Dookoła bujnego i zielonego światła, statki przelatywały w obydwie strony prawie nieprzerwanie. Ruch z powierzchni planety, jak i z niej, był nieustający. Wszystkie pojazdy były powietrzem wdychanym do i przez płuca planety. Tysiące ludzi, jak czerwone krwinki, nadawały rytm i sens istnieniu świata. To była prawdziwa stała harmonia tego żywego organizmu, jakim była ta jedna z dwunastu kolonii.

Większość z tych podróżujących ludzi należała do ogromnych korporacji czy też przedsięwzięć handlowych. Niby lokalne pomniejsze transportowce wyróżniały się w szczególe, ale ginęły też w całej masie pojazdów i były niezauważalne, gdy straciło się je z oka. Niezbyt duże gwiazdne jachty i większe prywatne jednostki przelatywały czasem w znacznym pośpiechu. Tylko nielicznych było stać na taki komfort. Podróżowanie kosmiczne na własną rękę nie było ani proste, ani tanie.

Wszystko to jednak składało się na wspólną masę. Nieprzerwaną i nierozróżnialną. Krwiobieg, bijący i tętniący swoim rytmem.

Każdy był częścią większego systemu.

Jedni byli jego większą częścią, inni mniejszą, ale niezależnie od tego, kim się było, wąskim gardłem był kompleks portu kosmicznego COD 2. Miejsce, które było odpowiedzialne za autoryzację poprawnych dokumentów, listów przewozowych i ewentualnych łapówek wręczanych innym odpowiednim ludziom. Nierzadkie były opowieści o tym, jak ktoś pozostawał na tej stacji dłużej niż trwał cały jego wcześniejszy lot.

A dla każdego nierozważnego, próbującego przelecieć bez kontroli celnej czy kodów dostępu, czekało całe wojsko, stacjonujące w systemie, jak i uzbrojenie planetarne. Mówiono, że mogli roznieść dowolny cel w czasie krótszym niż zajmuje wymienienie nazw wszystkich dwunastu głównych kolonii. Mówiąc inaczej – nie było to warte zbędnego ryzyka.

Istniały jednak dwa sposoby na ominięcie tej niedogodności. Pierwszym było należenie do wojska. Drugim – praca dla niego.

Isaac Vomisa był względnym szczęściarzem należącym do tej drugiej kategorii. Jego niebiesko-czarny statek, ozdabiany tu i ówdzie karmazynowymi ornamentami, stał w prywatnym hangarze na podstacji Salmon-3. Ta część stacji była przeznaczona wyłącznie dla personelu cywilnego, kontraktowo pracującego dla Galaktycznej Armii Imperium – GAI w skrócie.

Duma przepęniała go, jako że był posiadaczem Ikry, prawie najnowszego modelu lekkiego statku zwiadowczego. Z miejscem dla załogi do trzech osób lub dla średniego ładunku. Napędzany reaktorem aeroatomowym Seldon-2. Reaktor ten gwarantował doskonały współczynnik mocy wytworzonej w stosunku do rozmiarów i objętości paliwa. Pojazd ten zawierał także zmodernizowany zestaw uzbrojenia, dwie wyrzutnie rakiet oraz wysokoenergetyczny laser bojowy zasilany energią bezpośrednio z samego reaktora. Nie było przemytnika, pirata czy jakiegokolwiek awanturnika, niezazdroszczącego mu takiego nabytku. Cena za to jednak nie była banalna. Wiele lat latania i poświęceń dla samej GAI kosztował go ten przywilej. Brał udział w najbardziej ryzykownych misjach. Nastawianie karku, dla towaru, którego nawet nie potrafił często nazwać. Z czasem, na szczęście, stało się to dla niego codziennością i nawykiem, więc był w stanie o tym zapomnieć.

Czasem...

Jego kariera zaczęła się w bardzo młodym wieku. Jako awanturniczy syn bogatego i wpływowego handlarza, był nieprzerwanie zmuszany do udowadniania swojej wartości. Ciągłe życie w pogoni za udowodnieniem bycia godnym synem, wytworzyło w nim niechęć do wszystkiego: praw,

ludzi, rodziny. W wieku dwudziestu lat akwariańskich, ukradł jeden ze statków ojca i wraz ze przeschmuglowanymi zapasami kontrabandy uciekł. Wiedząc, że nie może już wrócić i że będzie poszukiwany, wymienił porwany statek na czarnym rynku na coś rzucającego się mniej w oczy i korzystając ze sposobności zajął się sam naturalnie szmuglem. Czasem zdarzały mu się również niewielkie akty piractwa.

Życie, choć wolne, nie było jednak lekkie. Dzięki naturalnym talentom dał radę szybko ustabilizować się i zdobyć wystarczającą pozycję, by stać się jednym z najlepszych młodych kurierów wśród najemników. Co jednak umykało jego świadomości to było to, że podejmując się tegoż zawodu i przyjmując parę szemranych zleceń, naruszył poważnie bezpieczeństwo i interes macierzystej kolonii. Konsekwencją tego było zwrócenie bezpośredniej uwagi samej GAI. Z czasem im bardziej rozgłos o nim rósł, tym GAIa mniej mogła go ignorować i przymykać oczy na jego działalność.

Mniej więcej, w okolicach dwudziestych piątych urodzin – a warto wspomnieć, że na Akwariusie jest to wiek prawnej dojrzałości – generał Huxley przygotował na niego pułapkę, w którą Isaac z łatwością wpadł. Rok planetarny na tej planecie należał do tych krótszych i jeśli by go odnieść do stosunku z pozostałymi koloniami, jego wiek sprawiał wrażenie od dawna dorosłego. Ale ci, którzy zdawali sobie sprawę z tego, wiedzieli, że jest zupełnie inaczej. Została mu złożona, tak zwana, propozycja nie do odrzucenia. Jako stosunkowo młody i obiecujący człowiek, nie mógł w tej sytuacji odmówić. Wiedział, że to koniec jego wolnego życia. Wojsko w zamian dało mu schronienie przed prawem, płacąc przy tym bardzo hojne wynagrodzenie. Jedyną ceną za to było podjęcie udziału w bardzo ryzykownych misjach. Takich, w których sprawą najważniejszą było przemycenie czegoś albo kogoś, w taki sposób, by w pełni pozostać niezauważonym. Misji, do których GAIa nie mogła się nigdy oficjalnie przyznać. Misji, które oficjalnie nigdzie nie figurowały.

I takie było jego życie od tamtego czasu. Pełne wrażeń, ale z niewidzialną ręką zaciskającą się przez lata ciągle wokół jego szyi.

Norma.

Dzień zapowiadał się nie tak źle, jak wstępnie zakładał. Wschodzące słońce zza dysku planetarnego, obserwowane z części mieszkalnej stacji, w majestatyczny sposób podkreślało piękno samego kosmosu. Promienie przedzierały się i zakrzywiały na atmosferze Akwariususa. Linia dnia i nocy na powierzchni wydawała się niesamowicie banalna, a zarazem wspaniała. Punkty świetlne nocy ustępowały światłu dziennemu, z każdą następną minutą. Światelko za światelkiem umierało, by za pół doby znów wrócić do życia.

Choć ze stacji nie można było czuć za bardzo promieniowania słonecznego, Isaac czasem wracał we swoich wspomnieniach do chwil, gdy spędzał całe dni bawiąc się na dworze ojca, będąc skąpanym w promieniach słońca. To było dawno. Tak dawno, że wydawało się zupełnie innym życiem. Teraz był kimś innym, a tamto wspomnienie było ledwie snem, niezaleczoną blizną.

Wstał.

Pierwsze odezwały się plecy, a zaraz po nim błędnik. Przespanie całej nocy na fotelu, zapijając swoje wczorajsze żale nielegalną Capricanską whisky, nie było mądrym posunięciem. Przez moment całe jego ciało odmówiło jakiegokolwiek współpracy z właścicielem.

Usiadł, ale wstał znów i chwiejnym, niepewnym krokiem ruszył w kierunku odświeżacza – niewielkiej klitki w rogu jego kabiny. Służyła ona za uniwersalną domową łazienkę. Na praktycznie każdym kosmicznym obiekcie, niezależnie czy był to statek, stacja kosmiczna czy cokolwiek innego, wszędzie były takie. Ludzie teraz nie potrafili się już obyć bez tego minimalnego luksusu i potrzeby „kulturalnej” higieny.

Idąc z grubsza w linii prostej, co chwila wpadał na coś. Albo coś złośliwie podstawiało mu nogi – nie był tego w pełni w stanie potwierdzić. W jego mieszkaniu cały czas panował tak zwany artystyczny nieład. To znaczy byłby on artystyczny, gdyby tylko on sam zainteresował się jakąkolwiek formą sztuki.

Obiecał sobie to kiedyś ogarnąć, ale w głębi duszy nigdy nie przeszkadzało mu to. Dla Isaaca prawdziwym domem był statek. Mieszkanie było tylko tymczasowym hotelem. Niestety, póki nie dostanie od generała wyraźnego zezwolenia, nie będzie mógł opuścić tej stacji. To była też cena luksusu, bycia uprzywilejowanym niewolnikiem–najemnikiem, służącym GAI.

Poranna toaleta nie była też dla niego niczym nowym. Jako że na stacji, która choć orbitowała wokół planety, nie obowiązywała żadna konkretna strefa czasowa, przyjął się standardowy cykl dnia Kapitolu. W sytuacjach specjalnych jednakże, w zależności od potrzeb, ten cykl mógł zmienić się dowolnie. Oficjalnie, stacja była czynna bez przerwy, za wyjątkiem przerw technicznych dla niektórych sektorów. Gdy ktoś miał interes, zawsze znajdowały się ręce gotowe do pracy. Chociaż z tymi chęciami bywało różnie, za drobną opłatą i te się zwawo pojawiały nagle.

To wszystko jednak nie miało znaczenia. Dostał jasną informację, że Generał kazał mu się stawić osobiście w jego kwaterze, gdy tylko dojdzie do siebie. Tyle przynajmniej zrozumiał i zapamiętał, gdy w środku jego snu, przerywając jego wypoczynek, dostał informację na komunikator od asystenta swojego przełożonego. Oczywiście wiadomość ta zawierała też wiele innych epitetów, jednakże z racji silnego wpływu pewnych środków, nie potrafił przypomnieć sobie tych mało istotnych szczegółów.

Umyty, ubrany i z resztką wczorajszego udźca palanta akwariańskiego w żołądku, ruszył w kierunku wojskowej części bazy. Miał nadzieję, że nim dojdzie do generała przestanie ziewać i nie uśnie na odprawie, tak jak ten jeden raz kiedyś.

Skrzywił się i poklepał po twarzy. Od wspomnienia dostał lekkiej drgawki, przypominając sobie, co musiał potem zrobić.

Poklepanie jednak niewiele dało.

Interludium pierwsze

– Myślisz, że możemy mu zaufać? – hologram tajemniczej sylwetki rzucił pytaniem.

– Nigdy jeszcze mnie nie zawiódł, nie ma powodu i nie sądzę by zrobił to teraz.

– Ale nigdy nie brał udziału w misji, takiej jak ta.

– Nie zawiedzie – odrzekł ze spokojem drugi rozmówca. – Jest bardziej zasobny niż myślisz.

– Przekonamy się o tym.

Hologram kiwnął w znaczący sposób głową, po czym ten rozplynął się w powietrzu, zostawiając drugiego rozmówcę zupełnie samego.

Rozdział drugi

Zapis drugi. *Akwarius – druga największa kolonia. Planeta bogata w minerały, szeroko rozwinięte podstawowe formy życia. Klimat dwuporowy, klimat zimny i ciepły, ze stanami pośrednimi. Atmosfera bogata w tlen i wodę.*

Szansa na dominację: 7%

Szansa na katastrofę: 0.3%

– Toż to jest niesamowite – profesor wyprostował się, machnął chaotycznie rękami wokół i zaczął się rozglądać szukając czegoś. – Jak myślisz, co jeszcze powinienem zabrać ze sobą?

– Spokojnie profesorze – zaczęła uspokajać go jego asystentka. – Naprawdę zachowuje się pan jak dziecko.

– Wiem, wiem, ale moja droga, to dla mnie wszystko jest naprawdę wyjątkowe – profesor rzucił na nią spojrzeniem i podszedł do biurka, przegrzebując w nim stos dokumentów.

– Jeśli mogę być szczerą – zaczęła – jest pan naprawdę dziwnym przypadkiem – w głosie było słychać oznakę zmęczenia wcześniejszymi próbami uspokojenia go. – Profesor Politechniki Kolonijnej, znawca i specjalista od napędu podświetlnego. Genialny wynalazca i uzdolniony naukowiec – przerwała, by spojrzeć na niego i dodała z nutką rozczarowania: – A nigdy nie przeleciał się choćby na orbitę.

Krótkie spojrzenie profesora było pełne ukrytego wstydu. Kiwnął lekko głową na potwierdzenie i cichutko dodał: – Tak jakoś wyszło... Napęd to cała moja pasja, a sam kosmos... cóż... przerażał mnie zawsze. Ta pustka, ta niekończąca się głębia...

– Tym bardziej powinien pan spróbować – tym razem bardziej stanowczo asystentka podkreśliła, tak by nie dać profesorowi chwili

wytchnienia. – To doskonała okazja. Poleci pan na konferencję, pozna pan osobiście kolegów z innych instytutów i przeżyje niesamowitą przygodę. Będzie pan bogatszy o to doświadczenie, a kto wie, czy nie przyjdzie też coś do głowy.

– Może nie będzie tak źle – uśmiechnął się profesor na tę myśl.

Założył swój staromodny, wymęczony przez wiele lat skórzany kapelusz, i zwrócił w kierunku asystentki.

– Rektorat zapewnił mnie, że będę miał świetnego i profesjonalnego pilota – zamknął walizkę i ruszył ku wyjściu, ale zatrzymał się w progu i odwrócił. – Tak, jak obiecałem. Na czas mojej nieobecności, masz wolną rękę Anastazjo, instytut jest twój – jako dżentelmen pocałował ją jeszcze w dłoń i ruszył powolnym krokiem w kierunku portu kosmicznego. Tam miał się spotkać ze swoim pilotem.

– Mam nadzieję, będzie można sobie z nim trochę pogawędzić – dodał przelotnie w myślach, idąc odważnym krokiem przed siebie.

Spotkanie miało nastąpić dopiero za parę godzin. Wykorzystując ten czas, Isaac dał radę przespać się jeszcze chwilę. Siedział teraz sam, w prywatnej łoży na terenie portu o numerze 966PL. Popijał Kryształową Perłę, schłodzoną do idealnej temperatury 5 stopni powyżej granicy zamarzania lodu. Ten wyjątkowy alkohol podawany był tylko w tej części planety. Oczywiście był dostępny też w wyjątkowo wysokiej cenie, tylko dla wyjątkowych osób, które było stać na niego.

Ta temperatura była ściśle dokładnie dobrana. W niej wytrącały się kryształki alkoholowego napoju, nadając efekt pryzmatu przechodzącemu przez niego światłu. W zależności od kąta padania światła, barwa mogła przybierać dowolną długość fali spektrum widzialnego. Podobno zjawisko to rozszerzało się także w zakres podczerwieni i ultrafioletu, ale niestety ludzkie oko nie było w stanie już tego wychwycić.

– Przynajmniej mam co wrzucić w koszty – westchnął Isaac sam do siebie i popił łyk.

Łoża, w której się znajdował, była niewielkim prywatnym pokojem. W jej samym środku znajdowała się okrągła sofa z towarzyszącym jej okrągłym stołem. Przy ścianach stało parę rzadkich roślin, które ozdabiało pomieszczenie. Ściany pokrywały zawieszane, ozdobne, czerwone zasłony. Pomiędzy nimi znajdował się ścienny ekran holowizualny. Ten mógł dowolnie przedstawiać sceny i krajobrazy wybierane przez klientów, albo wybrane losowe przez obsługę portu. Ta, w której się znajdował, miała motyw zielonego spokojnego lasu z wysokimi iglastymi drzewami, przez które leniwie i spokojnie przenikały promienie słoneczne.

Isaaca nie interesował się jednak podziwianie tych pięknych i spokojnych scen. Myślami był zupełnie gdzie indziej. Zadanie, które zostało mu powierzone, było bardzo ważne.

– Twoja misja będzie dość nietypowa, ale nie powinieneś mieć z nią większego problemu – Huxley patrzył zza biurka na młodego pilota. – Oczywiście zasady są te same, co zwykle. W razie porażki, dla nas nigdy nie istniałeś.

Isaac milczał. Znal już na tyle długo generała, by wiedzieć, że to tylko gra. Gra, w którą grał z nim już tyle razy, że nie robiła na nim wrażenia. Celem jej było zastraszenie i uświadomienie mu braku jakiegokolwiek tolerancji na wszelkie porażki.

Przez chwilę przeszła mu jednak myśl, że całe to wrażenie było może tylko skutkiem echa wczorajszego wieczora. Nie mógł być tego pewien do końca.

– O tobie wiem tylko ja i inne osoby bezpośrednio ze sztabu – kontynuował przełożony. – Ale i nawet nie wszyscy.

Wstał i zaprosił go do wyświetlacza taktycznego, który był na stałe wmontowany w jedną ze ścian bocznych jego gabinetu.

– Nasi agenci odkryli coś, co przypomina wrak statku. O... tutaj – wskazał palcem na jakiś punkt na gwiazdnej mapie. – Na samych obrzeżach układu

Caprici – spojrzał na Isaaca. – O ile mi wiadomo, ich flota póki co jest nieświadoma tej sytuacji. Liczy się więc czas.

– Czemu akurat ja? – przerwał mu odważnie Isaac. – Skoro nasi zwiadowcy wykryli go już, to powinni być też w stanie go szybciej przechwycić. Zresztą obiecałeś mi, że będę miał trochę czasu dla siebie.

– Nie mogą ryzykować. Ich wpadka odbiłaby się na naszej reputacji. Doskonale wiesz, jakie są aktualnie stosunki między naszymi koloniami – skwitował uwagę i zignorował jednocześnie drugą.

– Tak – Isaac zmarszczył czoło i kiwnął na zgodę. W niechęci przyjął brak odpowiedzi na jego pytanie. – Wojna dopiero co się skończyła.

– Zgadza się. To tylko zawieszenie broni, akt o otwartej nieagresji, jak wolisz. Jakiegokolwiek zaczepne działanie zostanie uznane jako zachęta do wznowienia konfliktu. – Generał wskazał palcem na Isaaca. – I tu pojawiaasz się ty. Poza naszą kolonią, jesteś znany tylko jako najemnik, ewentualnie pomniejszy pirat. Nie będziesz wzbudzał aż takich wątpliwości, jak ktokolwiek inny.

Isaac nie wyglądał na przekonanego, ale rozumiał częściową logikę za tym stojącą.

– I co, mam tak po prostu przylecieć, zabrać statek i odlecieć, zostawiając karteczkę z podziękowaniami? – spytał się z sarkazmem. – Lot i tak będzie dość podejrzany, prawda?

– Tak, masz rację. Byłby. Chyba, że... – generał zawiesił głos na dwie sekundy. – ...Przypadkiem go znajdziesz.

– Przypadkiem?

Z jakiegoś powodu było i nie było to zaskoczeniem dla niego. Generał nie raz w przeszłości nawet z mało logicznych planów formułował działającą całość.

– Możesz mówić jaśniej, generale?

– Cierpliwości, zaraz dojdziemy do sedna wszystkiego – generał przełączył parę przycisków na konsoli.

Ekran rozświetlił nowy obraz, przedstawiający jednocześnie grupę systemów gwiazdnych z linią przechodzącą bezpośrednio przez nie.

– Aby nie wzbudzić podejrzeń – wznowił – będziesz leciał jako wynajęty pilot oraz jako ochroniarz.

– Ooo... brzmi ciekawie. Kogo będę niańczył? – ze znudzeniem w głosie i brakiem dalszego zainteresowania wrócił do fotela i usiadł. Eskortowe misje były najgorsze. Zdecydowanie już bardziej wolał porywać ludzi.

Generał spiorunował go momentalnie wzrokiem i rzuciłby w niego czymś. Gdyby tylko miał coś w ręce w tej chwili.

– Kogoś, kto wie wiele więcej niż ty i kto zapewni wam przelot, dzięki któremu nie wzbudzając podejrzeń, dostaniecie się do tego układu.

Isaac nie odpowiedział. Wiedział, że generał się z nim bawi i zaraz dostanie odpowiedź.

– Profesor Gilbert będzie twoim partnerem.

To przykuło jego uwagę. Nie musiał udawać zdziwienia, był szczerze zaskoczony.

– Profesor Gilbert? Ten specjalista od napędów atomowych?

– Dokładnie on. Oczywiście, ze względów bezpieczeństwa on sam nie może znać wszystkich szczegółów... Do czasu – dodał po krótkim czasie i wrócił do swojego biurka, patrząc na zaskoczonego Isaaca.– Nie wiemy, co za statek możecie znaleźć. Zakładamy, że to zaginiony wrak sprzed lat, który zgubili w swoim spisie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Isaac odwrócił się fotelem w kierunku siadającego generała.

– Zdajesz sobie sprawę, że posiadają nowy rodzaj napędu? – ten zadał mu pytanie.

– Wiem, o ile dobrze mi się wydaje, ich statki mają napęd fuzyjny, zgadza się? – odbił pytającą piłeczkę w jego kierunku.

– Dokładnie. Dzięki niemu nie mogliśmy ich pokonać. Mamy tylko same podstawy teoretyczne, a to zdecydowanie za mało, by wygrać wojnę. Potrzebujemy go.

– W gruncie rzeczy oni pewnie myślą podobnie o nas – dodał młody pilot cicho pod nosem.

Generał średnio przyjął ten komentarz. To był czuły, ale trafny punkt, którego nie mógł nigdy publicznie przyznać. Jakakolwiek misja z udziałem

statku z ich technologią wiązała się ze stratą tej strategicznej przewagi.

– Nasze najnowsze silniki aero–atomowe mają swoje ograniczenia, tak. Ale w warunkach bojowych nie ustępują fuzyjnym.

Isaac wiedział już tyle, co chciał usłyszeć.

– Chyba rozumiem, do czego to zmierza. W skrócie mam im ukraść statek, by nasi ludzie mogli go rozkręcić i pobawić się nim, tak?

– Dokładnie. To jest twoja misja. Dostarczysz profesora całego na statek i pozwolisz mu działać, on powinien rozgryźć go w pełni. Potem sprowadzicie go do nas w jednym kawałku, jasne?

– Nie chcę nic mówić, ale...

– To nie mów – przerwał mu generał i otworzył szufladę w biurku.

Isaac mówił dalej, zupełnie nie zważając na słowa przełożonego.

– Teraz to jest dopiero podejrzane. Profesor, który, o ile mi wiadomo, nigdy nie opuścił atmosfery naszej kolonii, lecący przypadkiem po terytorium niedawnego wroga – Isaac włożył dużo siły, by nie brzmieć zbyt sarkastycznie w ostatniej części. – Tym bardziej, że jest on ekspertem od naszego napędu.

– Nie ma żadnej obawy. Nie będzie nic, w tym podejrzanego, ani ryzykownego – Generał nachylił się w stronę Isaaca, który siedział wygodnie po przeciwnej stronie biurka. – Waszą przykrywką będzie małe, naukowe tournée.

– Tournée?

– Na immunitet dyplomatyczny. Nie odważą się przedsięwziąć żadnych działań przeciwko wam, ale zanim doleciecie w pobliże statku, profesor wygłosi różne naukowe spotkania na paru koloniach. Z każdej na każdą kolejną będziecie wykonywać wiele skoków. Przypadki się zdarzają. Raz zdarzy ci się, że źle obliczysz skok i trafisz dokładnie na te współrzędne – podał kopertę zapieczętowaną czytnikiem DNA.

– Ale generale, muszę chronić swoją reputację... – dodał bez przekonania Isaac. Nie miał ochoty brać w tym udziału. Kradzież mienia ich wroga wchodziła w niekomfortowy dla niego rejon.

Tym razem generał udał, że go nie słyszał.

– Najlepsi piloci statków robią błędy – podkreślił mocno – i ty go popełnisz. Rozumiemy się?

– Jasne, jasne – Isaac zgodził się na siłę. – A jeśli odmówię?

Huxley nie musiał traktować go jak dziecko, ale nie lubił, gdy ludzie odnosili się tak do niego. Szczególnie, gdy jego rozmówca był parokrotnie starszy od niego.

Generał rzucił mu jasne spojrzenie. Nie wypowiedział ani słowa. Przekaz był prosty:

Jesteś pewny, że chcesz to zrobić?

W milczeniu i pełnej jasności udali, że nie było pytania.

Isaacowi tylko znacznie podskoczyło nagle ciśnienie i zrobiło się gorąco.

– Mam tylko małe pytanie – strącił ciszę niepewnie. – Co wie profesor, albo, kiedy i w co mam go wtajemniczyć?

– Profesor Gilbert o niczym nie wie i ma nie wiedzieć. Przynajmniej do czasu twojej pomyłki – generał rozluźnił się i poprawił w siedzeniu. – Wtedy możesz mu zdradzić prawdziwy cel misji oraz to, że jego tournée zostanie nieodwołalnie odwołane.

– Nie będzie chyba zbyt zadowolony z tego.

– Nie będzie, ale powinien ci wybaczyć, gdy dostanie reaktor fuzyjny w swoje ręce. Resztę szczegółów będziesz miał na karcie danych w kopercie.

– Wszystko jasne w takim razie. Kiedy startujemy? Musze przygotować swój statek... – Isaac wstał z fotela myśląc, że to koniec i gdy miał tylko już ruszać w kierunku wyjścia, Huxley zatrzymał go słowami.

– Zapomnij o nim! – Że jak... – to zamurowało pilota. Odwrócił się szybko i spojrzał na swojego przełożonego.

– Lecisz statkiem od nas. Za bardzo rzucałbyś się w oczy swoim. Zresztą nie chcemy, jak sam wiesz, by twój napęd aero-atomowy wpadł w ręce wroga przez przypadek. Dokładnie z tego samego powodu, dla którego wysyłamy was razem. Masz ochraniać profesora i być blisko niego. Tak blisko, jak trzymasz te swoje butelki, jasne?

– Ale, generale... – Isaac był oburzony i zmieszany jednocześnie. – Znam swój statek jak własną kieszeń, nigdy mnie nie zawiódł, i...

– Dostałeś go od nas, by służyć nam. Jest zbyt nowoczesny i zbyt uzbrojony, jak na statek dla najemnego pilota zatrudnionego przez uniwersytet – jego spojrzenie było bardzo stanowcze. – To nie podlega dyskusji. Nowy statek czeka na ciebie w hangarze cywilnym Salmon-4, lądowisko 421. Startujecie za dziesięć godzin. To wszystko. Możesz odejść – uciał.

Przekaz był oczywisty i nie wymagał dodatkowego tłumaczenia. Isaac wstał i bez słowa wyszedł. Odprawa była skończona.

Rozdział trzeci

Trzeci zapis. *Caprica – czwarta pod względem wielkości. Duża dostępność do złóż metali i innych ciężkich pierwiastków. Atmosfera sprzyjająca życiu, ale z ciężkimi warunkami na powierzchni. Część planety pokryta pustynią lawową.*

Szansa na dominację: 9%

Szansa na katastrofę: 5%

Czas się dłużył. Te parę godzin w pełni wystarczało do zaznajomienia się z nowym okrętem. W gruncie rzeczy Isaac musiał przyznać, że nawet ten model przypadł mu do gustu. Wielofunkcyjny statek Pirania IV, przerobiony specjalnie na potrzeby przewozu towaru i ludzi. Pod tym względem bardzo przypominał mu jego własny. Różnice jednak były bardzo widoczne. Nieuzbrojony. Kadłub bez deflektorów. Brak tarcz czy wzmocnionego kadłuba. W zamian kabina dla pasażerów oraz kajuta kapitana były dużo większe. Statek posiadał także wiele innych dodatkowych luksusów, których jego wysłużony okręt nie miał.

Isaac wiedział, że i tak spędzi większość czasu w kokpicie. Jakoś nie lubił pozostawiać na długo okrętów w rękach autopilota. Konsola sterownicza dawała mu poczucie kontroli i wolności. Była dla niego naturalnym przedłużeniem ciała.

W całym okręcie największą i najbardziej rzucającą się różnicę stanowił jednak napęd. Generał miał rację. Ryzyko oddania w ręce wroga przewagi taktycznej, w postaci nowoczesnego napędu, było zbyt duże. Niechętnie, ale musiał mu to przyznać w duszy. Jeśli dobiorą się do tego wraku, to będą musieli go jakoś zabrać. Jeśli będzie na chodzie, to według datapadu mają pozostawić Piranię na kursie kolizyjnym ze słońcem.

Swojemu okrętowi nigdy by tego nie zrobił.

Rozglądając się po kabinie spostrzegł wiele szczegółów tego, że Pirania IV była znacznie starszym modelem, praktycznie nie produkowanym już od ponad dobrych dziesięciu cykli planetarnych. Napędzana była praktycznie na stałe wmontowanym ogromnym i ciężkim reaktorem hiperatomowym, niemożliwym do wymiany. Technologia ta, choć znacznie wiekowa, była wciąż wykorzystywana we wszystkich koloniach, w tym czy innym wariantcie. Problem dostępu do paliwa praktycznie nie istniał. Był to doskonały wybór. Tanie i ogólnie dostępne paliwo, wszędzie gdzie mogliby się udać.

W trakcie lotu próbnego zaznajomienie się z podstawowymi cechami statku było niezbędne. Każdy okręt miał inne właściwości i niezależnie od doświadczenia pilota, długi lot bez wcześniejszego obeznania był szaleństwem.

Tak samo jak ta misja.

Przynajmniej przypadał mu zaszczyt podróżowania z tak wykwintnym gościem. Nigdy wcześniej nie miał przyjemności spotkać żywej legendy. To w niewielkim stopniu zmniejszało niechęć do misji.

Na godzinę przed spotkaniem wylądował na tym samym lądowisku. Zlecenia wojskowe miały swoje znaczne zalety. Łoża, która była zarezerwowana pod jego nazwisko, była zaopatrzona we wszystkie luksusy, na które mogłaby mu przyjść ochota, czekając na współpasażera.

W tym i w ciszę, i najwyższej jakości alkohol...

Drzwi nagle otworzyły się bez ostrzeżenia.

– Przepraszam za spóźnienie. Pierwszy raz jestem w tej części portu – powiedziała lekko przygarbiona postać w kapeluszu, stojąca w progu łoży.

– Profesor Gilbert, jak rozumiem – Isaac niechętnie wstał wygodnego fotela i pomógł mu wejść z do łoży. Etykieta czasem zmuszała go do czynności, na które w danych chwilach nie miał ochoty.

– Dziękuję bardzo i witam – gość spojrział na młodego pilota i zdejmując kapelusz, wyciągnął rękę w jego stronę. – Pan musi być Isaac Vomisa.

– Tak, witam. Bardzo mi miło, że słyszał pan o mnie – odwzajemnił uścisk. – To wielki zaszczyt, profesorze, móc panu towarzyszyć i być pana

pilotem – spojrzał na niego badającym wzrokiem, próbując wyczytać coś z mimiki starszego pana. Było mu miło, że profesor przynajmniej zapamiętał jego nazwisko. Bardzo niewielu ludzi robiło to w przeszłości.

Jak każdy z Akwariusza, bardzo szanował starszego profesora. Nie było osoby, która by nie słyszała o nim wiele historii. Była to wielce znana postać w kolonii. Profesor był współodpowiedzialny za wiele wynalazków, w tym i za najnowszą technologię reaktorów aero–atomowych. Praktycznie uratował kolonię przed sromotną porażką.

Wybadał go szybko wzrokiem.

Wyglądem przypominał podręcznikowego uczonego. Wysoki, z dzikimi i roztrzepanymi siwymi włosami, jasna, gładka, niewyprasowana koszula i staromodna marynarka w kolorze beżowym. Chcąc nie chcąc, był widoczny i rozpoznawalny jak na dłoni i w każdej sytuacji.

Było także widać, że mocno się poddenerwował. Ręce miał niespokojne.

Będzie ciekawie – podsumował w myślach. Podszedł do barku w rogu łoży i wyciągnął dodatkową szklanę.

– Czego się pan napije, profesorze? – wyciągnął butelkę z przejrzystym płynem. – Może mi pan profesor zaufać, jeśli powiem, że to pomoże.

Profesor, będąc wciąż przytłoczonym sytuacją, niezbyt mógł się zdecydować.

– Wiesz... prawdę mówiąc nie wiem, nie piłem od... – zmarszczył czoło i głęboko się zamyślił. Chyba było to dość dawno temu – od swojej nominacji. Ale kiedy to było...?

Isaaca jakoś wcale to nie zdziwiło, westchnął tylko i zdecydował się mu nalać klasycznej Siwuchy. Oczywiście tej najbardziej ekskluzywnej.

– Proszę, i niech pan mi mówi Isaac – podał mu szklanę. – Będzie i prościej, i praktyczniej.

Sam wziął swoją i ponownie usiadł w fotelu naprzeciwko.

– Spędzimy razem dużo czasu. Wierze, że się dobrze poznamy i podróż się panu profesorowi spodoba.

– Dziękuję, panie... Isaac. Za nową znajomość w takim razie – przechylił szklanę i upił łyk mętno–białej cieczy. Skrzywił się lekko, ale uśmiech,

prawie od razu, pojawił się na jego ustach. – Osobiście też nie jestem zwolennikiem tytułów i niepotrzebnych zwrotów. Mów mi Gilbert.

Odłożył kapelusz na stolik obok i rozpiął płaszcz, nie przerywając wypowiedzi.

– Wierz mi na słowo. Gdybym musiał za każdym razem tytułować prawidłowo każdego, to zapewne byłbym wciąż zaledwie doktorem habilitowanym. Skoro o tym mowa, to kiedyś spotkałem takiego studenta...

Widać alkohol, choć w bardzo niewielkiej ilości, podziałał na profesora lepiej niż młody pilot się spodziewał. Przez dobre 10 minut słuchał uważnie, po tym czasie niestety nie był w stanie już nadążyć za potokiem słów profesora i się wyłączył. Przez grzeczność potakiwał tylko głową, gdy Gilbert ekscytował się o reakcjami wewnątrz rdzenia prototypowego silnika hiperatomowego.

Jeśli tak będzie wyglądać cała podróż, to na pewno będzie jedyną w swoim rodzaju.

– ...a wtedy rektor rzekł do mnie: „Niech cię strzelą, Higgisy, jeśli przypadkiem wyleci uniwersytet w próżnię.” No i uwierz lub nie, ale nie wyleciał. Mówię ci, Isaac, ale jego mina była niezemska. Wygrałem wtedy w zakładzie grant na nowy sprzęt. Wszyscy chcieli go później oglądać.

Isaac, na szczęście, miał lepsze poczucie czasu niż profesor i korzystając z chwili na jego oddech, przerwał mu.

– Gilbercie, to naprawdę niesamowita opowieść – skłamał trochę, ale nie chciał zrobić przykrości, bo zupełnie się pogubił i nie pamiętał chwili przejścia z jednej opowieści w drugą. – Z przyjemnością usłyszę od ciebie resztę, ale mamy niestety teraz trochę napięty grafik. Statek na nas czeka, a władze portu nie będą czekały na nas.

Mówiąc to, nalał profesorowi jeszcze jedna szklankę. Miał nadzieję, że większe stężenie alkoholu trochę ograniczy potok słów. Jakaś część jego głowy jednak wątpiła w to. Pomimo tego musiał przyznać, że ma pozytywne wrażenie o nim.

– A tak, lot. Zupełnie bym zapomniał – wypił duszkiem całą zawartość szklanki bez wzdrygnięcia się. – Trzeba się zbierać, kosmos sam się nie

odkryje.

Isaac pomógł mu wstać i zabrał część bagażu.

Ruszyli w kierunku lądowiska.

Rozdział czwarty

Zapis czwarty. *Stagitarium – średnia wielkość. Klimat umiarkowany suchy. Liczba złóż zasobów naturalnych niewielka i porozrzucana po całej planecie. Dostępność do wody umiarkowana.*

Szansa na dominację: 2%

Szansa na katastrofę: 0.05%

Wchodząc na płytę lądowiska, profesor znieruchomiał z wrażenia, gdy tylko zobaczył statek.

– Niesamowite – przyglądał się Piranii jak zahipnotyzowany. – Pamiętam go.

Spojrzał żywo na zaskoczonego Isaaca.

– Wiesz, że sam pomagałem go zaprojektować – pokręcił trochę głową, tak że jego włosy falowały z każdym ruchem. – Nigdy profil mi się nie podobał.

Zmarszczył czoło i zrobił zniesmaczoną minę.

– Główny projektant jednak miał inne zdanie. Uparta koza...

– Myślałem, że nigdy nie latałeś? – spytał się Isaac ze zdziwienia, jak i ze szczerzej ciekawości.

– Latać? Broń, Kwarku, w życiu – profesor wrócił nagle ze swoich wspomnień na ziemię. – Uważam, że statki są piękne. Szansa na to, by móc projektować reaktory, to jakby dawać im życie. Wprawiam je w ruch i tworzę serce, które później bije i napędza. To niesamowite uczucie. Kocham statki, tylko... – ściszył głos i zwiesił głowę – lot mnie przeraża trochę. To jedna wielka pomyłka tak naprawdę. Pracuję tak naprawdę nad źródłami energii, nie nad jej wykorzystaniem.

Isaac otworzył zdalnie statek i zaprosił gestem Gilberta, by wszedł do

środka.

– To co się stało? Skąd ta zmiana zdania? Rozumiem, że skoro przez tyle lat uniwersytet cię do tego nie nakłonił, to coś wyjątkowo specjalnego musiało?

– Szczerze to dzięki jednej z moich najbardziej obiecujących asystentek...
– odłożył swoje torby tuż przy wejściu. – Szalenie inteligentnej i ambitnej... Powiedziała, że to dobrze by wpłynęło na ogólną opinię o mnie, gdybym odbył taką podróż.

– Nieźle musiała mieć gadanie skoro cię przekonała – Isaac ruszył w stronę kokpitu. – Jeśli będziesz chciał do mnie dołączyć, to zapraszam. Start za parę minut. Wybór kabiny pozostawiam tobie. Ja się w pełni dostosuję.

Isaac przyglądał się wchodzącemu do swojej kabiny towarzyszowi. Było widać, że się boi i cała ta historia o projektowaniu była próbą ukrycia go.

Ruszając do kokpitu współczuł mu i sam niechętnie rozsiadł się na fotelu; rozpoczął procedurę startową.

Interludium drugie

Połączenie było niewyraźnie i zakłócone. Było słycać słowa, choć nie były one specjalnie wyraźne.

– Niedługo startują. Obyście byli gotowi na nich.

– Tak. Zgodnie z umową, będziecie go mieli żywego – odpowiedział mężczyzna, którego nie było widać twarzy, ale jego uniform zdradzał, że był wojskowym.

– Doskonale. My zrobiliśmy, co do nas należało. Pamiętajcie: nie będzie drugiej takiej okazji.

Hologram rozplynął się.

Mężczyzna w mundurze stał przez chwilę w bezruchu, po czym wcisnął przyciski na konsoli.

– Paczka w drodze, powtarzam, paczka w drodze. Gdy tylko pojawi się na naszym terytorium, interweniować – powiedział i uciął komunikat.

Był zadowolony, wszystko odbywało się zgodnie z planem.

Rozdział piąty

Zapis piąty. *Libra – jedna z najmniejszych planet. Atmosfera bogata w tlen i wodę. Klimat bardzo mokry. Bardzo bogata w złoża naturalne, w tym i natury biologicznej. Bujna fauna i flora.*

Szansa na dominację: 1.5%

Szansa na katastrofę 0.9%

– Start i lot przez atmosferę tak naprawdę należy do najbardziej niebezpiecznych i najmniej przyjemnych – tłumaczył Isaac. Profesor z nerwów nie mógł się wygodnie usadowić w fotelu przeznaczonym dla nawigatora. Zakładał, że nawet jeśli profesor czasem pomagał przy projektowaniu statków, to pewnie ma styczność z większością tych rzeczy, a przynajmniej teoretycznie. By zająć go i jego umysł czymś, dorzucił jak najwięcej szczegółów. Miotający się współpasażer za bardzo go rozpraszał.

– Niwelatory i kompensatory powinny negować działanie zmiany pola i przyspieszenia, ale na każdego to działa inaczej.

Profesor znalazł wreszcie swoją pozycję w fotelu. Na szczęście dla pilota zostawił swój duży kapelusz w kabinie.

– Ile zajmie nam lot? – spytał.

– Mamy cztery kolonie do zaliczenia: Stagitariusza, Geminiona, Librę oraz Capricę – wyliczał na swoich palcach Isaac. – Mniej więcej na każdą będzie przypadało jakieś pięć albo sześć skoków. To nam daje około tygodnia na każdą kolonię. Drogą powrotną wrócimy za jakieś dwa miesiące. Plus minus tydzień na wszelkie niezapowiedziane wyjątki.

Pomyślał o ich prawdziwej misji, ale nie dał po sobie tego poznać.

– Aż dzień na skok? Czemu aż tyle? Każdy skok jest bardzo krótki, jeśli dobrze mi się wydaje – spytał, po czym dodał zakłopotany: – Nie chcę, by

wyszło, że się skarżę, ale prawdę mówiąc – po prostu nie wiem.

– To nie wstyd pytać. Rozumiem, że w kręgu twojej specjalizacji jest tylko napęd, a nie sama metodyka podróży międzygwiazdnych – westchnął cicho.

Czy będę mu musiał wszystko tłumaczyć?

Spojrzał się bezpośrednio na Gilberta.

– Skoro o tym mowa, mamy pozwolenie na start. Czas ruszać. Wyjaśnię ci resztę w trakcie lotu, zgoda?

– Zgoda – odpowiedział Gilbert i mimowolnie zaciskając dłonie na fotelu, spojrzał nerwowo przez przedni iluminator.

Statek tylko raz lekko drgnął, po czym oderwał się od płyty prawie bezgłośnie. Było słychać delikatny i przyjemny dla ucha pomruk z części silnikowej i to tyle. W ciągu paru sekund bez problemu uzyskali tempo niezbędne do osiągnięcia pierwszej prędkości kosmicznej. Profesor cały czas przyglądał się wszystkiemu, co było widoczne, bardzo bacznie. Na przemian na jego twarzy pojawiał się obraz strachu, ale też i zachwytu. W ledwie paręnaście sekund statek przeciął dolne granice chmur i gładko przybierał na prędkości. Chmury były przecinane przez poszycie równie gładko, co ciepły nóż przez masło. Wlatując w próżnię, kabinę przez chwilę spowiła niewielka ciemność, zanim nie załączyły się delikatne panele świetlne. Opuszczając układ, słońce było za ich plecami. Isaac przy pomocy jednego przycisku włączył pełne wewnętrzne oświetlenie i przyjemne żółtawe, ciepłe światło rozświetliło kabinę tak, aby skompensować brak zewnętrznego mocniejszego źródła światła.

– Teraz będziemy przyśpieszali znacznie szybciej. Atmosfera już nas nie hamuje.

– To było... jakoś takie niesamowicie szybkie. Prawie nic nie poczułem.

– Cóż, tak właśnie powinno być – uśmiechnął się pod nosem Isaac. – Dla twojej informacji, skok wykonujemy dopiero za jakąś godzinkę lub dwie.

– Co? Czemu aż tyle?

Isaac ponownie westchnął lekko. Loty kosmiczne były dnia niego chlebem powszednim, ale rozumiał też, że nie dla każdego było to codzienną rutyną.

– Jak zapewne wiesz – zaczął mówić – ogromna masa i wpływ pola grawitacyjnego planety strasznie komplikują wzory i wyliczenia.

Rozsiadł się wygodnie i pozwolił sobie na trochę luzu.

– Ustawiłem autopilota, by dał mi znać, kiedy oddalimy się na odległość sześćdziesięciu jednostek kosmiczno–planetarnych. Powiedzmy, że nieformalny podręcznik mówi, że nie powinno się skakać na mniej niż pięćdziesiąt jednostek.

– Rozumiem jednak, że dałoby radę jakoś to zniwelować i bezpiecznie zmniejszyć.

– Tak. Dlatego też korzystając z lepszych i nowszych silników, można tę wartość zredukować i zmniejszać ogólną liczbę skoków. Praktycznie jednak nie da się przeskoczyć tego, że ciała niebieskie o dużej masie powodują ogromną nieliniowość pola. I tu jest problem.

– Co by się stało w przypadku pomyłki, jeśli mogę spytać? – wszedł mu nagle w pół zdania profesor.

– Pytasz o najgorszy czy najlepszy przypadek? – Isaac uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie, ile razy nagiął zasadę pięćdziesięciu jednostek i ile razy wszyscy myśleli, że nie wyszedł z tego żywy.

– Myślałem o najgorszym, ale ciekaw jestem i drugiego.

– Więc tak – Isaac zrobił poważną minę i spojrzał głęboko w oczy profesorowi – w przypadku najgorszego przypadku skoku, sprawa jest prosta. Kończysz w środku gwiazdy, czarnej dziury czy w pobliżu supernowej. I nie żeby cię zbędnie stresować – zrobił dramatyczną przerwę – ale nie zdążysz poczuć tego, że się pomyliłeś.

Profesor wpatrywał się jak zahipnotyzowany w młodego pilota i milczał. Nie mógł ukryć, że przerażała go taka wizja.

Isaac parsknął śmiechem się i poklepał Gilberta koleżeńsko w ramię. Nowa atmosfera rozluźniła trochę napięcie.

– Nie ma obawy, Gilbercie, nie dopuścimy do tego.

Profesor niepewnie przełknął ślinę i przytaknął spojrzeniem.

– A w takim razie najlepszy?

– Najlepszy, co najwyżej wyrzuci nas parę parseków w inne miejsce. Nic

straszego, jak sam widzisz. Poza utratą paliwa i czasem na zlokalizowanie się w przestrzeni nic nie tracimy. Dlatego właśnie doliczam dodatkowy tydzień do czasu naszej podróży.

Kończąc zdanie, Isaac wrócił do kontrolowania wskazań z komputera.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

Gilbert zamyślił nad tym, co mu Isaac powiedział przed chwilą. Im bardziej skupiał się na tym, tym czuł się zdecydowanie mniej zestresowany. Odpowiadało mu to.

– Gilbercie – naruszył ciszę Isaac – jak byś wiedział, to pierwszy skok komputer wykona sam. Każdy następny jednak będę kontrolował. Chociaż będzie on wyliczany przez niego głównie.

– Jak możesz mu ufać na tyle? Sam powiedziałeś przecież, że możemy wylądować w środku gwiazdy?

– Ufam. I nie jest to wcale dziwne, jak chwilę pomyślisz. Często piloci pozwalają komputerowi na pierwszy skok. Wynika to z tego, że opuszczając zamieszkały układ, masz komplet danych. Wiesz, gdzie jest gwiazda, reszta planet i ewentualne asteroidy czy inne obiekty. W głębokim kosmosie nie będzie tego luksusu. Nie wiem precyzyjnie, gdzie wyskoczymy. Będzie to trzeba wszystko obliczyć, zinterpretować i sprawdzić na nowo. To odpowiada też na twoje pytanie, dlatego tak długo. Skoczyć jest prosto. Skoczyć precyzyjnie i dokładnie gdzie chcesz, już nie.

Cały czas, gdy Isaac to mówił, nie przerywał przeglądania wyświetlanych informacji na konsoli i tłumaczył dalej.– Choć wprowadzimy teraz dokładne dane, w wyniku teorii nieoznaczoności, niewielkich fluktuacji energii czy fal grawitacyjnych, może nas wyrzucić w całkiem sporym obszarze.

Profesor wyglądał na trochę przytłoczonego.

– Wiedza, że od tylu niepewnych rzeczy zależy nasze życie, nie jest zbyt pocieszająca.

Spuścił zamyślony głowę.

Isaac poczuł się źle, że podprowadził go do takiego stanu, ale świadomość ryzyka była niezbędną. Profesor musiał wiedzieć, w co się

pakuje. Rzadko, bo rzadko, ale w koloniach były i krążyły historie o różnych wypadkach. I od czasu do czasu przybywała jakaś nowa.

– Masz rację. Dlatego też minimalizujemy ryzyko do akceptowalnego poziomu. Odlatując od układu, na ile się da. Dobierając optymalną liczbę skoków, kalkulujemy, na co możemy sobie jeszcze pozwolić. Zaufaj mi proszę, nie latam od wczoraj.

Trochę to pomogło, profesor nie wydawał się już tak przytłoczony i chyba załapał interesujący go temat.

– Rozumiem, że wiąże się to z zakrzywianiem czasoprzestrzeni, prawda?
– spytał retorycznie, ale też z prawdziwej ciekawości profesor.

Isaac kiwnął głową na „tak”.

– Gdy jeszcze sam chodziłem na uczelnię, jakoś mało przykładałem do tego uwagę. Zaliczyłem tylko dlatego, że profesor Katarn zrobił nam numer i wpisał wszystkim zaliczenia. Gdy wszyscy się stresowali i pisali kosmicznie trudny egzamin i nie wiedzieli, że mają go już zaliczony. Oddałem wtedy pustą stronę – uśmiechnął się, wspominając stare czasy, gdy był jeszcze bardzo młodym i mało znanym studentem.

Isaac poczuł się szczerze rozbawiony.

– To byłby dopiero numer dla prasy. Profesor Gilbert wywalony z uczelni, bo uwalił podstawy astronawigacji – klepnął rękami o swoje kolana i roześmiał się wesoło. Po chwili szczerego śmiechu opanował się i odpowiedział na zadane pytanie.

– Tak. To ma związek z zaginaniem czasoprzestrzeni. Reaktor normalnie daje nam energię do uzyskiwania sporego przyspieszenia, ale do samego wykonania skoku wykorzystujemy jego pełną moc, by nagiąć przestrzeń.

– Niesamowite, po prostu niesamowite, do czego są zdolni ludzie – powiedział profesor i wyjrzał znów za iluminator, mając na myśli zupełnie szerszą definicję.

– To dzięki twoim wynalazkom wszystko to jest możliwe – powiedział Isaac, ale profesor znów uciekł gdzieś myślami. Aż dziwne, że pomimo swojego wieku, przeżył go praktycznie pod kloszem.

Rozdział szósty

Zapis szósty. *Aries – największa planeta. Szeroka dostępność do wszystkiego. 70% powierzchni lądu pokryta lasem i roślinnością. Klimat ciepły umiarkowany. Orbita bardzo stabilna.*

Szansa na dominację: 3%

Szansa na katastrofę: 0.001%

Pozostałe do skoku godziny minęły bardzo szybko. Układ został daleko w tyle i statek zaczął wchodzić w obszar tak zwanego głębokiego kosmosu, daleko poza najdalszy pas jakichkolwiek obiektów w układzie. Słońce stało się już niewielką plamką, odrobiną większą od innych na tle kosmosu. Byli poza orbitą ostatniej planety o dobre dwa parseki.

Kolorowa kontrolka na pulpicie zaczęła pikać cicho.

– Zbliżamy się do miejsca skoku – oznajmił Isaac profesorowi, ale nie spojrzął na niego, gdyż był w pełni skupiony na tym, co mówił mu komputer.

– Trzy minuty do skoku.

– Poczujemy coś? – spytał niepewnie i cicho Gilbert, starając się za bardzo nie przeszkodzić swojemu pilotowi. – Będzie tak samo jak ze startem?

– Nie – odpowiedział krótko Isaac, ale dodał po chwili: – Nic nie poczujesz. Puf i pojawimy się w innym miejscu.

– Niewiarygodne, naprawdę niewiarygodne – odpowiedział profesor i zaczął spoglądać to na pilota, to na iluminator.

W tej chwili komputer jęknął cicho, kontrolka zajarzyła się na czerwono, po czym przestała.

Szybki błysk światła przeszedł nagle przez kabinę. I to było tyle. Nawet statek nie zadrżał w żaden sposób.

Gilbert zaskoczony spojrział za okno i widząc bardzo podobną pustkę do tej, która była wcześniej, zapytał:

– Skoczyliśmy? Nie poczułem niczego.

Isaac spojrział na niego i uśmiechnął się całkowicie rozluźniony już.

– Tak. Już po skoku – wskazał palcem w losowym kierunku na szybę. – Przyjrzyj się gwiazdom, a zobaczysz, że ich ułożenie widocznie się różni.

Gilbert przyglądał się przez chwilę uważnie czemuś, co przypominało mu jedną z konstelacji, ale tak jakby parę gwiazd losowo zmieniło swe ułożenie.

– Chyba masz rację, widać niewielką różnicę – skierował wzrok na Isaaca. – I co teraz?

– Teraz czekamy – westchnął pilot. – Komputer będzie obliczał naszą lokalizację. Wprowadzę poprawki od idealnego kursu, każę mu to przeliczyć ponownie i skaczemy znów – odpowiedział, wstając z fotela. – W międzyczasie prześpię się trochę. Dostaniemy informacje, gdy komputer wyliczy wszystko. Gratuluję, Gilberte, przeżyłeś pierwszy swój skok i niestety od teraz kolejne nie będą już tak ciekawe.

Wstając, poklepał po ramieniu profesora i ruszył do drzwi.

– I będziemy tak wisieć w kosmosie przez ten czas? – zdziwiony profesor również wstał i odwrócił się do młodego pilota.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że start i lądowanie są najgorsze? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Tak.

– Właśnie o to chodzi. Wisząc tu, tak po prostu, jesteśmy najbezpieczniejsi. Nikt nas nie znajdzie i nic nam się nie stanie. Nie da się skoczyć w to samo miejsce, nawet mając te same dane – odpowiedział i ruszył w kierunku swojej kabiny, zostawiając profesora samego.

– Mam wrażenie, że te podróże są strasznie przereklamowane – powiedział Gilbert sam do siebie i spoglądając jeszcze raz przez iluminator, również wstał i poszedł do siebie.

Rozdział siódmy

Zapis siódmy. *Geminion – średniej wielkości planeta. Klimat umiarkowany. Fauna i flora zbalansowana. Posiada podobnych rozmiarów i potencjalnych cech bliźniaczą planetę, ta jednak wymaga dodatkowej terraformacji. Dostępność minerałów umiarkowana.*

Szansa na dominację: 2%

Szansa na katastrofę: 1%

Reszta skoków minęła gładko bez większych problemów czy anomalii. Gilbert czuł się wewnątrz rozczarowany, miał nadzieję na coś bardziej ekscytującego. Czas mu się znacznie przez to dłużył. W związku z tym większą jego część poświęcał na przygotowanie materiałów do prelekcji podczas jego serii wykładów. Gdy tylko widział, że Isaac nie był zajęty obliczaniem wektorów do kolejnych skoków, z przyjemnością rozpoczął z nim rozmowę. Młody pilot miał naprawdę bogate doświadczenie i zadziwiało go, ile nauczył się i wyniósł, zwiedzając planety.

Isaac sam również był bardzo pozytywnie zaskoczony towarzystwem starszego profesora. Z początku spodziewał się zadufanego, szukającego sposobności, by się wywyższyć, okularnika, a tymczasem Gilbert był równym kompanem podróży. Jego opowiadania, choć często strasznie przesiąknięte naukowym słownictwem czy tematyką, nie były takie złe. Były pełne żartu i biła od Gilberta aura entuzjazmu. Szkoda mu było, że prędzej czy później będzie musiał mu powiedzieć prawdę i tym samym zepsuć jego wyprawę i skupić się prawdziwej misji. Bał się, że przez to rozczarowanie zniechęci w przyszłości Gilberta do kolejnych podróży. Widać taka była cena za przyszły pokój. Jej moralność nie chciała mu dać spokoju.

– Za parę minut wykonamy ostatni skok – Isaac powiedział głośno w

kierunku profesora, by oddalić od siebie te myśli. Nie było co przejmować się tym, póki co.

Gilbert siedział w kajucie, zajadając się czymś, co przypominało połączenie macek ośmiornicy i makaronu. – Smacznego, chociaż nie wiem, jak ty to możesz jeść – powiedział Isaac, widząc tę udziwnioną potrawę.

– A dziękuję, dziękuję – powiedział profesor, przeżuwając fragment. – Naprawdę powinieneś kiedyś tego spróbować. Na kampusie wszyscy się na to rzucają, tak że w ciągu godziny nic nie zostaje.

Isaac nie wyglądał na przekonanego, więc kontynuował poruszony przez siebie temat.

Jeśli jedzą tam to codziennie, to dobrze, że nie poszedłem na studia.

– Wskoczmy na jakieś sześćdziesiąt jednostek, od układu Stagitariusza. Potem jeszcze jakieś trzy standardowe godziny i pod wieczór wylądujemy w stolicy. O ile kontrola nas nie zatrzyma.

Gilbert wydał się pozytywnie ożywiony tą wiadomością, że aż odłożył sztucce.

– Pod wieczór? Wspaniale. Będę miał okazję trochę zwiedzić planetę – uśmiechnął się. Koncepcja ruchu bardzo mu przypadła go gustu.

– Do tego czasu przygotuję ci dokładny datapad z mapą i miejscem, gdzie będziesz miał zarezerwowane lokum. Ja sam będę trzymał się w pobliżu statku. Tak byś wiedział, gdzie mnie będziesz mógł znaleźć, gdy skończysz swoje wykłady – położył przed profesorem niewielki prostokątny wyświetlacz, na którym był przestawiony rozkład budynków w mieście wraz z planem, jak można dostać się z jednego końca na drugi. – Ewentualnie przejdę się po okolicy i zobaczę, czy czegoś ciekawego nie znajdę dla siebie.

Gilbert spuścił głowę po tej wiadomości, wydawał się mało zadowolony.

– Myślałem, że razem będziemy spędzać czas – powiedział. – Głupio się tak przyznawać, ale jakoś twoje towarzystwo bardzo mi przypadło do gustu.

Isaac westchnął, ale uśmiechnął się. – Jeszcze będziemy mieli na to czas. To dopiero początek – Isaac odwrócił się w jego stronę i ruszył w kierunku kabiny. Zapach jedzenia go bardzo odstraszał, ale nie chciał w żaden sposób

urazić profesora. – Wybacz, że przerwałem ci posiłek – dodał jeszcze z grzeczności, wchodząc do swojej kabiny.

Potrzebował trochę czasu dla siebie, nie był przyzwyczajony do towarzystwa innych osób. Nawet jeśli z nimi dobrze się dogadywał.

Miał pomysł nawet gdzie się uda po wylądowaniu.

W związku z ogólnoprzyjętym niedawnym zawieszeniem broni i pokojem, w geście dobrej woli, cywilna odprawa graniczna była szybka i bez przeszkód mijala na każdej z kolonii. Celników interesowały tylko papiery, a nie rzeczywiste towary. Wyjątki stanowiły tylko dwie główne Caprica i Akwarius, ale i one zmniejszyły potrzeby biurokracji na czas bliżej nieokreślony. Lądowanie profesor spędził wyglądając przez iluminator umieszczony z przodu statku. Kompensatory tak samo, jak i poprzednio, działały doskonale i żaden z pasażerów niczego nie odczuł. Schodząc przez atmosferę było widać ogromny ruch statków powietrznych. Stagitarium słynął z tego, że jego główną gałęzią gospodarki był handel. Choć technologicznie byli mocno średni w stosunku do innych kolonii, ich liczba statków, jak i kapitał kolonialny, było tym, co nadrabiało różnicę. Praktycznie wszyscy mieli tu jakieś kontakty albo zobowiązania. Czasem z ludźmi, których nie chce się mieć za wrogów.

Jednak pomimo ogromnych wpływów nikt nie odważył się im sprzedać tajemnic napędu aero-atomowego czy też fuzyjnego. Widać nie wszystko mogły kupić ich pieniądze. Akwarius i Caprica, jako dwie najpotężniejsze kolonie, silnie strzegły swoich sekretów. I choć Stagitarium był przez większość czasu neutralny, podczas ostatniego konfliktu, ich gospodarka przyjęła na klatę nie jedno silne uderzenie. Ten świat miał lepszy czas za sobą i każdy potrafił wskazać winnych tego stanu. Główny port był praktycznie w środku stolicy. Przypominał ogromne, zniekształcone słońce z rozchodzącymi się promieniami na zewnątrz. Każde z nich było głównym środkiem komunikacyjnym, a także granicą pomiędzy poszczególnymi dzielnicami miasta. Formalnie było ich dwanaście, chociaż nieoficjalnie

wszyscy traktowali cały ten twór jako jeden wspólny organizm. Pomimo tego były miejsca, które występowały tylko w konkretnych sektorach. Takim miejscem był cel ich lokalnej podróży.

Konferencja naukowa znajdowała się w tak zwanej Ósemce Edukacyjnej. Z tego względu skierowano ich na odpowiednie lądowisko w tej części miasta. Stagitarianie niezbyt przepadali, gdy przyjezdni szwendali się bez kontroli po całej kolonii. Ich wizy i karty osobiste, w związku z tym, zostały odpowiednio wcześniej odpowiednio zaprogramowane. Nie wolno im było wyjść poza wskazaną strefę pod groźbą aresztu i wydalenia.

Pogoda była bardzo przyjemna, ciepło słońca klasy F, według głównego rzędu, ogrzewało planetę w odpowiednim stopniu, a niewielki lekki wiaterek chłodził, gdy zrobiło się za ciepło. Drobne chmurki od czasu do czasu rzucały kojący cień, który nigdy nie trwał zbyt długo. Isaac wiedział, że nad pogodą sprawował oko System Kontroli Klimatu. Na tyle kosztowny system, na których przez cały czas było stać właśnie tylko Stagitarian i to nawet przy obecnym kryzysie. Ich system był doskonalszy niż jakikolwiek inny, który widział. To był lokalny monolit, ich własnej władzy.

Wylądowali gładko na platformie lądowej, robiąc wcześniej niewielką rundkę tak, by profesor mógł się przyjrzeć architekturze innej kolonii.

– Tutaj nasze drogi się rozchodzą, Gilbercie, przynajmniej na razie – powiedział Isaac, wychodząc ze statku i wynosząc przy tym walizkę profesora. – Najbliższe cztery czy pięć dni spędzisz w kampusie naukowym. Będziesz tam bezpieczny. Ja tymczasem obmyślę plan dalszej podróży.

– Pięć dni...? To wydaje się tak dużo. – Uwierz mi, Gilbercie, będziesz miał bardzo zajętą głowę – uśmiechnął się w jego stronę. – Komisje, studenci, wykłady i masa pytań, na które będziesz musiał odpowiedzieć spowoduje, że ten czas przeleci ci, jakbyś przelał przez palce wodę – dodał, uśmiechając się.

Profesor odwrócił się od swojego młodszego przyjaciela i spojrzał przez ramię jeszcze na statek, po czym dodał grzecznie:– To w takim razie do zobaczenia, przyjacielu – podał rękę Isaacowi i wraz z zachodzącym słońcem udał się ze swoją walizką, w kierunku postoju lokalnych taksówek.

Przyjacielu...

To słowo dziwnie zarezonowało w jego głowie. Nigdy szczerze nie miał prawdziwego przyjaciela. Nie był pewien, jak powinien się w związku z tym zachować.

Pomachał mu na pożegnanie, patrząc, jak wchodzi do lokalnej taksówki i oddala się.

Isaac pierwszy raz od początku został zupełnie sam. Chociaż stał tak z parę minut, samotność zaczynała się uwydatniać. Brakowało mu już starego i wygadanego profesora. Chociaż to, że był jednak zahartowany w długich samotnych podróżach niewiele pomagało. To uczucie bycia samemu nie było mu obce, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu odczuł dotkliwie szczerą, wielką pustkę.

Spojrzał na chronometr. Do dnia pozostało jeszcze parę lokalnych godzin. Nie chcąc stracić pozostałej resztki dnia, rozkazał komputerowi, by tylko reagował na jego głos i bez jego wyraźnego rozkazu nie podejmował żadnych działań.

Spojrzał na rozciągające się po horyzont miasto. Było teraz jedno miejsce, które mogło mu pomóc z jego nowym prywatnym problemem. Jeśli zaciągnie przy tym trochę lokalnego języka, tym lepiej.

Rozdział ósmy

Zapis ósmy. *Leo – duża planeta. Większość zasobów wodnych obecna tuż pod powierzchnią. Klimat suchy. Występowanie niewielkich oaz zieleni w miejscach wypływu ciekłej wody. Fauna uboga, ale różnorodna i stabilna.*

Szansa na dominację: 0.5%

Szansa na katastrofę: 3%

Knajpka, do której zawiodła go intuicja i przeczucie, była jedną z tak zwanych mordowni. Była też jednym z głównych ośrodków hazardu – tego nieoficjalnego. Chociaż hazard był w niewielki sposób regulowany z ramienia rządu, w przypadku, gdy gra toczyła się o większe kwoty czy uczestnikami były dosyć delikatne osobistości, rozgrywki schodziły do podziemia. Tutaj przeważnie nikogo nie interesowała przeszłość osoby. Przeważnie...

Jej wystrój i nastrój należał do tej grupy bardziej ciemnej i mrocznej. Bar znajdował się na samym środku i był jedynym w pełni oświetlonym miejscem, wszystko wokół było spowite półmrokiem, z rzadka, przy jakimś stoliku, paliła się lampka. Klienci bardzo cenili tu swoją prywatność.

W powietrzu było czuć zapach potu, alkoholu, różnych ziół i innych bliżej nieokreślonych substancji. Na tym świecie dominował pieniądz i ci, którzy byli w jego posiadaniu, mogli praktycznie robić to, co im dusza podpowiadała. Dzięki oficjalnej aprobacie władz, nie było nielegalnych towarów. Gdy ktoś miał potrzebę, mógł tu dostać wszystko, narkotyki, stymulanty czy bioniczne wszczepy. Tam, gdzie był popyt, znalazła się i podaż. Wszystko było tylko kwestią ceny.

Cóż za typowa speluna. W moim typie – pomyślał Isaac.

Spojrzał na bar. Ten zapewne był doskonale zaopatrzony we wszystko,

czego mógł chcieć taki osobnik jak Isaac. Przypadkiem jeden ze stolików barowych był pusty.

– Dużego Czarnego Tygrysa – powiedział do barmana przysiadając się do stołu. – Byle nie święconego.

Barman spojrzał na niego zza lady. W spojrzeniu nie było nic przyjemnego. To był wzrok, od którego grzeczni ludzie od razu przeprasali.

Isaac wytrwał w pojedynku spojrzeń.

– To będzie dodatkowo cię kosztować – warknął.

– Lej, co masz – wyciągnął banknot z nominałem, dwa razy większym niż sugerowała to cena napoju na etykiecie na barku.

Dobre napiwki gwarantowały, że przynajmniej barman będzie do niego bardziej przychylnie nastawiony. To co prawda niczego nie gwarantowało w pełni, ale zwiększało znacznie szansę, że nikt mu nie poderżnie gardła w pierwszej godzinie.

Barman szybko schował gotówkę pod ladę i odszedł, by przygotować napój.

Nagle ktoś oparł się o ramię Isaaca.

Isaac był gotowy zastosować typowy barowy chwyt. Polegał na złapaniu za tył głowy awanturnika i przywaleniu nią o ladę. Nie zdążył jednak tego zrobić, gdyż nieznajomy gość, choć lekko już zaprawiony, przysunął się do niego szybko i szepnął słówko na tyle cicho, że tylko on mógł to usłyszeć.

– Wszystko ma swój początek. Zawsze jest jakaś przeszłość, a ta odzywa się czasem w przyszłości. Wypatruj niosących Słowa Jego... – powiedział cicho.

– Że co? Kim jesteś? – spytał się zaskoczony, młody pilot i próbował odsunąć się od nieznajomego, ale ten silnie go trzymał.

Ten jednak nie odpowiedział, tylko opierał się wciąż dalej o Isaaca i wpatrywał się pustym wzrokiem gdzieś w przestrzeń obok.

– EJ, TY! – krzyknął barman i podszedł do zaskoczonego Isaaca. – Zostaw w spokoju moich klientów. Wynos się zawracać gitarę komuś innemu.

Nieznajomy nagle odżył i ruszył w kierunku wyjścia znikając szybko w tłumie, odbijając się od czasu do czasu od przypadkowych ludzi, wzbudzając

przy tym podobne oburzenie.

– Nie zwracaj uwagi ani na niego, ani na głupoty, które gada – barman zwrócił się do Isaaca i podał mu jego napój w kuflu. – To wariat. Gada różne rzeczy, różnym osobom. Czasem przepowiednie, czasem ostrzeżenia. Ale nigdy nic z tego co powiedział się nie spełniło.

Isaac spojrział na niego i kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Dzięki – powiedział, mając na myśli i radę, i szybką obsługę.

Spróbował tygrysa. Był nierozcieńczony, taki jaki być powinien.

Dobry znak.

– Dzieję się coś u was ciekawego? – spytał, zmieniając temat.

– To zależy, co cię interesuje – odpowiedział spokojnie barman. – Jesteś obcoświatowcem, prawda?

Nie było sensu kłamać. Barmani wiedzieli i tak wszystko. Przynajmniej, jeśli wierzyć pradawnym legendom przekazywanym od kosmicznego pirata do pirata. – Zgadza się, przyleciałem tu z profesorem Gilbertem.

Barman wytarł fragment lady, nie odrywając od niego wzroku.

– Słyszałem o tym. Szczerze to przeszedłbym się na jego wykład nawet. Nierzadko gościmy takie ważne osobistości – przybliżył się do Isaaca. – Chociaż muszę przyznać, że jednocześnie nie przepadamy też za Akwarianami i Capricanami.

Isaac zrozumiał aluzję. Nie było bezpiecznie chwalić się innym ludziom, skąd pochodzi. Widać, wojna pomiędzy jego macierzystą kolonią a Capricą odbiły się mocniej niż myślał na lokalnym populusie. Zapamięta to.

– Dzięki za radę, nie zapomnę.

Barman powrócił do swojej normalnej postawy i zajęć.

– Dla twojego dobra byłoby lepiej, byś tak zrobił. Wracając jednak do tematu. Rozumiem, że dla ludzi naszego pokroju, zwykle rozrywki cię nie interesują – było wyraźnie słyhać podkreślenie słowa „naszego”.

– To ty tu jesteś barmanem – odpowiedział Isaac i wskazał na pusty kufel, który opróżnił w międzyczasie i postawił kolejny taki sam banknot, jak wcześniej.

Tym razem nie musiał czekać nawet minuty. Barman od razu zniknął i

wrócił z dolewką.

– Grywasz w Karmazynową Pandę? – spytał, wracając z pełnym kuflem.

– Możliwe – przytaknął, popijając świeżą pianę.

Dobrze znał tę grę, ale nie musiał się tym chwalić. W gruncie rzeczy tak było dużo lepiej.

Karmazynowa Panda to była losowa gra karciana, której celem było uzbieranie konkretnej liczby punktów w puli, jednocześnie przeszkadzając innym graczom, korzystając z tych samych kart, którymi zbierało się własne punkty. Do standardowej rozgrywki potrzeba było pięciu ludzi. Można było przeszkadzać tylko ludziom siedzącym obok. A gdy ci odpadli, dopiero można było grać aktywnie z osobą siedzącą po przeciwnej stronie. Gra kończyła się, gdy wszyscy gracze poza jednym albo wycofali się, albo stracili pełną płynność finansową. Czasem też gra nie szła tylko o pieniądze.

Miał z nią doświadczenie. Nie na tyle duże, by uważać się za mistrza, ale na tyle duże, by nie robić błędów nowicjuszy.

– Dobrze. Więc, gdybyś był zainteresowany – ciągnął barman – dziś organizujemy turniej o dużą stawkę. Będzie on trwał przez trzy dni. Jeśli miałbyś tyle czasu i pieniędzy, mógłbyś spróbować – próbował go zachęcić. – Główna wygrana jest warta ceny nie jednego życia – zakończył i wyszczerzył zęby.

Paru brakowało.

– Zastanowię się – powiedział spokojnie Isaac.

Kusiła go taka perspektywa i stanowiła doskonałą okazję, by dowiedzieć się więcej. Pijani gracze często gadali więcej niż w innym przypadku.

– Jakie wpisowe jest?

Barman uśmiechnął się pod nosem.

– Zamówisz do wieczora jeszcze pięć takich rundek i masz wpis za koszt firmy.

Odpowiadało to Isaacowi. Chociaż było to lekko podejrzone, miał ochotę trochę się rozerwać. A i tak profesor będzie sam zajęty. Nie pozostało mu nic innego, niż tylko czekać. Czuł się mocno podekscytowany nową możliwością.

Rozdział dziewiąty

Zapis dziewiąty. *Canceron – oceaniczna planeta. Niewielkie obszary lądu. Bogata fauna i flora wodna. Gatunki lądowe bardzo ubogie. Największy kontynent południowej półkuli zdolny pomieścić do miliarda obywateli.*

Szansa na dominację: 0.4%

Szansa na katastrofę: 2.5%

Gilbert został rozlokowany w miejscowym akademiku. Co prawda w części dla pracowników naukowych i ewentualnych gości uniwersytetu, więc tej bardziej „luksusowej”. Pod względem standardów nie mógł chcieć czegokolwiek więcej.

Pomimo swojej chęci zwiedzenia miasta wieczorem, jego plan został pokrzyżowany. Gdy tylko dostał się na teren uczelni, został zaproszony przez samego rektora do jego gabinetu, gdzie ten przywitał go ze wszystkimi honorami i jako gościa specjalnego oprowadził po wszystkich znaczących częściach kampusu, nie oszczędzając ani na słowach, ani na próbie przypodobania się.

Ostatnim etapem tej wycieczki był akademik, w którym go zakwaterowano. Gilbert nawet sobie nie zdawał sprawy, jak wielką historię może mieć ten budynek. Według rektora ten budynek miał historię sięgającą tysiąca lat wstecz. Jeśli była prawdziwa.

– Jeśli nie czuje się pan profesor zbyt zmęczony podróżą – mówił nieprzerwanie rektor – bylibyśmy zaszczyчени, gdyby mógł pan przyjąć na krótki wykład. Tak za dwie godzinki, mniej więcej. Wyślę po pana kogoś. Nie chcielibyśmy by pan profesor się zgubił, prawda? W końcu jest pan naszym gościem.

Gilbert był zmęczony, ale nie powiedział tego. Głupio by mu było obrazić

gospodarza.

– Oczywiście, że nie. I z ogromną przyjemnością będę na nim obecny – odpowiedział, wzdychając w myślach.

Za jakie grzechy?

– Wspaniale, w takim razie już kolegę profesora zostawiam – uklonił się i wychodząc z pokoju Gilberta, gdy zamykał drzwi dodał jeszcze: – Witamy raz jeszcze na Stagitariusie. Oby ta wizytacja była dla pana wyjątkowa i niezapomniana. Do zobaczenia za parę godzin.

Zamknął drzwi.

Nastąpiła nienaturalna cisza. Jakby była całkowicie nie na miejscu.

Gilbert położył się na łóżku i wypuścił powietrze z płuc. Poczł ogromne zmęczenie. Przez cały czas był bardzo spięty. To był jego pierwszy raz na obcej planecie. W zupełnie innym środowisku, z ludźmi, których co prawda znał z nazwiska, ale nie miał przyjemności nigdy tak rozmawiać. Przerastało go to wszystko. Potrzebował czegoś bardziej znajomego.

Z drugiej strony dziękował, że wycieczka tak go zaabsorbowała. Strach przed nowością dopiero teraz się objawił.

Musiał odpocząć, jeśli ma za parę godzin znów wejść w to środowisko. Zdecydowanie ponad większość życia spędzonego w swoim laboratorium, tylko z pojedynczymi znajomymi ludźmi, odzywała się w jego duszy i nęciła go do powrotu do stanu quo.

Obiecał sobie, że w dniu następnym, po zaplanowanym cyklu spotkań, pod wieczór uda się na statek i skontaktuje się z Isaaciem. Choć młody pilot nie posiadał takiej wiedzy jak tutejsi czy też jego koledzy profesorowie i doktorzy, i nie rozumiał jego częstych żartów, był chyba jedyną osobą, którą mógł nazwać w pełni przyjacielem i czuć się przy nim swobodnie na tym świecie.

Przymknął oczy i odpłynął.

Turniej zaczął się i rozgrywał po ogromnej myśli Isaaca. Po pierwszym dniu, podczas którego odbyły się ogólne kwalifikacje, zwycięzcy z

pięcioosobowych grup spotykali się w kolejnej fazie. Ze stu dwudziestu pięciu osób została tylko jedna piąta. Wystarczyło, że pod koniec dzisiejszej rundy znów wygra, a znajdzie się w rundzie finałowej. W niej stawki zaczynały się od miesięcznych zarobków średniego szczebla kierownictwa, więc było o co grać. Dzięki funduszom GAI, na szczęście był bardzo dobrze opłacany i było go na taką rozrywkę stać. Szczególnie, że nie musiał się za bardzo tłumaczyć, na co wydaje tyle pieniędzy. Na razie generał nigdy nie przyczepił się jego wydatków. Do tej pory już wielokrotnie pomnożył swój własny majątek. Poprzednia runda okazała się bardzo żyzna.

Większość zawodników w tej rundzie była ze Stagitariusza. Jednak nie aż tylu, by zdominowali całą grę. Parę stolików dalej, w poprzedniej rundzie, wygrała pewna kobieta z Taurusa. Mówiło się, że kobiety stamtąd były tak samo gorące, jak i niebezpiecznie waleczne. Możliwe, że przyszłoby mu stanąć przeciwko niej w finale. Podobało mu się takie wyzwanie.

Nikt jednak, zgodnie z tym co mówił barman, w rzeczywistości nie przyznawał się do bycia z Akwariusza czy Caprici. Sam za jego radą udawał, że jest z Libry. Miał tam znajomego, od którego podchwycił kiedyś lokalny akcent. W uszach normalnych ludzi brzmiał, jak bardzo mocno rozpuszczony i naiwny szlachcic. Dzięki temu prostemu zabiegowi większość uczestników nie doceniała go i pozwalała mu grać, myśląc, że mają do czynienia z byle chłystkiem. To był ich błąd. Szczególnie w poprzedniej rozgrywce.

Chwilowo jednak, największym przeciwnikiem był dla niego ciemnoskóry mężczyzna z Virgo i siedząca obok Isaaca kobieta z Ariesa. Praktycznie we trójkę zaczynali dominować tym stołem i partią. Pozostała dwójka, choć wciąż w grze i choć wciąż teoretycznie miała szansę się odegrać, nie liczyła się w oczach pozostałych.

– Następna partia zacznie się za dziesięć minut – ogłosił krupier głośno i wyraźnie. Zwrócił się bezpośrednio do graczy: – Mogą państwo zostawić żetony na stole. Zapraszamy do skorzystania w międzyczasie z usług oferowanych w naszym skromnym przybytku.

Wskazał ręką na bar, ze znanym już Isaacowi barmanem.

– Nie chcę cię rozczarować młodzieńcze – zwróciła się do niego nagle kobieta z Ariesa – ale nie rób sobie nadziei, że wygrasz tę partię.

Spojrzał na nią. Zaintrygowała go.

– Czyżby? Musiałabyś pani pokazać coś więcej niż tylko słowa, aby mnie przekonać – odpowiedział i uśmiechnął się łobuzersko.

Kobieta również uśmiechnęła się, chowając tym samym twarz za wachlarzem.

– Kto wie, kto wie. Nie oceniaj dnia przed zachodem słońca – zripostowała. – Jeśli chcesz mnie obalić, również musisz mieć coś lepszego niż parę dobrych kart – mrugnęła zachęcająco do niego okiem.

Głosiła kiedyś legenda, że dla mało uważnych pilotów, którzy zgubili się w kosmosie, czekały równie piękne i kuszące kobiety z Ariesa, co niebezpieczne i bezwzględne. Te kobiety podobno opanowały w pełni sztukę amorów i manipulacji podstawowymi instynktami i wcale nie zamierzały ukrywać tego.

– Pozwoli Pani, że uczynię to z ogromną przyjemnością – uklonił się trochę błazeńsko i podnosząc się znów, zrobił swój krzywy uśmiech – po tym, jak ogołocę panią od stóp do głowy z pieniędzy.

Bezpośredniość i grubiaństwo Isaaca widać nie przypadły jej do gustu, bo odwróciła się i spojrzała w drugą stronę.

Isaacowi za to spodobała się to. Choć wiedział, że to tylko jej gra, nie wyglądała na biedną kobietę i choć wszyscy przy stole potrafili kantować i udawać owieczki, były to wilki gotowe rzucić się bez współczucia na bezbronną ofiarę. Wystarczyła chwila słabości.

Wstał rozprostować kości i ruszył w kierunku baru.

– Widzę, że ci nieźle idzie – odparł barman i nim Isaac zdążył cokolwiek powiedzieć, podał mu to samo, co podawał od wczoraj. – Na koszt firmy.

– Rozumiem, że chcesz mnie spić. Ile ci dali? – odpowiedział, odgryzając się i siadając.

– No wiesz co? Ładnie rzucać takie oskarżenie, do starego znajomego.

Znali się od wczoraj.

– Każdy ma swoją cenę – odpowiedział Isaac i przechylił kufel. – Mówię

ci, jeśli wygra ta laska, to chyba zamówię coś innego.

Barman wytarł ladę i spojrzał spod oka.

– Wtedy nie będzie cię na to stać – burknął. – Więc przyjacielska rada – wskazał mu drogę do drzwi wyjściowych. – Tam są drzwi.

– Uuu... no wiesz, to było takie brutalne – odstawił kufel na stół.

– Taki u nas jest zwyczaj – zabrał pusty kufel. – Bez obrazy.

– Żadna przyjeta – powiedział i wstał. Musiał wracać do stołu.

Tym światem rządził pieniądz. Jeśli ktoś tracił płynność finansową, tracił też pozycję w społeczeństwie. Brutalne zasady, ale przynajmniej sprawa od początku była jasna. Nie było w tym niczego niesprawiedliwego. Każde dziecko to rozumiało i nikt nie miał pretensji. Biednym było się na swoje własne życzenie.

Wrócił do stołu, reszta graczy była już obecna i po ich poważnych minach było widać, że są gotowi, nawet się zabić w tej rundzie. Niecałą minutę później krupier uderzył w niewielki dzwoneczek, anonsując wznowienie gry.

Każdy z graczy dostał od niego pięć kart do ręki i dwie na stół.

Isaac dostał piątkę i siódmkę – więcej niż chciałby, ale w niczym to mu nie przeszkadzało. W ręku siedziały karty o bardzo małej wartości. Dwie z – 2, 3 i 1. Przy pomocy tych kart miałyby niewielki wpływ na przebieg rundy. Na szczęście w tej grze liczyło się nie tylko to, jakie się miało, ale także to, co sądzili inni gracze, że się ma.

Przekazał wierzchem do góry kartę z liczbą –2 kobiecie z Aries i puścił jej oko.

Zauważyła to i również się uśmiechnęła.

Drugiemu sąsiedniemu graczowi dał jedynekę, podbijając sumę z kart, jakie miał na stole.

Dawanie karty z ujemnym nominałem normalnie było traktowane albo jako wyzwanie, albo oznaka szacunku. Czasem jako próba przekupstwa, jako próba kupienia sobie spokoju na chwilę. To była gra nie tylko oparta na zaufaniu, ale też i na ryzyku. Dzięki tym kartom mogli oni zagrać ciut luźniej. Chyba, że ich próbował zapędzić w fałszywe poczucie spokoju i

bezpieczeństwa. Psychologia w rozgrywkach tego typu sięgała kosmosu, w ciągu sekundy wszyscy potrafili stać albo sojusznikami, albo wrogami. Nie wiadomo było, kiedy była doskonała okazja do zmiany frontu. A zwycięzca mógł być tylko jeden.

Inni gracze również porozdawali swoim sąsiadom karty. Pozostała mniej znacząca dwójka oddawała spore minusy swoim sąsiadom w nadziei, że pozwolą im zostać do kolejnej rundy. Ich fundusze szybko topniały. Byli zdesperowani. Zapewne podczas przerwy zapożyczali się od kogo się tylko dało, w nadziei, że ich to uratuje.

Jedynie ciemnoskóry przeciwnik nie dał żadnej nikomu. Był albo bardzo odważny, albo wiedział o czymś i nie zamierzał się tą wiadomością podzielić.

Krupier rozdał każdemu po nowej karcie.

Isaac spojrział na stół. Od swojej rywalki dostał dwójkę, a od drugiego sąsiada -8. Ewidentnie oboje też chcieli utrzymać go, przynajmniej chwilowo, po swojej stronie. Dostał bardzo dużo czasu.

Nową karta miała nominał 9.

Idealnie.

Żadna ze stron go nie zdradziła teraz, ale pasywną grą nie mógł wygrać. W szczególności uwzględniając, że w przyszłości jego ciemnoskóry przeciwnik zaczynałby mieć przewagę w liczbie kart. Pasując teraz, mógłby pozwolić pozostałej dwójce pozbyć się kart, a sam dogoniłby go lekko. Choć istniało ryzyko, że gdyby dostał dwie bardzo duże karty na swoje konto, przekroczyłby liczbę karmazynowej pandy, to znaczy 25. Wtedy oznaczałoby to dla niego koniec. Z drugiej strony miał rezerwowo drugie -3, które mógł wykorzystać w takiej sytuacji. Problemem byłyby przyszłe rozdania, tyle, że do tego musi przetrwać, a zanim to nastąpi, może się naprawdę wiele wydarzyć.

Można powiedzieć, że lojalność sąsiada przez początek miała zapewnioną. Tylko, że on także chciał wygrać. Mógł się założyć, że ma w tym celu specjalnie zachowane karty. Był jednak łatwą zdobyczą – płotką. Z drugiej strony towarzystwo damy z Ariesa, choć było przyjemne dla Isaaca i chciał dłużej z nią zagrać, mogła się okazać śmiertelnym zagrożeniem

niedługo. Dałby radę ją wyeliminować w ciągu dwóch rund, jeśli karty mu na to pozwolą. Była to opcja do rozpatrzenia.

Coś wzruszyło publiką i resztą gości w lokalu. Isaac był jednak za bardzo skupiony na rozgrywce, by się tym interesować. Publika często potrafiła budzić się i dziwnie działać podczas rozgrywek. Możliwe, że ktoś wywołał jakąś burdę, bo przegrał zakład czy coś, ale w takim przypadku ochrona zaraz się nim zajmie.

Przekazał samą dziewiątkę rywalce.

– Przepraszam panów, ale jesteśmy w trakcie rozgrywki – odezwał głośno się krupier.

Czasem zdarzało się, że bardziej nierozważni klienci próbowali przerywać tego typu turnieje, więc Isaac nie przejął się tym za bardzo.

– Reprezentujemy Stagitariański Wymiar Sprawiedliwości. Przyszliśmy po Isaaca Vomisę – Isaacowi podszedł żołądek do gardła w ciągu sekundy. Poczul cień na swoich plecach.

– Ależ ten dżentelmen nie dopuścił się żadnego czynu. Czy nie mogą panowie wyjaśnić sprawy później? – próbował uspokoić sytuację krupier, mając w tym biznes taki, że gdyby Isaac został w grze, mógłby zostawić w przybytku więcej pieniędzy niż gdyby zwinęła go straż.

– To groźny przestępca – ten, który prowadził grupę, oparł rękę na ramieniu Isaaca – dodatkowo przemytnik, musimy go aresztować.

To nie był żaden powód. Przemyt, choć i nielegalny tutaj, był czymś zupełnie akceptowalnym. Co najwyżej młodziaków się nim straszyc.

A Isaac nie był młodziakiem.

– Mają panowie nakaz? – spytał spokojnie, choć domyślał się odpowiedzi. Wewnętrznie zaczynał się bardzo stresować i nie podobało mu się to. Chciał uciec, ale przez to cała misja wisiałaby na włosie. Prawdę mówiąc, już zaczynała. Gdyby nie ona, zrobiliby mniejszą burdę i uciekł w zamieszaniu.

– Myślałem, że nie zapytasz – uśmiechnął się pewnie i drwiąco strażnik oraz położył przed nim dokument. Żetony i karty, którymi grał, zostały pod nim.

Isaac przyjrzał się dokumentowi.

Nie było mowy o pomyłce – kojarzył nawet zarzuty przedstawione mu w nim. I fakt, że w domową kolonię był wpisany Akwarius, wcale mu nie pomagała.

Isaac, wstając, spróbował jeszcze zabrać wygraną, ale strażnik wykręcił mu rękę i zaczął odprowadzać ku wyjściu.

– Dobrym zwyczajem byłoby, gdybyś zrekompensował pozostałym graczom tą niedogodność i wyszedł grzecznie – powiedział mu, szczerząc się głupio.

– Z przyjemnością – odrzekł Isaac przez zęby. Jego wygrana była naprawdę duża. Chciałby dostać jeszcze okazję, by móc się odegrać.

W ciszy i spojrzeniach wszystkich, niedoszły jeden z faworytów turnieju został wyprowadzony do pojazdu straży. Isaac wiedział, że nie dość, że będzie musiał zastanowić, co z tą sytuacją zrobić, to jeszcze zapewne przez parę najbliższych lat będzie musiał radzić sobie z interesantami, którzy obstawili go w zakładach. W takich miejscach było ciężko pozbyć się wszelkiego niechcianego towarzystwa. Na szczęście miał jeszcze dwa dni na znalezienie rozwiązania. Oby Gilbert sobie jakoś radził.

Rozdział dziesiąty

Zapis dziesiąty. *Pincerus – planeta bardzo bogata w złoża minerałów i metali. Klimat bardzo suchy. Znaczna część życia skupiona w okolicy biegunów planety. Równik bardzo silnie wypalony słońcem.*

Szansa na dominację: 0.2%

Szansa na katastrofę: 1.2%

Kolejny dzień od świtu zleciał Gilbertowi niesamowicie szybko. Znow był wycieńczony. Praktycznie jeszcze w nocy nim wstał dostał pełną listę spotkań, prezentacji i paneli, w których musiał wziąć udział. Najgorsze było to, że w dobrej połowie z nich powtarzał to samo, a w połowie dostawał pytania w ogóle niezwiązane z tematem. Pytano się go, jak mu się tu podoba, co by chciał porobić i dlaczego by nie został tu na dłużej. Chaos wokół jego osoby był nie do zniesienia, a najgorsze były w tym wszystkim pytania polityczne. Ich chciał unikać jak ognia.

I choć był wygadana osobą, wolał rozmawiać twarzą w twarz ze swoim rozmówcą, a nie z masą ludzi. Ci zlewali się w jedno na takich otwartych spotkaniach. Lubił czuć się przywiązany i w pełni zaangażowany. Zaczynał bardziej tęsknić za Isaacem. Pod wieloma względami bardziej go lubił niż część tutejszych doktorów czy adiunktów. Tym zależało tylko na tym, by się pokazać z nim na zdjęciu czy zadać jakieś pytanie. Prestiż to była jedyna rzecz, na której im zależało.

Pod wieczór, gdy wreszcie udało mu się wyrwać z tego zwariowanego wiru obowiązków i formalności, podjął już decyzję. Pójdzie odwiedzić swojego młodego przyjaciela na statku. Zastanawiał się, czy tak miałyby wyglądać ich wszystkie przystanki po drodze. Jeśli tak, to jak on da radę to znieść?

Wychodząc minął grupkę studentów bawiących się w swoim gronie przy pomocy jakichś nowoczesnych cudów techniki. Jak bardzo zazdrościł im możliwości, tak beztroskiego życia. Sam chciałby wrócić do swoich planów i laboratorium, gdzie nikt poza Anastazją nie przeszkadzał mu w tym, co kochał najbardziej.

Poszedł dalej, zostawiając ich w tle.

Nim dojechał do portu kosmicznego, zrobiło się już ciemno. Bardzo niewielu ludzi krzątało się po okolicy. Było jakoś tak cicho i spokojnie. Odpowiadał mu teraz taki stan rzeczy.

Jego personalna karta zezwalała mu na nieograniczony dostęp do statku, którym przyleciał. Wszedł na lądowisko. Oświetlenie zewnętrzne było wyłączone. Nie było widać żadnego światła dochodzącego ze środka statku.

Podszedł bliżej, ale wszystko wskazywało na to, że statek był zamknięty i pusty. Próbował przy pomocy zewnętrznego komunikatora skomunikować się, upewniając się na wszelki wypadek czy Isaac może po prostu śpi, ale żadnego odzewu nie było.

Niepocieszony zdecydował, że wróci następnego dnia. Możliwe, że tak jak mówił Isaac, był on sam gdzieś na mieście i nie chcąc mu w tym przeszkadzać, nie użył ich osobistego kanału.

Widać młodzi, jak i starzy, potrzebowali się wyszumieć i odpocząć trochę. Nie mógł za to go winić.

Gdy wychodził z lądowiska, z niewielkiego osobistego pojazdu podeszło w jego stronę dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn w ciemnych ubraniach.

– Rozumiem mamy przyjemność z panem profesorem Gilbertem? – spytał jeden z nich.

Poczuł się trochę zaskoczony tym pytaniem. Nie spodziewał się, że ktoś poza uniwersytetem o nim słyszał.

– Zgadza się, w czym mógłbym panom...

Nie zdążył dokończyć, gdyż ten sam mężczyzna przerwał mu w połowie wypowiedzi.

– Znakomicie, pozwoli Pan w takim razie udać się z nami.

Drugi obszedł profesora i stanął bezpośrednio za nim, ten z przodu

podszedł do wozu i otworzył tylko drzwi zapraszając go do środka gestem dłoni.

– Jest pewien dżentelmen, który po prostu nie może doczekać się, by pana poznać – powiedział groźnie i bezpośrednio.

Profesor próbował oprzeć się i odejść, jednakże w związku z tym, że byli bardzo „przekonywujący”, nie był w stanie.

– Z przyjemnością spotkam się z tym panem. Tyle że niezbyt teraz mogę – próbował się wykręcić. – Muszę się przygotować na jutrzejszą prezentację.

– Niech pan posłucha – ten pierwszy zbliżył swoją twarz bardzo blisko twarzy profesora. – Nasz klient byłby bardzo rozczarowany, gdyby nie spotkał się pan z nim. Teraz! Pana spotkanie będzie musiało zostać przełożone na inny termin, jeśli w ogóle do niego dojdzie. Nie chcielibyśmy używać wobec pana żadnej siły. Rozumiemy się?

Wskazał ręką wewnątrz pojazdu i kiwnął głową swojemu koledze, by wprowadził on opornego profesora do środka.

Drzwi się zamknęły. Gilbert miał tylko nadzieję, że po spotkaniu będzie mógł spokojnie wrócić do swoich spraw i uda mu się jakoś skontaktować z Isaacem w międzyczasie i powiadomić go o tym.

Rozdział jedenasty

Zapis jedenasty. *Tauron – niski poziom tlenu. Wymagana interwencja w orbicie i przechylenie osi planetarnej. Zasoby ziemne łatwo dostępne na powierzchni planety. W obecnym stadium planeta sprzyjająca życiu, jednakże mocno ograniczonemu.*

Szansa na dominację: 0.09%

Szansa na katastrofę: 6%

Cela nie była najprzyjemniejsza. Była jedną z tych w bardzo starym stylu. Stalowe drzwi, żelbetonowe ściany i niewielkiej wielkości zakratowane okno. Wilgoć, chłód i pot były odczuwalne w powietrzu.

Podczas przeszukania i aresztowania zabrali mu wszystko, jego broń, dokumenty, własnej roboty zestaw włamywacza i inne rzeczy osobiste. Jedyne, co mógł zachować, to ubranie. Nie został co prawda skazany jeszcze, więc nie mogli mu i tego zabrać. Jednak nie czuł się wcale tym faktem podbudowany. W końcu i tak był uwięziony.

Do dyspozycji w celi miał niewielkie, równie stare i wysłużone łóżko, mały odświeżacz i cienki kocyk. Na wypadek, gdyby mu było zimno w nocy.

Normalnie, hotel najwyższej klasy.

Będąc osobą wprawioną w byciu w takich sytuacjach, zaczął od dokładnego sprawdzenia pomieszczenia. Niewielkie pęknięcia i rysy na ścianach, nic co by miało potencjał na coś większego. Gdyby tylko znalazł się jakiś drut albo blaszka, mógłby pokombinować przy zamku. Niestety cela była dobrze wysprzątana.

Na jego szczęście widać władze nie traktowały go poważnie i póki co nie zamknęły go w poważnym więzieniu z magnetycznym zamkiem. Tutaj był

tylko klasyczny zamek spustowy, który przy niewielkiej pomocy z zewnątrz można było w łatwy sposób wspomóc i otworzyć.

Za oknem świeciły już gwiazdy za chmurami. Te szybko przesuwały się na niebie. Światło dwóch księżycy potęgowało ponury nastrój i samopoczucie więźnia. Noc nie była już młoda od jakiegoś czasu. Po ułożeniu księżycy można było mniej więcej obliczyć, że był teraz środek nocy. Miał więc dwie doby na ucieczkę, nim Gilbert skończy wykłady i będzie chciał wrócić. Prawdopodobnie nawet mniej.

Oby tylko z profesorem wszystko było w porządku.

Myśl o nim strasznie go dręczyła.

Nie mógł go zawieść. Niestety obecna sytuacja wiązała mu ręce. Zarzuty przemytu kontrabandy wysunięte przeciwko niemu były prawdziwe. Lata temu rzeczywiście dopuścił się tego. Tyle, że od tego czasu minęły długie lata, a po drugie nie podróżował wtedy pod swoim nazwiskiem. To było jeszcze za czasów, gdy nie pracował dla GAI. Więc albo ktoś go wrabiał, albo miał dowody, o których Isaac nie wiedział. Pamiętał, że był bardzo ostrożny wtedy i przy późniejszych wizytach nic nigdy nie wypływało.

Czyżby jakiś stary klient, a może przypadek? – zastanawiał się, ale nie mógł powiedzieć.

Wypity turniejowy alkohol zaczął dawać się we znaki. Poczul zmęczenie.

Skoro nie mógł tak po prostu wyjść, sen pozostawał jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić. Świeży umysł przyda mu się z rana.

Położył się i próbował zasnąć nie myśląc ani o Gilbercie, ani o zarzutach, ani o sytuacji, w jakiej się znalazł. Z rana wymyśli coś, los zawsze mu pomagał w takich sytuacjach. Wystarczyło tylko wczekać na właściwy moment i wspomóc szczęście, gdy podawało pomocną dłoń...

Zamek w celi zgrzytnął niespodziewanie.

Isaac otworzył powoli oczy.

Było bardzo ciemno. Chmury zasłoniły światła księżyców. Bez niego było jednak widać, że ktoś stał nad nim bezpośrednio.

Musiał wyteńczyć umysł i szybko pomyśleć. Gwałtowne ruchy tylko mogłyby mu zaszkodzić. Nie wiedział, kim jest jego nowy gość.

Ostrożność przede wszystkim.

Przekręcił się powoli na właściwy bok i powoli zaczął wstawać, wpatrując się w sylwetkę gościa.

Tym okazała się po drugim rzucie oka kobieta.

Dobrze zbudowana, ubrana w ewidentnie polowe czy też wojskowe ubranie. Z krótkimi włosami, ale delikatną kobiecą sylwetką, jednakże trochę umięśnioną. Komplet broni zawieszony wzdłuż jej pasków świadczył, że nie warto było wchodzić jej w paradę. Przypominała mu jedną z jego znajomości sprzed lat. Zachował jednak tę myśl dla siebie. Szczególnie, że nie powiedziała jeszcze ani słowa.

Cisza wypełniała celę przez dobre parę sekund. Dla Isaaca jednak z jakiegoś powodu czas przeleciał zupełnie inaczej, jakby to były całe długie minuty.

– Na co się gapisz? – powiedziała z oburzeniem nieznajoma. – Wstawaj! Masz robotę do zrobienia.

Był zaskoczony, nie wiedział, co powiedzieć, jednak niepewnie przełknął ślinę i odezwał się.

– Wiesz... jest na co. Sama rozumiesz, ale czy mogłabyś mi wpiery wyjaśnić, kim tak właściwie jesteś i dlaczego nachodzisz mnie w mojej własnej celi, gdy próbuję odpocząć?. – odpowiedział, starając się zabrzmieć jak mógł najbardziej pewnie. Tak jakby był panem sytuacji.

– To kim jestem, nie ma dla ciebie żadnego znaczenia – jej spojrzenie było surowe, a w głosie nie było żadnych uczuć. – Musisz wiedzieć jedną rzecz, reprezentuję pewną grupę osób, której zależy, by twoja misja się w pełni udała.

Huxley? – w ciągu sekundy praktycznie całkowicie się obudził i otrzeźwiał.

Tajemnicza kobieta udała, jakby go w ogóle nie słyszała i kontynuowała swoją wypowiedź.

– Dla mnie mógłbyś umrzeć w tej celi. Niestety ważniejsze jest to, byś żył

i znalazł profesora – zrobiła krok w tył, dając młodemu pilotowi szansę, by mógł wstać z łóżka. – Masz sześć godzin, by go znaleźć.

Gdy Isaac ogarniał się, wyciągnęła mały komunikator i rzuciła nim na łóżko, na którym przed sekundką spał.

– Po tym czasie lokalna policja zacznie cię szukać i drugi raz nie uratuję wam skóry. Czy to jasne?

Isaac kiwnął głową na znak. Był gotowy do akcji.

– Czemu mam szukać profesora, tak w ogóle? Powinien być przecież na kampusie.

Nieznajoma spojrzała nie niego, tak jakby miała go rozszarpać za bezczelność.

– Zniknął nam z oczu. Będziemy go szukać w międzyczasie niezależnie od ciebie. Jeśli go nie znajdziesz, odlecisz stąd sam – wskazała na komunikator, który dostał przed momentem. – Wasz statek został zabezpieczony. Tylko i wyłącznie w przypadku, gdy znajdziesz profesora lub gdy minie sześć godzin, skontaktujesz się ze mną. Powiem ci wtedy, gdzie on się znajduje, jasne? – skończyła, akcentując mocno.

Isaac podszedł i wyciągnął rękę, jednakże gest nie został odwzajemniony.

Przez chwilę patrzyła na niego, wilczym wzrokiem niewyrażającym żadnych emocji.

– Idź już – powiedziała.

Isaac wiedział, że jego zbawczyni zaraz wyrzuci go siłą, jeśli będzie się opierał.

Wyszedł z celi i ruszył ku wyjściu z więzienia. Cisza i pustka otaczająca go wokół była bardzo dziwna. Żaden ze strażników nie był na swojej pozycji.

Rozdział dwunasty

Zapis dwunasty. *Scorpio – średniej wielkości planeta z suchym klimatem. Największe występowanie wody i roślinności w okolicach równika. Bardzo duże zagęszczenie fauny i flory na obszarze równika. Bieguny silnie zmrożone. Jądro planety w stanie zamierania aktywności. Surowce naturalne obecne pod powierzchnią.*

Szansa na dominację: 0.2%

Szansa na katastrofę: 0.7%

Podróż nie trwała długo. Całą drogę ani jeden ochroniarz nie wyraził żadnego słowa. Były tylko dwa postoje. Pierwszy przy bramie, z kolejnymi dwoma strażnikami uzbrojonymi praktycznie po zęby i drugi raz, gdy zatrzymali się, by wypchnąć go siłą na zewnątrz.

Podwórze, na którym się znalazł, było ogromne. Zieleń otaczała go z każdej strony. Ogromna zielona przestrzeń była zaburzana tylko od czasu do czasu kępami rzadkich kolorowych roślin, fontanną czy paroma marmurowymi figurkami. Zachodzące słońce dodatkowo podkreślało i nasycalo wszystkie kolory. Osoba, która była właścicielem, musiała być szalenie zamożna. Nielicznych było stać na taki luksus. Luksus, który robił takie piorunujące wrażenie.

Ogród jednak był niczym w porównaniu z willą. Główna przednia fasada była śnieżno biała i miała szereg marmurowych kolumn. Nad częścią z nich sprawował pieczę ogromny balkon. Wejście samo w sobie było umieszczone po środku, a dostać do niego można było się po dwóch półokrągłych schodach. W środku między ścieżkami stała kolejna fontanna, która dodatkowo przyczyniała się do majestatu całemu budynkowi.

Profesor został „grzecznie” poproszony, by udał się po klatce do wejścia.

Jeden z osiłków otworzył mu drzwi.

– Witam pana, profesorze Gilbertcie – odezwał się ze środka niski mężczyzna z wąskim wąsikiem pod nosem w chwili, gdy Gilbert przekroczył próg. – Mam nadzieję, że podobała się panu ta mała podróż. Niech mi pan wierzy, naprawdę trudno było ją zorganizować.

Gilbert uklonił lekko głowę i skrzywił się. Jakaś nieprzyjemna aura biła od gospodarza.

– Czy to pan odpowiedzialny za to... to... całe porwanie? – spytał niepewnie. Nie chciał być zbyt niegrzeczny. Praktycznie był sam w jaskini lwa.

Gospodarz uśmiechnął się od ucha do ucha i w rozpostarł ramiona w zapraszającym geście.

– Porwanie? Toż to bardzo niemiłe słowa, drogi panie profesorze – podszedł bliżej i dał znać osiłkom, że mogą odejść. – Prosiłem bardzo, by zajęto się panem bardzo grzecznie.

Dodał czułym głosem.

– Mam nadzieję, że nic się panu po drodze nie stało?

Profesor zmieszany wzruszył ramionami i poprawił swoją lekko zużytą już marynarkę.

– Nie, nie. Wszystko w porządku, ale czy raczyłby mi pan wytłumaczyć, co to wszystko ma znaczyć.

Mężczyzna podszedł bliżej, objął na tyle ile mógł w połowie wysokości plecy profesora i wskazał w kierunku jednego z holi.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział radośnie. – Ale wszystko swoim czasie. Jako gospodarz, skoro już pan przekroczył moje progi, muszę pana ugościć. Tak zwyczaj nakazuje. Niech mi pan wierzy, że dowie się pan wszystkiego w odpowiednim czasie.

Profesor nie wiedział, jak i czy w ogóle może odmówić w pozycji, w której się znalazł. Z ogromną przyjemnością wróciłby na kampus, a jeszcze lepiej na statek. Tam przynajmniej czuł się bezpiecznie i prawie jak w domu.

Poszedł jednak za głosem żołądka. Jedzenie było jego słabym punktem. Udał się więc za gospodarzem w nadziei, że zje, wyjaśnią sobie wszystko i

niedługo wyjdzie.

W gruncie rzeczy, co takiego złego może mi się tu przytrafić? – pomyślał, idąc w kierunku salonu.

Weszli do jadalni.

Sala był naprawdę ogromna. Z jednej strony prawie na całej długości przeszklona szyba, z drugiej ściana ozdabiana obrazami w bardzo starym stylu. Na środku stał ogromny długi stół. Gospodarz posadził go po jednej stronie długiego stołu.

Ten był w pełni wyłożony samymi wykwintnymi potrawami z różnych światów. Nie umknęło uwadze to, że większość z nich była daniami regionalnymi z samego Akwariususa. Sprowadzenie ich tutaj i przygotowanie w taki sposób, samo w sobie musiało być ogromnym przedsięwzięciem.

Choć mózg i zdrowy rozsądek chciał oddalić się z tej posiadłości jak najdalej, przez aromaty i oszłamiający widok jedzenia, żołądek zdominował w pełni wolę i profesor, który usiadł przy stole, nie mógł nacieszyć wzroku całym tym jedzeniem. Gospodarz zajął miejsce po przeciwnej stronie.

– Pozwoli pan, że się teraz przedstawię – powiedział. – Nazywam się Garcia Pacano. I jak domyśla się pan, jestem tylko skromnym właścicielem tego dworku – mówiąc to, ogarnął rękami całe pomieszczenie, nieprzerwanie uśmiechając się.

Wskazał profesorowi na jedzenie, by go skosztował.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan miał urazy do mnie za to... ekhm, teatralne zaproszenie – skinął prawie niezauważalnie głową. – To wszystko jest dla pana, na pana cześć – zaklasnął dłońmi i od razu lokaj wszedł z butelką naprawdę wyjątkowego szampana. Został on rozlany szybko i sprawnie do dwóch wysokich kieliszków. Jeden trafił w ręce gospodarza, drugi został postawiony przed Gilbertem. Lokaj zostawił butelkę przed profesorem, po czym dyskretnie się oddalił. Całość trwała nie więcej niż minutę.

– Za udane spotkanie – powiedział Garcia, wznosząc toast. Gilbert, choć niechętnie, ale z grzeczności, przyjął go i również przechylił kieliszek.

Szampan był niesamowicie dobry. Bąbelki doskonale nadawały charakter

napojowi, a kubki smakowe wręcz szalały przez doznania, jakie wywierał on na nich. Lekki cytrusowy posmak doskonale się zgrywał z chłodną temperaturą cieczy.

– Sprowadziłem tu pana w bardzo poważnej sprawie – powiedział Garcia, nakładając sobie na talerz przeróżne potrawy. – Widzi pan... tutaj, na Stagitariusie, handel odgrywa bardzo ważną rolę.

Wziął do ust kawałek pieczeni z lokalnej kaczki wysokogórskiej.

– Mmmm... doskonale – przeżuwał po mału i komentował smak. – Niech pan się nie wstydzi. To wszystko dla pana jest. Ja tylko się częstuję.

Gilbert zaczął delikatnie i niepewnie przekładać fragmenty na swój talerz. Gospodarz miał rację. Wszystko, ale to absolutnie wszystko, było naprawdę dobre.

– Więc, jak mówiłem... – wrócił do rozmowy Garcia, widząc, że kucharz spisał się doskonale, także gość był teraz całkowicie pochłonięty jedzeniem. – Handel jest u nas szalenie ważny. Mam tę przyjemność być jedną z osób, która jest odpowiedzialna za napędzanie go i kontrolę zarazem – wskazał na szereg portretów przedstawiających mężczyzn z grubsza przypominających jego samego.

– Moi szlachetni przodkowie. Od praktycznie pięciu pokoleń mój dumny ród sprawiał pieczę nad rozwojem ekonomicznym naszej silnej gospodarki – spojrzał na profesora. – Jak widzi pan profesor, ciąży na mnie ogromna odpowiedzialność. Nie tylko ze względu na moją rodzinę, ale także wszystkich moich wspaniałych ziomków.

Pociągnął i zakręcił jednym ze swoich niewielkich i cienkich wąsów.

– Niestety w wyniku niedawnej wojny pomiędzy Akwariusem i Capricą, nasza ekonomiczna potęga podpadła w gorszy okres. Recesję, jeśli mogę tak powiedzieć – oparł łokciami o stół i połączył swoje dłonie wewnętrznymi stronami i zaczął przebierać palcami. – W związku z czym, moją uwagę aktualnie absorbuje znalezienie sposobu na powstrzymanie moich ludzi przed popadnięciem w zupełną depresję i kryzys.

Gilbertowi udało się zebrać na tyle dużo odwagi, by przerwać jego monolog i zadać pytanie.

– Ale jaki ja mam w tym udział? Dlaczego mnie pan gości u siebie? Garcia klasnął dłońmi i z radością odpowiedział.

– Bardzo się cieszę, że zadał pan to pytanie. Widzi pan... jest jedna sprawa, z którą mógłby pan nam pomóc. Otóż, jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, reprezentuje pan geniusz dosłownie nie z tego świata. Pana wiedza, jak i umiejętności, są po prostu niezastąpione – odłożył na chwilę sztucce i bardzo poważnie powiedział. – Pańskie oddanie i pańska wiedza dotycząca napędu aero–atomowego niesamowicie przydałaby się naszej kolonii. Dzięki niej odzyskalibyśmy status potęgi wśród naszej dwunastki.

Profesor nie wiedział, co powiedzieć. Nagle go uderzyło, że powód, dla którego zostało zainicjowane całe to spotkanie, był wręcz banalny i oczywisty od samego początku.

– Nie rozumiem... Jeśli chciałby pan bym udzielił pomocy w opracowaniu napędu dla pana, powinien pan raczej skontaktować się z naszym rządem. Nie jestem w pozycji, by móc udzielać takich informacji.

Garcia uśmiechnął się pod nosem.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Gilberte.

Gilbert od razu wychwycił zmianę przyimka na jego imię. Ton wypowiedzi gospodarza zmienił się.

– To o co o chodzi panu w takim razie, panie Pacano?

Gospodarz wstał od stołu i podszedł do przeszklonej ściany i, będąc odwróconym do swojego gościa, mówił:– Dlatego zostałeś sprowadzony tutaj – założył ręce za plecy. – Nie jestem idiotą, by spodziewać się, że po dobroci zgodzisz się pomóc nam w zamian za obiad. Miałem złudną nadzieję, że jako człowiek nauki może zgodzisz się po dobroci. Konflikt, za który pociągam też i pana do odpowiedzialności, przyczynił się do upadku wielu rodów tutaj nas na Stagitariusie. Mógłbym powiedzieć, że jesteś przyczyną ogromnej biedy i tragedii. I jak się z tym czujesz?

Powietrze dla Gilberta nagle stało się bardzo ciężkie. Bardzo nie podobała mu się ta sytuacja, jak i do czego zmierzała ta rozmowa.

– Wciąż nie rozumiem, co pan chce osiągnąć. Nie spełnię pana prośby – powiedział stanowczo Gilbert. – Jestem na wyprawie naukowo–edukacyjnej.

Jeśli pan pozwoli, życzę sobie wrócić na swój statek albo przynajmniej na kampus uczelni. Mam niedługo wykłady, które muszę poprowadzić.

Garcia Pacano odwrócił i spojrział śmiertelnie poważnie na profesora.

– Cóż, w takim razie nic innego mi nie pozostaje, jak zmusić pana do pozostania tutaj.

Zagwizdał głośno ustami. Chwilę później do jadalni weszło kolejnych dwóch ochroniarzy i ustawili się przy Gilbertcie, czekając na rozkazy.

– Pokaże panu teraz pana nową pracownię, w której spędzi pan trochę czasu. Zmądrzeje pan i postanowi się podzielić z nami swoją wiedzą, to może pana puszczę – wskazał dłonią, by wyprowadzili go. – Jeśli myśli pan, że ktoś pana uratuje, to od razu rozczaruję pana. Pana pilot Isaac Vomisa jest właśnie bardzo zajęty i gwarantuję, że nie przybędzie panu na ratunek.

Wrócił do stołu i rzucił o podłogę swoim talerzem z niedokończonym jedzeniem.

– Staralem się być dla pana doskonałym gospodarzem, ale rozczarował mnie pan. Niech pan się zastanowi przez noc nad swoją pozycją. Z rana wrócimy do tematu.

Ci ochroniarze byli jeszcze mniej delikatni niż poprzedni. Praktycznie podnieśli za ramiona Gilberta we dwoje i zaciągnęli przez połowę posesji do niewielkich drzwi ukrytych tuż za zakrętem niedaleko jadalni. Tam, trzeci ochroniarz, odpowiedzialny za pilnowanie drzwi, otworzył je i razem znieśli go ogromnej piwnicy i zostawili samego.

Piwnica, choć ogromna i w pełni wyposażona w różnoraki sprzęt laboratoryjny, z diagramami, probówkami i innymi elementami każdej pracowni, Gilbertowi wydała się jakaś obca. Tak jakby pusta w środku i bez duszy. Każde laboratorium, które miał przyjemność oglądać wcześniej, odbijało w części charakter osoby w nim pracującej. Te było sztuczne, świeże, w ogóle nieruszone.

Przeszedł go dreszcz i dopiero teraz do niego doszło w pełni, w jakiej sytuacji się znalazł.

Został porwany i jeśli wierzyć słowom gospodarza, Isaac nie był w stanie mu pomóc. Przerazało go to mniej więcej tak samo jak to, że praktycznie

sam się w ten bałagan wpakował. Chciał wierzyć, że jego przyjaciel przyjdzie mu z pomocą. Przez te parę dni, naprawdę się z nim związał, ale rozsądek i rozum poddawały się panice i podpowiadały mu, że został zupełnie sam. Zupełnie jak w najgorszym koszmarze.

Przygód mi się zachciało na stare lata...

Rozdział trzynasty

Zapis trzynasty. *Virgo – trzecia pod względem wielkości planeta w układzie. Bogata w ciekłą wodę, tlen, roślinność, minerały i ciężkie metale. Bliskość pasa asteroid. 65% powierzchni planety pokrywają oceany. Ląd spowity w większości bardzo zróżnicowanym lasem. Klimat umiarkowany ciepły. Sprzyjające pory roku.*

Szansa na dominację: 6%

Szansa na katastrofę: 0.0001%

Jego wybawczynie miała rację, profesor jakby rozpląnął się w powietrzu. Zaczął od sprawdzenia portu kosmicznego, w którym zostawił statek.

Zgodnie z tym, co mu tam powiedziano, statek został zabrany przez kogoś, kto podał się na niego. Nie zdziwił się tym. Skoro tyle wysiłku włożono w to, by zapewnić mu ucieczkę z lokalnego więzienia, nie było niczym dziwnym, że zaopiekowano się także jego statkiem, tak na wszelki wypadek. Czy to z powodu, by mieć kartę przetargową, czy z rzeczywistej troski.

Nikt nic nie mówił, czy zauważył samego profesora od czasów ich przybycia. Za względnie niewielką łapówką, udało mu się dostać wgląd w lokalne kamery bezpieczeństwa. Te rzeczywiście zarejestrowały Gilberta mniej więcej w czasie, gdy sam Isaac był na turnieju karcianym. Przeszło mu przez myśl, by tam wrócić i dowiedzieć się, co do samego turnieju. Tyle, że za bardzo rzucałby się w oczy wtedy, wracając do miejsca, w którym go aresztowano. Zresztą miał ważniejszą sprawę na głowie, był odpowiedzialny za bezpieczeństwo profesora. Był mu to winny tak samo, jak winny generałowi. Musiał zająć się tą sprawą poważnie i profesjonalnie.

Czas nieubłaganie mijał szybko. Zostało mu trochę ponad cztery godziny, według lokalnego czasu, z sześciu, które dostał. Jeszcze nie było

żadnych oznak świtu, ale wiedział, że presja go nieubłaganie goniła.

Następnym punktem był kampus uczelniany. Była wielka szansa, że dostanie tam jakąś podpowiedź. W drodze niepokoił się faktem, że tak łatwo przyszło mu wydostanie się z aresztu. Jeśli był w to zamieszany generał Huxley, to bardzo dobrze, ale skoro tak, to dlaczego nic mu nie powiedział wcześniej?

Kim była ta kobieta? Czy przypadkiem ktoś jeszcze nie był w to zamieszany? Jakaś inna grupa? – nie potrafił odpowiedzieć sobie na te pytania i nurtowały go one nieprzerwanie.

Na kampusie również niewiele się dowiedział. Profesor przegapił i był zupełnie nieobecny na dwóch wykładach. Z czego podczas jednego z nich, miał udzielić dłuższego przemówienia. Nikt nie wiedział, gdzie mógł się udać. Parę osób powiedziało, że widzieli go, jak wychodził z uczelni i kierował się z grubsza zapewne w kierunku, z którego właśnie Isaac przyszedł.

Jedno było pewne. Był tutaj obecny na kampusie, skąd następnie, zapewne próbując, spotkać się z Isaaciem, udał się na lądowisko. Od tamtej pory nikt nic o nim nie wiedział.

Ślad się urywał.

Isaacowi zaczynały nachodzić czarne myśli i sumienie, dawno nieużywane, również przyłączyło się i zaczęło ciążyć. Myślał, że jeśli zostawi go samego na uczelni, to nic mu będzie. Większej pomyłki to już chyba wcześniej nie zrobił. Jak miał kontynuować swoją misję, skoro tylko profesor miał znajomość o teoretycznym działaniu caprikańskiego wraku statku? Generał Huxley wyraźnie mu powiedział, że jest odpowiedzialny za niego.

Nigdy więcej! – obiecał sobie w myślach.

Jeśli uda mi się go znaleźć, nigdy więcej nie zostawię go. Czuł się tak, jakby zawiódł drogiego przyjaciela, którego nigdy nie miał. Choć znał profesora zaledwie tylko trochę ponad parę tygodni, ten stał mu się bardzo bliski. Bliższy niż ktokolwiek wcześniej.

Czas płynął nieubłaganie. Pozostała już mu tylko połowa czasu.

Było wielce prawdopodobne, że ktoś porwał profesora. Ale kto i dlaczego,

nie miał pojęcia, choć miał przypuszczenia co do drugiego pytania. Niestety, nikt nie wiedział o niczym, albo nie chciał powiedzieć.

Pozostało mu jedyne miejsce, w którym ktoś mógł mu dać odpowiedzi.

Tam, gdzie zawsze krzątały się szumowiny, które wiedziały i słyszały wszystko, czego normalni ludzie nie widzieli. A mędrce i wyrocznią wśród nich był znów barman. Wystarczyło go tylko dobrze zagadać.

Rozdział czternasty

Zapis czternasty. *Obserwacja. Pomimo wszelkich prób w jednej kolonii wytworzył się kult. Obawa, że może przekształcić się w irracjonalną wiarę. Co gorsza, nawiązuje on do nas. Musimy być w przyszłości jeszcze bardziej ostrożni.*

Najbliższa taka miejscówka rzeczywiście była klasyczną mordownią. Z takich miejsc często nie wychodziło się w jednym kawałku. Zlokalizowana była w piwnicy starego magazynu przeładunkowego. Praktycznie za sam wygląd można było aresztować każdego tutaj. Jakikolwiek najgorsze zarzuty rzucone pod czymkolwiek adresem, prawdopodobnie nie mijałyby się daleko z prawdą i przeszłością adresata.

Było to bardzo niebezpieczne miejsce. Tylko lokalne bandziory do wynajęcia czuły się tu swobodnie. Nie było niczym nienormalnym, że raz na jakiś czas, ktoś komuś wsadził tu kosę między żebra albo wsypał coś do napoju. W praktyce, kto nosił większą i bardziej nielegalną spluwę, był bardziej szanowany. Ale tym samym stawał się celem dla bardziej zorganizowanego ataku wszystkich, którzy stali poniżej w hierarchii.

Jako obcoświatowiec Isaac rzucał się bardzo w oczy. Jednakże dzięki doświadczeniu z przeszłości, miał już przyjemność przebywania w takich miejscach. Wiedział jak nie wejść nikomu na odcisk i jak postępować, gdyby ktoś próbował go zaczepić. Problem leżał w tym, że w przypadku bijatyki wszyscy raczej chętnie staną przeciwko niemu, a w najlepszym przypadku mniejsza część zignoruje go, pozostawiając „tylko” tą większą.

Usiadł sam w rzędzie podwójnych kanap.

Skóra na siedzeniach była mocno wytarta, blat nosił blizny nie jednego ostrza. Zapewne sam stół mógłby opowiedzieć nie jedną historię, mrozącą krew w żyłach każdego normalnego obywatela. Nim zacznie działać, będzie

musiał wtopić się trochę w otoczenie. Zobaczyć kto jest kim, do kogo nie należy nawet podchodzić, a kim mógł bezpiecznie pomiatać. To była prawdziwa dzicz. Byli tu zarówno drapieżnicy, obojętni roślinożercy, jak i wszelakie pasożyty. A on był obcy i zaburzał równowagę.

Wiele złych par oczu patrzyło na niego nieprzerwanie czujnie.

Zamówił kufel pełen ciemnego piwa, zostawiając po raz kolejny w okresie ostatnich paru dni wielokrotność napoju na ladzie. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to zatrucie czymś, co mógł mu podać barman albo kelner.

Czas mijał niestety powoli, nie mógł nic na to poradzić. Sporo ludzi przyglądało mu się spod oczu przez długi czas, ale w końcu liczba ta zmalała do akceptowalnej wartości. Dzikie zwierzęta, jakimi byli tutejsi bywalcy, przyzwyczaili się do obecności obcego. Chociaż poza nim, byli tu także inni równie niebezpieczni, którzy tylko czekali na okazję. Każdy był wrogiem, nawet kelner, który podawał napoje.

Ktoś nagle przysiadł się na kanapę za plecami Isaaca.

– Hue, hue, hue – zaśmiał się jeden głos. – Ale się dorobiliśmy dzisiaj.

– Nieźle obrobiliśmy frajerów – odpowiedział drugi.

– KELNER! – zaczął krzyczeć ten pierwszy. – KELNER! CHODŹ NO ŻE TU! PIWA NAM POLEJ!

– TA! BYLE SZYBKO! – przyłączył się do krzyku i ten drugi.

Na chwilę się uspokoili, dając czas obsłudze na zrealizowanie ich zamówienia. Ta przyszła bardzo szybko. Dostali dużo szybciej to, co chcieli.

Istniała zasada, że im głośniej się zachowujesz, w takim miejscu, tym więcej uwagi na siebie zwracasz. I można było tak robić, ale tym samym, było trzeba mieć coś, czym ją można było poprzeć. W większości przypadków były to pieniądze lub inna źródła bezpośredniej władzy.

Zaintrygowali od razu Isaaca. Przynajmniej w ich cieniu stawał się niewidoczny, a o to mu też chodziło.

Każdy z nich wypił dwa kufle na raz. Przynajmniej tak to zabrzmiało po beknięciu, jakie wydali.

– BUEEEEEK! – beknął głośno jeden z nich. – Tego mi, kurwa, było trzeba!

Drugi bardziej kulturalnie walnął ciężkim kuflem o stół, aż szkło

zadudniło.

– Miałeś, kurde, zajebiste oko. Wypatrzyłeś tego oszołoma, jak mu tam było... – powiedział drugi. – Iszmał... Igor... Voitla... Czy jakoś tak, do cholery...

– Iiiiisszaaaaak Vom... bueeek... – znowu beknął ten pierwszy. – Coś tam... Nieważne. Jest z głowy.

Isaac znieruchomiał. Albo to zbieg okoliczności, albo fortuna go, bardziej niż myślał, lubi. Ci dwaj momentalnie awansowali w jego oczach. Nie dość, że udało im się go przyskrzynieć, co i tak jest wyzwaniem samym w sobie, to jeszcze go znali po imieniu.

Zaczynam być sławny – przeszło mu dumnie, szybko przez myśl.

Zaczął uważnie słuchać ich konwersacji. Mogli powiedzieć coś interesującego.

– Frajer, dobrze mówisz – odpowiedział drugi. – Niech gnije obcoświatowiec w pace. Nie było trzeba do nas przylatywać. ZA SUKCES! – podniósł kolejny kufel i znów po raz kolejny opróżnili swoje naczynia w ciągu paru sekund.

Co za potwory, jak oni to mieszczą w sobie?

Czas mijał, a towarzystwo było coraz bardziej pijane. Dla niepoznaki Isaac również musiał zamawiać raz na jakiś czas kolejne piwo.

Uznał, że przyszedł czas na działanie. Wystarczająco dużo już zmarnował. Ci dwaj wiedzieli, gdzie znajdują się profesor. Parę rund temu jednemu wymsknęło się słowo, za co dostał po twarzy kuflem od pierwszego. Byli mocno zaprawieni, ale jeszcze nie w wystarczającym stopniu.

Dla większości bywalców stali się oni już irytującym towarzystwem, chociaż nikt nie interweniował, ani nie powiedział słowa. Nikomu nie chciało się podejmować żadnych działań, gdy wreszcie dojdą do swojego limitu, będzie można się bez wysiłku zająć. Tak działały prawa tej dżungli. Tyle, że Isaac nie zamierzał czekać na ochłapy.

Nie było na to czasu. Trzeba trochę wspomóc tę dwójkę.

Dał znać kelnerowi, by podszedł do niego.

– Podwójną, nie... Potrójną porcję mocy na tej dwójki – powiedział i

wręczył mu bardzo słony napiwek. – I powiedz im, że to od firmy za ich sukces. A dla mnie jeszcze jedno to samo, co wcześniej.

Kelner przyjął pieniądze i oddalił się. Jeśli był profesjonalistą, posłucha się instrukcji i nie będzie zadawał zbędnych pytań.

Nie musiał długo czekać. Minutę później wyszedł zza lady baru, niosąc trzy kufle. Jeden ciemnobrązowy, zapewne dla Isaaca i dwa ciemnokarmazynowe, z prawie że bulgoczącą zawartością. Nie chciał wiedzieć, co jest w środku. Ważne, by było skuteczne.

– Kierownictwo pozdrawia was, panowie – słyszał jak kelner wypowiada słowa zgodne z jego życzeniem. – Życzy wam sukcesu i zaprasza ponownie. To prezent specjalnie dla panów.

Dwa oprychy coś w podzięcie burknęły i sięgnęły po nową zawartość.

– A to dla pana, zgodnie z życzeniem – kelner podał Isaacowi jego zamówienie.

– Dziękuję – odpowiedział. – A to dodatkowy prezent dla ciebie.

Podał mu kolejny wysokiego nominału banknot i zaczął po mału pić swoją zawartość.

Wszystko układało się zgodnie z planem. Dwójka nie była już w stanie tak szybko wypić nowej zawartości, ale wciąż nie dawała za wygraną.

Tym razem Isaac skończył pierwszy swój kufel.

Nadszedł czas.

Odwrócił się i bez pytania huknął jednego z nich w tył czaszki. Przyjemnie chrupnęło, a szkło wydało przyjemny oddźwięk.

Ten, którego nazwał numerem jeden, rąbnął bez słowa na stół. Drugi nie do końca jeszcze przetworzył, co się stało, i patrzył tępy wzrokiem przed siebie, bujając się lekko.

– GDZIE JEST PROFESOR?! – krzyknął Isaac bardzo basowym głosem, przeskakując między siedzeniami. Znalazł się wprost naprzeciwko niego.

– Coooo... Jaaa... Ktoo... Ty... – dochodząc lekko do siebie, próbował coś wyartykułować, ale nie za bardzo mu to wychodziło.

– GADAJ, TĘPA GŁOWO!

– Kim... Jak... Ty... W pace... – wciąż próbował zebrać słowa, ale alkohol w

żyłach wyraźnie nie pozwalał mu na to.

Isaac zirytowany uderzył go pięścią w twarz. Wiedział, że musi uważać, choć te dwie bestie potrafiły wypić więcej niż on przez trzy największe życiowe imprezy, i oni mieli swoje granice. Mocniejsze uderzenie mogło ich całkowicie unieruchomić, a potrzebował informacji.

– GADAJ, GDZIE JEST PROFESOR ALBO OBIORĘ CIĘ ZE SKÓRY! – zagroził mu, chociaż nie miał tego w ogóle w planach.

– Pro... pro... feeesssss... – teraz był podwójnie otumaniony, ale przynajmniej zaczynał rozumieć, o co chodzi.

– GDZIE? GADAJ! – powtórzył, uderzając potężnie swoim kuflem o stół.

Kufel wytrzymał. Stół wydał błagający odgłos, by więcej tego nie robił.

– Gaa... Gaaaa... Garciaa... Paaaa... Paaaa... Pacano... – odpowiedział.

Garcia Pacano, a więc on! – pomyślał Isaac. Lokalny samozwańczy ojciec chrzestny, własnej niby mafii. Będzie ciekawie.

Na do widzenia trzepnął jeszcze raz po twarzy swojego gadatliwego rozmówcę, tak że dołączył on do kompana przy stole w pozycji pijackiej ustalonej.

Isaac musiał szybko się ewakuować. Wiedział, że załatwił dwóch lokalnych bandziorów, przez co zwrócił na siebie uwagę. Jedyłą jego szansą było szybkie odwrócenie od siebie uwagi, tak, by sępy mogły się zająć padliną, a nie nim.

– NIECH TO CZEREP! Ile oni mają hajsu! – krzyknął. Wiedział, że to słowo klucz spowoduje, że zaraz rzucą się wszyscy w celu przetrzepania nieprzytomnej dwójki ze wszystkich kosztowności. W ten sposób Isaac przestał być ich punktem uwagi. Wszyscy tylko czekali, aż ta dwójka padnie – sądząc ze stanu upicia i ilości trunku, jakie wypili i tym, co gadali, byli przy kasie i każdy wiedział, że to nie blef.

Wiele osób wstało na raz ze swoich stołów i ruszyło w kierunku Isaaca i nieprzytomnej dwójki. Dosłownie chwilę później ktoś popchnął kogoś innego, powodując lawinę zdarzeń. Chwilę później poszły w użycie noże, za nimi maczety, a za jeszcze nimi inna wszelaka broń, jaką mieli tutejsi bywalcy.

W atmosferze ogólnej burdy Isaac szybko wymknął się wyjściem. Sprawdził czas. Miał trochę ponad dwie godziny według lokalnego czasu. Na szczęście nie musiał wiedzieć, gdzie mieszka Garcia Pacano. Przy ostatniej wizycie miał przyjemność poznać dokładnie jego domostwo. Musiał się śpieszyć, jeśli miał uratować Gilberta. Garcia był człowiekiem mocno nieobliczalnym.

Rozdział piętnasty

Zapis piętnasty. *Nawigator popełnił błąd, podając złe współrzędne. Nie byliśmy w stanie zlokalizować PSR 1257 + 12 Licha. Na szczęście wykorzystaliśmy zapasowe współrzędne awaryjne PSR J1614-2230. Nawigator dostał poważną naganę. Zgubienie pulsara mogło kosztować życie całej załogi.*

Posiadłość znów sprawiła na nim to samo wrażenie, jakiego doznał parę lat wcześniej. Nie miał, co prawda, najlepszych wspomnień, jednakże dzięki nim znał słaby punkt zabezpieczeń. Jeśli Garcia nie zmienił swoich nawyków, to nie był on człowiekiem na tyle ufnym, by zatrudnić armię żołnierzy strzegących jego skromnego domostwa. W jego małym umyśle, myślał, że jeśli postawi wysoki mur i powie wszystkim, że żyje tu Pacano, wszyscy będą się bali nawet podejść, a co dopiero wejść do środka. Dlatego zatrudniał tylko niewielką grupę, którą regularnie zmieniał, co parę miesięcy, we własnej paranoi.

Dwójka strażników strzegła głównej bramy i zapewne paru jeszcze patroloowało okolice. Reszta niewielkiego oddziału siedziała w swoich barakach, zapewne grając w karty albo inaczej tracąc czas.

Gdyby nie to, że Isaac sam zażył sporą dawkę alkoholu, mógłby spróbować jakoś zabajerować tych na wejściu, jednak w aktualnym stanie, nie było to możliwe.

Na szczęście istniały inne sposoby penetracji takich zabezpieczeń.

Isaac, stojąc za ścianą, wyciągnął z kabury swój niezawodny magnetyczny rewolwer. Całe szczęście, opuszczając więzienie, dostał od swojej wybawczynie worek ze wszystkimi jego przedmiotami, w tym i jego broni, jak i paru przydatnych gadżetów.

Broń magnetyczna, choć siła jej rażenia nie dorastała broni laserowej czy

plazmowej do pięć, miała parę zasadniczych zalet. Jedną z nich było to, że była to broń o amunicji kinetycznej. Dodatkowo, można było załadować specjalną inną amunicję. Jedną z nich był pocisk z hakiem, który przy zderzeniu z celem rozrywał się i wbijał we wszystko, z czym miał styczność. Oczywiście zasięg tej amunicji był niewielki, jednakże do wspinaczki i pokonywania zapór wysokościowych, była doskonała. Cienka linka z włókna szklanego, albo nanorurek, potrafiła utrzymać ciężar normalnej osoby bez problemu. Jedyne, co było niezbędne, to umiejętność wspinaczki przy pomocy liny. Sam rewolwer niestety nie miał silniczka do automatycznego podciągania. Inna zaletą było to, że cała broń praktycznie nie wydawała żadnych dźwięków przy strzale. Co też było powodem, dla którego nigdy nie zamontował owego silniczka.

Drugim urządzeniem, z którym się nie rozstawał prawie nigdy, był uniwersalny zakłócacz. Miał tylko nadzieję, że w willi są tylko kamery bezprzewodowe audio–holograficzne. Gdyby miał więcej czasu, mógłby opracować plan dostania się z pewnością, że pozostanie niezauważony, niestety nie miał tej swobody. Wykryją go prędzej czy później, ale przynajmniej dzięki zakłócaczowi, będzie to bardziej później niż wcześniej.

Przy pomocy haka z linka i z włączonym urządzeniem zwinnie przeskoczył przez płot i wylądował w miękkich krzakach po drugiej stronie.

Nigdzie nie było widać żadnych strażników. Dokładnie tak, jak myślał.

Do budynku dzieliło go dobre paręnaście sekund sprintu po odsłoniętej przestrzeni. Trochę długo, ale nie miał wyjścia. Przydałby mu się teraz kombinezon maskujący, taki, jaki kiedyś widział u generała.

Cóż... marzenia.

Rozejrzał się jeszcze raz i puścił bezpośrednio pod najbliższą ścianę, mając nadzieję, że nikt nie usłyszy odgłosu jego biegu.

Wejście do środka zajęło mu chwilę. Musiał cały czas nasłuchiwać czy jakiś strażnik nie robi właśnie obchodu, jednocześnie skupiając swoją uwagę na obejściu elektronicznego zamka. Zbyt długo nie łamał już takich zamków. Przynajmniej czterokrotnie przekroczył swój życiowy rekord. Zmartwiło go to trochę. Spojrzał na zegarek.

Pozostało mu półtorej godziny.

Musiał myśleć szybko.

Gdzie bym ukrył profesora, gdybym chciał go porwać i gdybym był zapatrzonym w siebie megalomanem? – spytał sam siebie w myślach.

Odpowiedź była wręcz banalna, jeśli tylko Garcia nie wymyślił niczego nowego od czasu jego ostatniej wizyty, Isaac dokładnie wiedział, w którą stronę w labiryncie korytarzy musi się udać. Grunt, by nie wpadł na nikogo.

Cisza i pustka dookoła trochę budziły grozę i powodowały niepokój. Zdecydowanie wolał, gdy coś się działo. Brak żywej duszy oznaczał, że dzieje się coś innego, co odciąga uwagę wszystkich. W normalnych okolicznościach nie byłoby w tym nic złego, ale zdecydowanie lepiej byłoby, gdyby wiedział, co sprawia, że nikogo w okolicy nie ma.

Dobiegł truchtem w ciszy do zakrętu, za którym powinno być zejście do piwnicy. Delikatnie przy pomocy niewielkiego lusterka spojrzął, czy nie ma jakiegoś strażnika.

Był.

Nie było czasu na wymyślanie fortelu.

Wyciągnął swój rewolwer i przeładował na klasyczną amunicję.

Czas to pieniądz – jak to mówiło bardzo starożytne przysłowie, a tego nie miał zbyt wiele, więc życie tego strażnika nie miało aktualnie żadnego większego znaczenia, a tym bardziej nie będzie mu ciążyło na sumieniu.

Zdarzało już mu się zabijać w przeszłości. Czasem honorowo, czasem w plecy, czasem przypadkiem. Nauczył się z tym żyć. Tak było, że los zsyłał gorszy dzień i dostawało się strzał tak, że nie było co później zbierać. Widać, ten strażnik dzisiaj taki dostał.

Szybko jeszcze wyjrzał przez zakręt, ocenił odległość i kierunek, przełknął ślinę i wyskoczył zza winkła.

Oddał jeden strzał. Tyle wystarczyło, by zabić. Pocisk prawie bezgłośnie opuścił lufę rewolweru i pokonał krótki odcinek, wytracając całą swoją energię kinetyczną w kościach czaszki strażnika. Pocisk przeleciał przez korę mózgową, a dokładniej przez fragment odpowiedzialny za kontrolę

ruchu mięśni szkieletowych oraz za mowę. W konsekwencji strażnik praktycznie od razu osunął się na ziemię, nie wydając żadnego dźwięku.

Isaac przeładował broń. Mogła się przydać w przyszłości, a dobrym zwyczajem różnica w jednym pocisku w magazynku mogła decydować o przyszłym losie bitwy.

Podszedł do zwłok, szukając czegokolwiek, co mogło otworzyć zamknięte drzwi. Karta magnetyczna była podpięta do jego paska. To było prostsze niż się spodziewał.

Przy okazji odbił sobie część wydatków z tego, co miał strażnik przy sobie.

Otworzył szybko drzwi przy pomocy karty.

Rozdział szesnasty

Zapis szesnasty. *Katastrofa... (Błąd odczytu)... Wymagała radykalnej ingerencji. Na szczęście projekt jest we wczesnej fazie rozwoju.*

– Szefie, nie chcę przeszkadzać... – goryl cichaczem wszedł do gabinetu, w którym siedział Garcia na swoim skórzanym fotelu i przeglądał swoje trofea.

– Już przeszkodziłeś! – odpowiedział szorstko gospodarz i odłożył model statku z jego fabryki, który był kiedyś szczytem technologicznym Stagitariusa. – Mów, co jest tak ważnego, że mnie nachodzisz w godzinie chwały.

Było widać na twarzy ochroniarza, że bał się gniewu swojego pana. Odpowiadał cicho i niepewnie.

– Cóż... Parę minut temu zarejestrowaliśmy pewną anomalię na naszych kamerach...

Garcia wydał się niewzruszony za bardzo tą informacją i nic nie powiedział.

– Niby nic, ale kazałem to sprawdzić naszych chłopakom, ale nic nie znaleźli.

– Więc dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – odpowiedział gniewnie gangster.

– Cóż... Uznałem, że warto będzie poinformować o tym Thomasa, aby miał się na wszelki wypadek na baczności...

Powieka Garcii lekko drgnęła i poruszył ustami tak, że wąż z jednej strony lekko mu się zagiął.

– I... I...

Goryl spojrział na swoje nogi, przebierał nimi zawstydzony.

– Wyduś to z siebie człowieku!

– I Thomas nie odpowiada – skończył i skulił głowę, jakby przygotowywał się na dostanie jakiejś kary, choć był dobrze zbudowanym mężczyzną; jakoś tak jak wszyscy, czuł strach przed niewielkim gangsterem z lokalnego półświatka.

Pacano nagle odsunął się od swojego biurka i wstał gwałtownie, jakby przypomniał sobie o czymś ważnym.

– Thomas strzegł profesora, prawda? Pacany! – ruszył szybko w kierunku drzwi i stojąc przy nich, krzyknął na ochroniarza. – CO TAK STOISZ, DEBILU! Stawiaj wszystkich na alarm. Ktoś próbuje uwolnić profesora.

Ochroniarz skulił się i ruszył w pośpiechu wykonać rozkaz.

Garcia krzyczał jeszcze do niego przez korytarz.

– ZA PIĘĆ MINUT ZBIÓRKA PRZY MOJEJ ZBROJOWNI. ZAWIADOMCIE STRAŻ PLANETARNĄ – JAKBY CO, UMYWAMY RĘCE.

Ochroniarza już nie było widać, ale wciąż ciężkie kroki były słyszalne. Garcia ruszył w kierunku zbrojowni. Nie podobało mu się to, że ktoś włamuje się do jego willi, szczególnie w chwili jego triumfu. Akurat w trakcie planowania poszerzenia swojej strefy wpływów, dzięki przyszłej współpracy profesora.

Trzaskając drzwiami, ruszył dzikim pędem.

Chciał do niej jak najszybciej dojść. Miał w środku odpowiednie wyposażenie, by zaopatrzyć po zęby niewielki oddział. Ze zbrojowni mógł również zarządzać wewnętrznym systemem bezpieczeństwa. Jednym przyciskiem mógł zamknąć większość drzwi i tylko przy pomocy specjalnych kodów, jego ludzie mogliby podróżować w środku. Intruz nie miał szans. A gdy przyjdzie, straż planetarna powie, że nastąpiło poważne włamanie, z planowanym zamachem na jego życie, co tylko pomoże mu wykorzystać to w swoich politycznych planach.

Uśmiechnął się pod nosem, wchodząc do środka zbrojowni i zakręcając wążem. Wszystko miał pod kontrolą.

– Gilbercie? – krzyknął niepewnie i niezbyt głośno Isaac, schodząc do jasnej i ogromnej piwnicy.

– Isaac! Wielka Całko! – profesor aż podskoczył z podłogi, na której leżał.
– Wiedziałem, że mnie znajdziesz. Nie przestawałem wątpić, że nic ci nie jest i że mnie szukasz.

Wstał i ruszył w kierunku Isaaca, który czujnie na wszelki wypadek rozglądał się po przepastnej piwnicy.

– Ten brutal... Garcia Pacano... próbował mnie porwać... – zaczął tłumaczyć przyjacielowi, na jego ustach widać było radość i uczucie pełnej ulgi.

Isaacowi również kamień spadł z serca. Stres związany z uczuciem zawodu i rozczarowania przyjaciela minął. Teraz myślał tylko o tym, jak się stąd razem wydostać. Ochroniarze zapewne już odkryli, że włamał się do posiadłości.

– Bardzo dobrze cię widzieć, Gilbercie – podał rękę przyjacielowi i ponaglił go, by zebrał się i uciekał razem z nim.

Zostawili więzienie wraz z jeszcze ciepłym strażnikiem za sobą.

Nawet nie spróbował go ukryć. To nie miało żadnego znaczenia.

Profesor spojrzął tylko przelotnie na martwego strażnika, ale nie powiedział niczego. Nie musiał. Wiedział, co się stało i że było to zapewne niezbędne. Miał teraz pełne zaufanie do pilota.

Szybko tą samą drogą próbowali ruszyć ku wyjściu, którym wszedł Isaac.

Nagły alarm rozległ się głośnym dźwiękiem.

Z hukiem wszystkie drzwi, w tym i awaryjne, wiodące ku wyjściu, zamknęły się.

Byli odcięci.

– Chyba odkryli nas – stwierdził oczywistość profesor.

– Musimy wydostać się stąd – Isaac zaczął rozglądać się po okolicy, szukając jakiejś konsoli, ewentualnie innej drogi, z grubsza w tym samym kierunku.

Profesor podrapał się po swojej brodzie i wskazał Isaacowi korytarz wiodący do jadalni, w której miał przyjemność spędzić wcześniej obiad.

– Tam. Tam jest ogromna sala z przeszkloną szybą. O ile dobrze pamiętam, sąsiaduje z głównym wejściem.

Isaac kiwnął głową na zgodę i ruszyli we wskazanym kierunku. Jakkolwiek brak strażników wciąż go strasznie niepokoił. Z drugiej strony wolał to zdecydowanie niż sytuację, w której musiałby przebijać się przez małą armię. On jak on, ale nie postawiłby profesora w sytuacji bezpośredniej strzelaniny.

Sala wraz jedzeniem wciąż stała tak samo, jak w czasie, gdy profesor został z niej wyprowadzony siłą. Jedynie rozbita butelka i talerz po stronie gospodarza świadczyły o jego nagłym przyпыwie gniewu. To się musiało stać po tym, jak Gilbert opuścił już towarzystwo wbrew swojej woli.

Sprawdzili drzwi do głównego holu. Te również były szczelnie zamknięte przez zabezpieczenie.

– Jesteśmy uwięzieni? – zapytał profesor.

Isaac poważnie spojrzał w jego stronę.

– Już raz stąd uciekłem – odpowiedział młody pilot i podszedł do przeszklonej ściany. – Wydostaniemy się razem. Nikt, ani nic, nas nie powstrzyma.

Wyciągnął swój rewolwer i wymierzył w szybę.

Miał nadzieję, że nie jest na tyle odporna, by znieść energię kinetyczną pocisku wystrzelonego z tak bliska.

Oddał szybkie dziesięć strzałów, opróżniając całkowicie magazynek, po zgrubsza idealnym okręgu. Kule gładko przeszły przez materiał. Nawet, ku jego zaskoczeniu, odgłos chrupiącego szkła nie był taki nieprzyjemny, jaki mu się wydawał, że będzie.

Szyba jednak nie poddała się. Rozczarowało to Isaaca, ale nie spodziewał się, że tak po prostu rozpadnie się po paru strzałach. Na szczęście wokół dziur po kulach utworzyły się niewielkie pajęczynki. Isaac podniósł brew.

A więc jednak... – pomyślał sobie i sięgnął po najbliższe krzesło.

Profesor tymczasem przyglądał się całej sytuacji, nie wiedząc, co o tym sądzić. Jeszcze paręnaście minut temu był uwięziony w piwnicach jakiegoś okropnego człowieka, a teraz uciekał wraz ze swoim przyjacielem, który dla

odmiany po postrzeleniu szyby wziął krzesło i zaczął nim wariacko tłuc o taflę szkła.

Zdecydowanie zbyt dużo emocji, jak na ten jeden dzień.

Ściana, choć wykazywała oznaki zmęczenia i presji wywieranej na niej, nie poddała się w pełni. Za to drugie krzesło uznało, że jego czas też już nadszedł. Efekt był bardzo widoczny. Pajęczyna na tafli objęła już wszystkie otwory, a środek zaczął się wybrzuszać i przy każdym uderzeniu wydawał chrupiący odgłos. Problem tkwił w tym, że skończyły się krzesła.

Isaac rozejrzał się po pomieszczeniu. Jedyłą rzeczą, która mogła mu pomóc, było popiersie przedstawiające aktualnego pana tego domu.

– Gilbercie, mógłbyś podać mi naszego skromnego gospodarza – powiedział, wskazując na figurkę. Wykorzystał chwilę, by zaczerpnąć oddech. Ciągłe uderzanie zmęczyło go. Zbyt dawno nie wyczyniał takich wygibasów.

Zbyt dużo alkoholu, za mało formy – pomyślał i się skrzywił.

– Będzie trzeba tu przemeblować trochę.

Profesor chwilę mocował się z figurką i po sposobie, w jaki ją niósł, widać było, że nie była wykonana z lekkiego materiału. Doskonale się nadawała do walenia w taflę szkła, nie było co do tego wątpliwości. Tak majestatyczne rzeczy istniały po to, by służyć całym pokoleniom. Byle szyba ich nie pokona.

Przejął figurkę od profesora. Rzeczywiście była ciężka. Na szczęście, korzystając z już osłabionej konstrukcji, miał nadzieję, że po jednym, góra dwóch uderzeniach, odpuści. Nie miał więcej przedmiotów do dewastacji. Talerze i sztuce się do niczego nie nadawały.

Zamach zrobił potężny na tyle, że aż solidnie naciągnął sobie lewy bark.

Szyba uznała, że przyjmowanie na twarz uderzeń z krzesła jest jeszcze akceptowalne, ale z popiersi już nie. Zrezygnowana i zmęczona poddała się. To, co pozostało z niej, jak i z popiersia, głucho uderzyło o podstawę.

W mig, miazga z szyby i figurki zmieszała się ze sobą w nierozróżnialną mieszaninę.

W ciszy, jaka nastąpiła, było słychać tylko samo dyszenie Isaaca. Profesor podszedł do otworu i spojrzawszy badawczo to na niego, to na sprawcę całego

bałaganu.

Isaac, nie mogąc powiedzieć ani słowa, tylko kiwnął głową i pokazał, by profesor pierwszy wyszedł na zewnątrz.

Jak dobrze, że to parter.

Razem opuścili szybko willę. Jedyne, co pozostało do pokonania, to mur. Tego niestety nie będą w stanie przejść tak samo, jak Isaac wcześniej. Nie dość, że nie miał już więcej kul z hakiem, to i teraz nie miał też sił, by się wspinać. Profesor z drugiej strony, ze względu na wiek, prawdopodobnie również nie byłby w stanie tego dokonać. Została tylko jedna możliwa droga.

Brama.

Intrygujące było to, że wciąż nie było widać, ani słyszeć żadnego strażnika.

Teraz Isaac stał się naprawdę podejrzliwy. Wskazując profesorowi, by przekradli się razem pod murami, w kierunku bramy, pod osłoną nocy i wszelakich krzaków.

To, co zobaczyli, zaskoczyło bardziej Isaaca niż samego profesora. Dwaj strażnicy stojący wcześniej na warcie leżeli z poderżniętymi gardłami, jeden obok drugiego. Podchodząc bliżej nie zauważyli żadnych śladów walki. Zostali zupełnie zaskoczeni.

Coś, albo ktoś, zrobił to bardzo profesjonalnie.

Był tu jeszcze jeden drapieżnik, poza nimi.

Isaac dał profesorowi porozumiewawczy sygnał głową i rękami, że nic na ten temat nie wie. Odpowiadało to w większości na pytanie, czemu nikt jeszcze nie próbował ich zatrzymać. Ale kto w takim razie uruchomił alarm?

Garcia uzbroił się, jak tylko mógł. Zabrał swoje dwa ciężkie pistolety laserowe, lekki plazmowy karabinek szturmowy i parę granatów burzących. Nie lubił zmuszać się do używania broni. Brzydził się brudnej roboty, jednakże czasem nie mógł polegać na swoich podwładnych. Od czasu do czasu musiał pokazywać, że to on stanowi tu prawo i dyktuje zasady.

Po to, by nikomu do głowy żaden głupi pomysł nie strzelił.

Podrapał się po wąsie i uśmiechnął. Jeszcze do końca tej nocy profesor wróci do celi i wygada mu wszystkie sekrety, już on o to zadba. Wziął głęboki oddech, jego ludzie powinni być już gotowi i stać pod drzwiami, czekając na rozkaz. Był prawie gotowy.

Rozległ się głośny alarm.

Już czas – pomyślał.

Trzymając w jednej ręce karabin, wcisnął przycisk na panelu, by otworzyć drzwi...

Spojrzał przed siebie i znieruchomiał.

Za progiem stała odwrócona do niego plecami kobieta. Jej ubiór był splamiony krwią w paru miejscach. Spod płaszcza było widać, że przy jej arsenale, jego broń była dziecinna zabawką.

Wokół jej stóp leżeli wszyscy jego strażnicy, w pozycjach świadczących o nagłej, ale iście bolesnej śmierci.

Odwróciła się powoli w jego stronę. W jednej dłoni trzymała strażnika, który prawdopodobnie przed chwilą odszedł z tego świata. W drugiej trzymała długie, wielokrotnie zakrzywione ostrze. Takie, które zadawało jak najwięcej bólu, nie tracąc przy tym na skuteczności.

Garcia w życiu widział wiele śmierci i okropności, sam w końcu wiele jej zadał, ale przez jej spojrzenie i widok przyszło mu na myśl, że tak właśnie wygląda wcielona postać śmierci.

Poczuł, jak serce i żołądek podchodzą mu do gardła. Upuścił karabin i odwrócił się zwymiotować.

Gdy opróżnił cały swój obiad, spojrzał jeszcze raz w jej stronę. Nieznajoma zdążyła odrzucić zwłoki jego strażnika jak szmacianą lalkę pod ścianę, i podeszła na bardzo bliską odległość do niego samego.

Garcia wpadł nagle w panikę. Próbował się wycofać do zbrojowni, ale przypadkiem potknął się i przewrócił, uderzając głową o jedną z szafek z bronią.

Jęknął z bólu.

Tajemnicza kobieta podeszła w jego stronę, spokojnie wpatrując się w jego oczy – od samego jej spojrzenia człowiek mógł tracić jakąkolwiek wiarę,

w cokolwiek wierzył.

– Zadarłeś z większymi od siebie – powiedziała poważnie. I choć głos miała naprawdę ładny, w aktualnej sytuacji brzmiał on śmiertelnie niebezpiecznie.

Garcia przełknął ślinę. Miał wrażenie, jakby usta mu całkowicie zaschły.

Kobieta podłożyła mu ostrze pod gardło i podniosła jego skuloną główkę lekko do góry.

– Brzydzą mnie ludzie twojego pokroju – powiedziała, wpatrując się w przestraszonego człowieka. – Twoje własne ambicje prawie zniszczyły doskonały plan kogoś, przy kim jesteś niczym.

Przykucnęła i złapała go silnie za gardło. Garcii oczy prawie zaczęły wychodzić z czaszki. Nie mógł złapać oddechu.

– To był twój ostatni błąd. Twoje ambicje kończą się tutaj – miała właśnie ścisnąć go na tyle mocno, by złamać mu gardło, ale rozległ się jej osobisty komunikator.

Opuściła go.

Garcia miał w oczach przerażenie. Jego powieki były szeroko otwarte i łapał oddech, jakby każdy z nich miał być jego ostatnim. Co nie było tak dalekie od prawdy.

– Tu Isaac, mam profesora – dał się słyszeć głos w słuchawce.

Nie spuszczając oczu z Garcii, tajemnicza kobieta westchnęła i groźnie odpowiedziała:– Jesteście mniej wari niż kłopoty, w które się wpakowujecie – rzekła.

Nie sądziła, że Isaacowi uda się przegonić ją w poszukiwaniach profesora. Była o krok od uwolnienia go, ale najpierw chciała zająć się tą gnidą. Rzuciła spojrzenie na niego, łykał powietrze i błagalnym spojrzeniem patrzył na nią, prosząc o litość.

Kopnęła go tak, że chrząknął tylko.

Szybko skarciła się w myśli.

Miała nadzieję, że nie usłyszą tego po drugiej stronie. W gruncie rzeczy lepiej, że Isaacowi się udało, w ten sposób zacieśni swoją wspólną znajomość z profesorem, a przez to wszystko potoczy się łatwiej.

– Wasz statek – kontynuowała – jest w porcie kosmicznym AA-23. Przedstaw się, jako Walter Snow i nie wpakuj się w żadne kłopoty po drodze.

– Zrozumiałem – odpowiedział Isaac przez komunikator.

Spojrzała na swój własny zegarek. Jeśli alarm był połączony z radiostacją lokalnej służby mundurowej, sama niedługo będzie miała do czynienia ze sporą liczbą straży.

– Wasz czas właśnie się skończył. Macie się stąd wynieść. NATYCHMIAST – krzyknęła do komunikatora i rozłączyła się. Jej łapówki i retoryka nie mogły powstrzymać całej milicji planetarnej przed dorwaniem uciekającego przestępcy.

– Będzie trzeba później zrobić z tym porządek – pomyślała.

Spojrzała na Garcie. Trząśł się cały ze strachu i mamrotał coś do siebie. Złapała ją na chwilę litość, widząc jak to mizerne stworzenie trzyma się kurczowo życia. Było trzeba to skończyć.

Zrobiła szybki zamach swoim ostrzem, przebijając czaszkę szefa mafii na wylot i przybijając go tym samym do ściany.

Nawet nie wydał żadnego dźwięku.

Ruszyła ku wyjściu, sama też musiała na czas jakiś się zaszyć. Dwójka awanturników daleko jej nie ucieknie.

Rozdział siedemnasty

Zapis siedemnasty. *Technologia nas ogranicza. Jesteśmy bardzo podzieleni. Nie słyszymy nic od naszych braci przez bardzo długi czas. Ciężko nam się komunikować. Ta misja jest dla nas celem życiowym dla przyszłych pokoleń. Musimy być wytrwali i się nie zdradzać.*

Statek przeskoczył bardzo gładko. Pasażerowie znów niczego nie poczuli. Po szybkiej ewakuacji z wili, pracownicy na lądowisku nie robili im żadnego problemu. Isaac powiedział profesorowi, by przypadkiem się nie wygadał niczym, gdy przechodzili kontrolę celną, ale na ich szczęście kontrolerzy albo nie zwrócili uwagi, albo byli przekupieni i nie załapali, że statek automatycznie został wymeldowany z innego miejsca niż to, do którego pierwotnie przyleciał.

Jak najszybciej mogli, dokonali skoku, by pozostawić za sobą tę nieprzyjemną historię w tyle.

Profesor był zapatrzony w swój notes i zastanawiał się nad następnym ich punktem postojowym, ale nęciła go ta cisza i w końcu ją przerwał.

– Rozumiem, że znów zajmie nam dwa albo trzy dni podróż do kolejnego układu? – zapytał, łamiąc całą niezręczność.

Isaac przez chwilę patrzył jeszcze na przyrządy i obserwował dokładnie dane, które mu komputer podawał. *On już wiedział.* Wyskoczyli dokładnie w tym miejscu, które było ich prawdziwym celem misji. Jedyne, co wpływało teraz na niego, to dyskomfort, jaki miał nastąpić zaraz po tym, jak powie Gilbertowi o wszystkim. Wyskakując w pośpiechu ze Stagitariusza, podjął decyzję, że najlepiej będzie, jeśli w pierwszej kolejności udadzą się do układu Capricy i załatwią ich prawdziwy cel od razu.

Jego milczenie zaczynało się podejrzliwie przeciągać.

– Isaac, wszystko w porządku? – spytał znad notatek profesor. – Wydaje mi się, że jesteś jakiś taki nieobecny i małowówny. Coś się stało?

Młody pilot przesunął wzrok z kontrolki na starego uczonego i wziął głęboki oddech.

– Gilbercie... Muszę ci coś powiedzieć – zaczął niepewnie. – Nie lecimy bezpośrednio na Capricę. Możliwe, że nigdy tam nie dolecimy, a raczej jest to pewne.

Profesor wydał mu się przez chwilę taki jakby zamurowany. Mało brakowało, a upuściłby swój notes.

– Ale jak to... przecież sam mówiłeś, jeszcze nie tak dawno temu...

– Tak. Tak, mówiłem, ale nie powiedziałem ci wszystkiego.

Profesor spojrzał pytającym spojrzeniem w oczy młodego pilota.

– Czyli co, to znaczy, że ukrywałeś coś przede mną?. – w ciągu paru sekund niepewność zamieniła się w chwilowy strach i panikę w jego głosie. Myśli profesora skakały od jednego nieprawdopodobnego scenariusza do drugiego.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie porwać dla okupu, prawda? – chciał przynajmniej rozwiać najstraszniejszą z opcji.

Isaac, pomimo trochę ściśniętego gardła, uśmiechnął się.

– Spokojnie, Gilbercie, nic z tych rzeczy – odwrócił się w jego stronę i położył dłonie spokojnie na swoich kolanach, by pokazać, że z jego strony nic mu nie grozi.

– Sprawa jest innej natury.

Gilbert trochę się uspokoił i zawstydził, że pomyślał, że jego kompan w podróży mógłby coś takiego jemu zrobić.

– Proszę, wytłumacz się, wiesz, naprawdę dużego stracha mi narobiłeś. Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

– Nie, chwilowo nie. To znaczy, nie mogę obiecać, że nie będzie, ale przez pewien czas jesteśmy w pełni bezpieczni.

– To dlaczego mówisz, że nie lecimy na Capricę. Wytłumacz się, proszę.

Isaac wziął głęboki oddech. Poczł jak pot spływa mu po czole. To było bardzo niezręczne, ale wiedział, prędzej czy później, że ta chwila nastąpi.

– Musisz mi wybaczyć, ale ze względu na charakter misji, nie mogłem ci wcześniej nic powiedzieć.

– Teraz znów zaczynam się bać. Mówisz strasznie tajemniczo.

– Posłuchaj, Gilberte, potrzebuję i potrzebowałem twojego zaufania i współpracy, ale gdy wyjaśnię ci, o co chodzi, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Atmosfera w kabinie w ciągu tych paru sekund całkowicie zgęstniała. Isaaca oblał już całkowicie zimny pot. Naprawdę szkoda mu było profesora, ale nie mógł nic na to poradzić. Ubolewał też nad swoim losem, ale taka była cena w tym zawodzie.

– Czy nie zastanawiało cię, profesorze – specjalnie użył tego słowa, ponieważ poczuł, że trochę zawiódł Gilberta, nie mówiąc mu nic przed lotem i że nie zasługuje on, by mógł zwrócić się do niego po imieniu – że dosyć podejrzana wydawała się pańska podróż? Że pomimo niedawnego zawieszenia broni, nasz uniwersytet wysyła specjalistę od napędu prawie że w paszczę lwa, do naszego niedawnego wroga, do Caprici?

Profesor potrząsnął przecząco głową.

– Nie, prawdę mówiąc nigdy bym o tym nie pomyślał w ten sposób. Polityka nigdy mnie jakoś nie pociągała. Brak jej wyrafinowania i przejrzystości. I proszę, nie mów mi „profesorze.” Krępiję się, gdy ktoś tak się do mnie zwraca.

– Dobrze, Gilberte – Isaacowi ulżyło trochę, profesor wydawał się, że nie miał mu niczego na razie za złe. – Prawda jest taka, że zarówno ty, jak i ja, zostaliśmy specjalnie powołani do tej bardzo specjalnej misji. Ja, co prawda świadomie, ale nie mając wyboru, a ty nieświadomie, ale hipotetycznie mając wybór.

– Misji, mówisz... Czy mógłbyś powiedzieć nieco więcej?– Już. Za parę minut będziesz wiedział wszystko.

Wciskając różne przyciski ruszył statkiem w nieokreślonym kierunku. Ustawił autopilota na powiadomienie go, gdy wykryje jakąś anomalię.

– Gilberte. Pozwolisz, że zacznę od przeprosin i tej, jakże głupiej, próby zaufania – schylił głowę w geście okazania żalu za to, co zrobił. – Mam nadzieję, że nie będziesz miał tego za złe, ani mi, ani swojemu

uniwersytetowi – zrobił krótką przerwę, po czym powiedział pewnie prosto z mostu:– Szukamy statku.

– Statku?

– Tak, statku, który potencjalnie może nas uratować od przyszłych konfliktów. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Słucham dalej.

– Jak wiesz, Gilbertcie, nasza technologia bazuje na silnikach aeroatomowych, które w sporej części zawdzięczamy de facto tobie.

– Nie musisz mi od razu przypisywać wszystkich zasług, ja ledwo stworzyłem podstawy teoretyczne – profesor zawstydził się tym komplementem na chwilę.

– Zawdzięczamy ci naprawdę dużo, gdyby nie ty, zapewne przegralibyśmy wojnę z Capricą lata temu. Nasza technologia bez tychże podstaw byłaby niczym, w porównaniu z ich napędem fuzyjnym.

Gilbert zamyślił się na chwilę, myśląc o tym. Dla niego liczyło się odkrycie nieznanego, praca nad tym była jego życiową pasją. Nigdy nie przypuszczał, że jego zawodowe osiągnięcia mogłyby mieć takie przełożenie na życie innych ludzi czy kolonii. Chociaż prawdą jest, że zyskał ogromną renomę i rozgłos po stworzeniu prototypu aeroatomowego reaktora.

– I to sprowadza nas do obecnej sytuacji i naszych zadań. Pierwszym z nich było tak zwane lekkie szpiegostwo technologiczne. Ty, jako znany profesor udzielając wykładów w różnych koloniach, miałeś i masz okazję wymieniać się pomysłami i koncepcjami z innymi kolegami po fachu. Jednakże, nie mogliśmy liczyć, że przez małą szansę uda ci się czegoś dowiedzieć. Dlatego ta misja ma też drugie dno.

– Którym jest...?

– Bezpośrednie zbadanie statku, z napędem fuzyjnym, przez kogoś z wiedzą i umiejętnościami, które pomogłyby rozgryźć tę technologię.

– I dlatego ja.

– Tak, i dlatego ty.

Nastąpiła kolejna niezręczna pauza, Gilbert analizował słowa swojego młodszego kolegi i układał sobie w całość obraz sytuacji.

– Ale dlaczego konkretnie ja?

– Cóż, do końca nie wiem. Nigdy mi tego nie wyjaśnili, ale jeśli miałbym strzelać, to dlatego, że jesteś naszym największym specjalistą i to, że nigdy nie latałeś poza naszą kolonię, więc przypuszczam, że nikt by nie mógł pomyśleć, że byłbyś... cóż... szpiegiem.

– Może coś w tym jest. Ale dobrze, wspomniałeś o statku. Coś wiemy o nim?

Profesor wydawał się bardziej zainteresowany tym faktem, niż tym, że został wykorzystany jako trybik w maszynie politycznej całej kolonii.

– Tak naprawdę, wiemy bardzo mało. Nasi zwiadowcy wykryli go na obrzeżach tego układu, w którym właśnie jesteśmy. Niestety nie wiemy, ani jakiego typu on jest, ani nie mamy pewności, że jest on z Caprici w pierwszej kolejności.

– Czyli tym bardziej przydałaby się osoba z ogólną znajomością mechaniki i fizyki reaktorów.

– Można tak powiedzieć – przytaknął mu Isaac.

– Ale to wiemy coś więcej, czy tylko tyle, że jest on caprykańskiego pochodzenia? – Jak wspomniałem, niewiele jesteśmy pewni. Jest wielce prawdopodobne, że jest właśnie taki – spojrział na kontrolki, upewniając się czy zmierzają dobrym kursem. – Jest jeszcze jedna możliwość, którą musimy rozwiązać.

– Mianowicie?

– Że jest to pułapka.

– Pułapka? – Gilbert wydał się zaskoczony, ale nie w dużym stopniu.

– Tak. I jeśli tak jest, to musimy być ostrożni – wcisnął znów kolejne przyciski i dopisał za pomocą konsoli bezpośrednio parę dodatkowych poleceń. – Ustawiam właśnie komputer na wszelki wypadek, gdyby ktoś się pojawił w naszym zasięgu i okolicy.

– A nie mówiłeś wcześniej, że nie można skoczyć dokładnie w to samo miejsce?

Isaac przytaknął.

– Tak, tak dokładnie jest. Co nie oznacza, że ktoś nie może próbować.

Jeśli to pułapka, to będą znali nasze położenie i w mniej więcej niewielkiej odległości od nas wskoczą nam na głowę.

– A daleko mamy do tego statku teraz?

– Prawdę mówiąc, w trakcie naszej rozmowy, nasz statek wychwycił coś, co może nim być – pokazał palcem profesorowi na ekran komputera przy siedzeniu dla nawigatora kropkę, do której zmierzali. – Zaraz powinien do nas dojść pierwszy obraz. Postaram się podlecieć dosyć blisko, aby i przez iluminatory można było dostrzec pierwsze szczegóły.

Gilbert, spoglądając na ekran, zadał jeszcze dwa pytania.

– Jesteśmy pewni, że nie zaatakuje nas? Czy to na pewno wrak?

Isaac uspokoił obawy profesora.

– Tak, wskazania mówią, że nie występują na nim żadne oznaki aktywności życiowej, elektronicznej, termalnej czy jądrowej. W środku utrzymuje się minimalna atmosfera, ale tylko tyle – ta wiadomość uspokoiła znacznie profesora, tak samo jak Isaaca.

– Jesteśmy kilometr od niego, teraz będzie bardzo widoczny – poinformował.

Nieoświetlony statek na tle ciemnego kosmosu, dodatkowo pomalowany w maskujący czarno-brązowy kolor, był bardzo ciężki w rzeczywistości do dostrzeżenia, ale był. A dzięki dodatkowemu nakierowaniu oświetlenia z ich statku szybko stał się bardzo widoczny.

Rufa statku miała dziwny kształt, nie przypominała niczego im znanego. Wyloty, zapewne silników, układały się w trójkątny kształt, względem „góry” statku był jeden wierzchołek i dwa w podstawie. Kadłub z tego miejsca przechodził w kształt litery U z ostro zakończonymi „szponami”, jednakże z częściowo wypełnionym środkiem i bardziej ostro schodził do podstawy litery. Z dołu statku wystawała aparatura, mniej więcej przypominająca powszechnie używane anteny pomiarowo-przesyłowe. Częściowo było widać wychodzące ze środka kable i oderwane fragmenty powłoki. Górna część posiadała w pełni przeszkloną kopułę z, zapewne, działkiem nieznanego pochodzenia, z pełnym 360-stopniowym promieniem skrętu w płaszczyźnie poziomej statku. Statek był tak z pięć razy większy od tego,

którym teraz lecieli. Od razu można było stwierdzić, że na załogę przypadają od dziesięciu do piętnastu ludzi. Kokpit pilota umieszczony był na lewym ramieniu. Przez odległość i ogólnie panującą ciemność wewnątrz statku, niewiele więcej można było dostrzec z samych szczegółów.

Po zewnętrznej stronie lewego ramienia, na w pół wytartymi, ale możliwymi do odczytania białymi literami, widniał napis „Federacja Fundacyjna” z symbolem dwóch planet i dwóch stylizowanych liter A i G na nich.

– *Federacja Fundacyjna?* – spytał praktycznie przyklejony do iluminatora Gilbert. – Nigdy nie słyszałem o tym. Coś ci mówi ta nazwa? To jakaś kolonia?

Isaac był zbyt skupiony, by od razu odpowiedzieć, bardzo delikatnie obracał okręt i zbliżał się do niego tak, by zewnętrznymi światłami lepiej oświetlić wrak.

– Nie, nie słyszałem. To też nowość dla mnie.

– Co to oznacza?

– Tylko tyle, że nie wiemy, z czym mamy do czynienia.

Przez chwile obserwowali statek z tej perspektywy, po czym Isaac zaczął ponownie obracać statek w poszukiwaniu czegoś, dzięki czemu mogliby znaleźć wejście do statku.

Aby rozproszyć ciszę, Isaac dodał jeszcze do poprzedniej swojej wypowiedzi:– To może być jakiś związek innych kolonii, tajna grupa, organizacja jakaś, ale szczerze – nie mam pojęcia.

– Nie wydaje ci się, że ten statek jest jakiś taki... Stary?

– Ty tu jesteś ekspertem od tego – odpowiedział, ale przyznał rację profesorowi. – Ale... tak. Wygląda na to, że sporo już tak wisi.

– Mamy zamiar wejść na pokład? Wiesz, teraz jak mi naopowiadałeś, bardzo kusi mnie bym się dowiedział, co tam siedzi w jego wnętrzu.

– Taki mamy plan, Gilbercie – nagle wskazał palcem na niewielki okrągły kształt na prawym ramieniu wraku statku. – Ooo... to mi wygląda na awaryjną gródź. Spróbuję zbliżyć się jeszcze bliżej.

Rozdział osiemnasty

Zapis osiemnasty. *Mamy mało czasu, ale musimy być ostrożni. Demony nie śpią. Od nas zależy czy nasze dzieci urosną, by je pokonać. Wszyscy są pełni optymizmu. Nie boimy się poświęcić swojego życia.*

Manewr był trudniejszy niż przypuszczał, właz był naprawdę niewielkich rozmiarów i był umieszczony w mało dogodnym miejscu. Miał problemy, by ustawić statek tak, by można było wystrzelić awaryjne linki ewakuacyjne, których celem było zapieczenie przejścia z jednego statku na drugi, tak by nikt nie został przypadkiem wystrzelony w bezpowrotną trajektorię po dzikiej przestrzeni.

– W szafce, w mojej kabinie, znajdują się stroje dla nas.

– Jesteś pewny, że to bezpieczne? – zapytał nerwowo Gilbert, domyślając się, do czego zmierza ta konwersacja. – Wiesz, jeszcze tydzień temu nigdy nie opuściłem swojej planety, a teraz każesz mi iść przez próżnię.

– Spokojnie, po to właśnie mamy te linki. Nic ci nie będzie, nie ma tu żadnego śmiecia kosmicznego, który mógłby nas przebić na wylot.

– Przebić? – w głosie profesora dało się usłyszeć nutkę błagalnej litości.

Niepotrzebnie to wspomniałem – zagryzł w myślach język, ale wiedział, że na to już za późno.

– Będzie dobrze, jesteśmy daleko od jakiegokolwiek większego czy mniejszego obiektu. Pamiętaj tylko, by oddychać powoli i regularnie, a wszystko będzie dobrze.

Gilbert wstał z fotela i trochę niepewnie ruszył w kierunku kabiny Isaaca.

– Zaraz do ciebie dołączę, tylko ustawię komputer, by nas informował o wszystkich anomaliach. Ze strojem powinna być instrukcja obsługi, jak masz go założyć.

Pogrzebał jeszcze chwilę przy kontrolkach i udał też się do swojej kabiny. W gruncie rzeczy zdziwiło go, że profesor po raz pierwszy założył prawie perfekcyjnie cały strój sam, on za pierwszy razem strasznie się z nim motał początkowo.

Stare dzieje.

Poprawił mu pojedynczy filtr powietrza i sam w ciągu minuty założył swój.

Podeszli razem do śluzy.

Isaac, choć zdarzało już mu się w przeszłości wychodzić na otwartą próżnię, nigdy za bardzo nie przepadał za tym. Wszechogarniająca cisza i pustka robiły na nim wrażenie odludności i samotności. Jeszcze większej niż zazwyczaj, gdy sam przemierzał pomiędzy sektorami. Jedyne odgłosy, jakie był słyszalny z wnętrza kostiumu i hełmu należał do niego i był jego oddechem. Czasem wydawało mu się, że słyszy też własne bicie serca. Kiedyś stwierdził, że to straszne i złapał się na tym, że wystukuje rytm palcami na reszcie kostiumu, by odwrócić od tego uwagę.

Spojrzał przed siebie przez próżnię na drugą stronę.

Odległość do wraku wynosiła na oko dziesięć metrów. Zaledwie parę sekund swobodnego lotu. Spojrzenie pod nogi niewiele pomagało. Instykt mówił mu, że gdy tylko zrobi krok w przód, to spadnie w nieskończoną głębię kosmosu. Świadomie wiedział jednak, że to nieprawda. Żadne ciało w próżni, tak po prostu bez udziału żadnej siły, nie mogło nagle dostać wektora prędkości.

Cisza i ciemność zaczynały być nieznośne, nawet dla niego.

Zamocował karabińczyk na linach i odepchnął się w kierunku drugiego statku, nie patrząc za siebie na stojącego obok Gilberta. Zostawił go bez większych instrukcji.

Lepiej będzie, jeśli nie będę go niepotrzebnie jeszcze rozpraszał – pomyślał wcześniej.

Lot był szybki i spokojny, ale zderzenie za to z powierzchnią, nie należało już do najprzyjemniejszych. Dzięki wbudowanym elektromagnesom, nie

odbił się i jakoś zniósł gwałtowne hamowanie, ale nie powstrzymało to uczucia zawrotu głowy.

– Gilbercie, wszystko w porządku? – odwrócił się i spojrzał w kierunku profesora w identycznym kostiumie, w którym on sam był.

Profesor znosił to jak każdy, kto po raz pierwszy znalazł się u bram otwartej próżni. Był bardzo zdezorientowany i sparaliżowany. Ostrzegł go, że tak będzie, gdy jeszcze byli w środku. Sytuacja bardzo łatwo mogłaby zrobić się bardzo niewesoła.

– Gilbercie, odezwij się! – ponowił, wisząc teraz twarzą do niego.

– Isaacu... To niesamowite... Piękne...

To nie była odpowiedź, której się spodziewał.

– Gilbercie, proszę skup się. Musisz mnie dokładnie słuchać.

Profesor wydawał się go nie słyszeć i wpatrywał się w odległe punkty. Tylko tego brakowało, by profesor odbił się i poleciał na bliskie spotkanie gwiazdami, po setkach lat swobodnego dryftu.

– Gilbercie, skup się.

– Już – odpowiedział, wciąż nerwowym głosem. – Już jestem.

– Wspaniale, pierwsza najważniejsza sprawa w gruncie rzeczy. Nie rób gwałtownych ruchów. Po drugie, póki jeszcze lunatykując nie opuściłeś statku, weź karabińczyki i przyczep się do liny.

Profesor przez chwilę obracał się jak poparzony, szukając ich, i zgodnie z instrukcją zaczepił się o liny. Wciąż był bardzo zdenerwowany i nie panował w pełni nad swoim ciałem.

Przynajmniej teraz nie odleci.

– Co teraz? – spytał.

– Teraz musisz mi zaufać. Nic ci nie będzie. Odepchniesz się w moim kierunku. Zbliżając się do ściany wyprostuj ramiona, to cię skutecznie zatrzyma.

Profesor wpatrywał się jeszcze przez chwilę w pustkę, która była pod jego nogami i niepewnie odbił się od ich statku.

Hamowanie nie było tak płynne, jak w przypadku Isaaca. Można by wręcz powiedzieć, że zderzenie należało do tych bardziej brutalnych.

Profesor wpadł bezpośrednio na statek, ręce nie zatrzymały jego prędkości, w związku z czym wylądował jak naleśnik rzucony na ścianę.

Wszyscy robią to źle za pierwszym razem – pomyślał Isaac.

– Wszystko w porządku, mam nadzieję? – zapytał.

– Tak, tak, wydaje mi się, że jakoś się trzymam. To było bardziej bolesne niż gdy wspomniałeś to wcześniej – odgryzł się.

Możliwe, że to nie na jego wiek. Do czego ja go zmuszam? – zastanowił się przez chwilę sam nad ogólną logiką całego planu.

– Miałeś za sztywne ramiona, nie zamortyzowałeś wyhamowania. Zbyt dużej sile zostały poddane twoje dłonie i ręce ześliznęły ci się po kadłubie i przywaliłeś resztą kostiumu po prostu – wytłumaczył mu Isaac. – Wspominałem, byś się rozluźnił, ale nie przejmuj się. Mój pierwszy raz też był bardzo podobny, tyle że uderzyłem barkiem i robiłem to bez lin asekuracyjnych.

Znalezienie wjazdu nie zajęło im dużo czasu. Mocowanie z zamkiem jednak już tak. Musieli we dwóch zaprzeć się i przy pomocy łomu, śluza dopiero drgnęła i obudziła się po wielowiekowym śnie.

Usłyszeć dał się syk powietrza z wnętrza, gdy nastąpiło rozszczelnienie.

– To dobry znak – rzekł Isaac. – Kadłub musi być szczelny. Może uda nam się przywrócić częściową lub pełną atmosferę.

– Wchodzę – powiedział po chwili, gdy powietrze przestało wyciekać.

Wnętrze śluzy było jednak w nienajlepszym stanie. Dużo gorszym niż zewnętrzny kadłub. Pomijając ogólną ciemność na ścianach, widać było upływ czasu, częściowo skorodowany wewnętrzny kadłub, łuszczącą się farbę i niszczące popękane szafki. Choć wewnętrzne drzwi śluzy były zamknięte, musiało w nich dojść do rozszczelnienia.

Atmosfera była co najmniej upiorna. Taka martwa cisza wewnątrz zamkniętej przestrzeni tylko potęgowała wrażenie klaustrofobii. W otwartej próżni „ściany” rozciągały się tak daleko, jak sięgał wzrok. Tutaj było inaczej. Pomimo ogromnego doświadczenia i wielu lat spędzonych na samotnych podróżach, to i tak wiele innych rzeczy wywierało na nim ogromne wrażenie.

Czyżby nie było rzeczy, która mnie przeraża w mojej pracy? – zapytał sam siebie w duchu.

– Wejdz bardziej do środka, Gilbercie – rzekł głośno przez komunikator.

– Zamknę za tobą gródź.

Gilbert z trudem precyzyjnie przeszedł przez otwór, stan ciągłej nieważkości przeszkadzał mu, przez co wykonywał od czasu do czasu bliżej niesprecyzowane ruchy i obroty.

Isaac, zapierając się nogami o fragment ściany, pociągnął mocno i z hukiem, gdyby tylko istniał ośrodek do rozchodzenia się fal dźwiękowych, zatrzęsął gródź i tym razem bez oporów przekręcił uchwyt zamykający.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał profesor, który wisiał pomiędzy regałami, trzymając się dwoma rękami dwóch z nich. – Czy nie odciąłeś nam tak drogi ucieczki?

– Jeśli uda nam się przywrócić atmosferę, będziemy mogli zdjąć przynajmniej hełmy i naturalniej się poruszać – wskazał na wewnętrzne drzwi śluzy. – Te widać utraciły szczelność, więc zależało mi, by tamte wytrzymały, a jeśli chodzi o ucieczkę, to raczej nie mamy przed czym. Wątpię, by było tu coś, co mogłoby nam zaszkodzić, a jeśli znajdzie taka potrzeba, to wysadzi się fragment statku i wyjdzie w ten sposób.

Profesor kiwnął głową w hełmie, że rozumie, o co mu chodzi. Prawdą było, że w próżni kosmicznej nic nie potrafi wiecznie przetrwać. Tym bardziej zwierzęta, większe, mniejsze, a co dopiero zwykli ludzie.

Na znak Isaaca, razem włączyli magnetyczne dodatki zainstalowane w butach każdego kostiumu kosmicznego, by bez sensu nie latać, tylko poruszać się po metalicznej podłodze, czy ścianach, z pewną precyzją i dokładnością. Na zewnątrz nie miało to sensu, gdyż mogli tylko w ten sposób uszkodzić poszycie, tutaj nie było poważnego ryzyka zepsucia czegoś jeszcze bardziej.

Otworzyli gródź wewnętrznej śluzy bez większego problemu.

– Najwyższa Całko! – widok, który zobaczył Gilbert, całkowicie go oszołomił.

Ciała. Zmumifikowane pozostałości załogi. Były prawie wszędzie.

Zasuszone wisiały w różnych miejscach i w różnych pozach. Niektóre na podłodze, zaklinowane między jakimiś obiektami, inne oparte o fotele, inne w pozycji, których normalny człowiek by nie przyjął.

Poza nimi samymi, wszystko wyglądało nienormalnie. Ściany były tak samo skorodowane i zniszczone, jak w pomieszczeniu wcześniej. Szafki i obiekty normalnego użycia wisiały w ogólnym chaosie, wraz z całą czasobecną załogą. O dziwo, ubrania zachowały się w prawie doskonałym stanie. Niewielkie przebarwienia i lokalne zmatowienie były tylko obecne na nich. Jedyne, co można by uznać za dziwne, to spory stos niewielkich przedmiotów znajdujący się niedaleko śluzy. Widać w trakcie dekompresji zostały przeniesione pod drzwi, którymi właśnie weszli wraz z uciekającym powietrzem.

– Jedno jest pewne – rzekł Isaac, wchodząc do środka. – Zmarli wszyscy, tak jak stali. Spójrz na tę osobę.

Wskazał palcem na szkielet, który wciąż siedział przy krześle. Pomimo braku grawitacji, jego ciało zostało tak zaklinowane między stołkiem, krzesłem i innymi przedmiotami, że przez cały czas, od kiedy osoba ta umarła, jej ciało pozostało takie, jakie je opuścił.

– Cokolwiek ich zabiło, nie spodziewali się tego.

– Myślisz, że jesteśmy znów w niebezpieczeństwie? – Wątpię, nie znam w ogóle tych mundurów, statku czy języka – złapał jedną z losowych kartek i podał Gilbertowi. – Cokolwiek to było, raczej nie przetrwałoby tylu lat w próżni. Myślę, że jesteśmy pierwszymi ludźmi na tym okręcie od przynajmniej paruset lat.

– Niesamowite – odrzekł zafascynowany zarówno tym faktem, jak i całą sytuacją profesor, chociaż zapytany odpowiedziałby, że odczuwa pewne ciarki za każdym razem, gdy patrzy na martwą załogę. Nie dawał jednak tego po sobie poznać. Adrenalina w jego starszym ciele skutecznie to tłumiała.

– Chodź, pójdziemy w kierunku kokpitu, zobaczymy czy uda nam się uruchomić cokolwiek.

Kokpit był w takim samym stanie, w jakim cała reszta. Szczelny, jednakże wszędzie unosiły się jakieś drobiazgi. Kontrolki i monitory wydawały się w dobrym stanie, przyjmując wiek, na dużo powyżej tego, ile każdy producent mógłby im dać. Brak jakichkolwiek fizycznych szkód napawał pozytywnie dwójkę eksploratorów. Co rzucało się w oczy to to, że nie było żadnego ciała przy sterach czy w okolicach.

Żadna z kontrolek nie dawała znaku życia i choć wszystko wyglądało strasznie archaicznie, młody pilot domyślał się, jakby intuicyjnie, za co odpowiadają lub mogą odpowiadać w większości wskazania i dźwignie.

– Przypuszczałem, że tak będzie – stwierdził Isaac. – No nic, na razie niczego się nie dowiemy. Trzeba uruchomić najpierw reaktor, o ile wciąż jest sprawny.

– Do maszynowni w takim razie?

– Tak.

Komora maszynowni i reaktora wyglądała znacznie lepiej. Jednak wcześniej, wejścia strzegła ogromna stalowa gródź, oznaczona uniwersalnymi znakami ostrzegającymi przed promieniotwórczością. Nie stanowiły one problemu, w związku z bardzo długim okresem nieaktywności system, jak i akumulatory podtrzymujące zamek w zablokowanej pozycji, na wypadek awarii, już dawno się wyczerpały. Nic nie stało na przeszkodzie, by wejść do środka.

Pierwszy wszedł Isaac. Wnętrze pomieszczenia było schludne. Bardzo mało jakichkolwiek mebli. Pojedyncze stoliki, krzesła i trochę rupieci, ale poza tym, nawet farba na ścianach wydawała się świeższa. To, co rzucało się w oczy, stanowiło serce każdego statku – reaktor. Ogromny, kulisty, z masą rurek mniej czy bardziej elastycznych wychodziło z niego w każdą stronę. Różnica między reaktorem na jego statku a tym była widoczna na pierwszy rzut oka. Różnicą tą był rozmiar. Reaktor hiperatomowy tej wielkości, który stał przed nim, współcześnie mógłby i nawet podtrzymać bardzo długi okres całą stację kosmiczną, nie mówiąc już o większych krążownikach. Jednakże coś w nim było innego, nietypowego. I nie był to wiek.

– Niech mnie supernowa! – wykrzyknął nagle profesor w całkowitym zdumieniu za Isaaciem.

Tak to zaskoczyło młodego pilota, że bez butów podskoczyłby aż po sufit. W oka mgnieniu odwrócił się, jak szybko tylko mu kombinezon pozwalał, i z gotowością na wszystko spojrzął w milczeniu na towarzysza.

– Isaacu – profesor spojrzął na niego oczami, w których było widać prawdziwy strach, jakby zobaczył ducha albo coś gorszego. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, obok czego stoimy?

– No... To reaktor statku – odpowiedział zmieszany Isaac. – Zapewne hiperatomowy, jak wszystkie...

– To bomba! BOMBA ATOMOWA! – powiedział głośno.

Isaac nie wiedział, co powiedzieć.

– To niemożliwe!

– Wiesz mi, gdy to mówię. Znam się na tym – odpowiedział profesor. – Zwykły reaktor miałby moduł ciśnieniowy, chłodzący i asymilatory neutronowe. Ten, z tego co widzę, ma tylko pręty kontrolne.

Issacowi, słysząc to, zjeżyły się włosy na głowie. Bomby atomowe były śmiertelnym zagrożeniem. Nie słyszał nigdy, by ktokolwiek, za jego życia czy też w poprzednich cyklach planetarnych, jakiegś użył. Co prawda, wśród kolonii krążyły legendy, jakoby któraś z kolonii kiedyś miała arsenał jądrowy, który siał spustoszenie i śmierć. Jednakże istniało tyle wersji tej opowieści, ile ust, które je wypowiadało. Faktem było to, że taka broń miała potencjał zniszczenia planety i w każdej kolonii, jedno z podstawowych praw mówiło, że posiadanie czegoś takiego, jest najgorszym z możliwych przestępstw i głupot. Każde dziecko wiedziało, że podstawowej reakcji jądrowej nic nie jest w stanie w pełni kontrolować, a reakcja łańcuchowa może nie mieć końca. Jakakolwiek próba opanowania tej pierwotnej energii, była proszeniem się o kłopoty. Jeśli profesor miał rację, a nie było powodu by nie miał, to rzeczywiście stali obok archaicznej bomby.

Z własnego doświadczenia wiedział, że czymś zupełnie innym były reaktory hiperatomowe, choć podobnym z nazwy i zasady działania, różniły się jak woda od ognia. – Czy grozi nam wybuch, Gilbercie? – Issac, bardzo

przeciwko swojemu standardowemu opanowaniu, oparty był teraz plecami do ściany i wpatrywał się również ze strachem, w wielką kulę na środku pomieszczenia, która jeszcze minutę temu wydawała mu się niegroźna.

Profesor, z którego zszedł już pierwotny szok, z wolna przysunął się do urządzenia. Pasja oraz ciekawość zaczęły brać górę nad jego wyuczonym zdrowym rozsądkiem i zaczął dotykać pojedynczych przekładni i przycisków.

– Nie wiem – stwierdził. – Albo ten statek budowali naprawdę ogromni głupcy i samobójcy, albo ten statek jest jeszcze starszy niż myśleliśmy.

– Jeszcze starszy? My nawet nie wiemy, skąd on jest!

– Masz rację. Dlatego sędzę, że jesteśmy chwilowo bezpieczni – profesor zaczął przyglądać się każdej części, każdej rurce, każdemu zaworowi, podczas, gdy Isaac dochodził do siebie.

Pilot poczuł się zawstydzony.

Starszy profesor się mniej boi niż on. Starał się tą utratę dumy zamienić na siłę, ale jakoś nie mógł.

– Sądzisz, że udałoby ci się go uruchomić?

– Możliwe. Nie dam pewności i na pewno nie wyciągnę z niego dużo – spojrzał na Isaaca. – Wiesz, nie chcę nas zamienić na atomy. Chociaż z drugiej strony to niesamowite. W życiu nie pomyślałbym, że ktoś kiedykolwiek, mógł wykorzystywać w taki dziki, barbarzyński sposób energię atomu – potarł ręką po powierzchni kuli. – Jeśli tylko paliwo nie uległo zbyt wielu cyklom połowicznego rozpadu, może uda mi się obudzić go.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj znać – powiedział Isaac i zdecydował, że lepiej zostawić geniusza z jego nową niebezpieczną zabawką samego i opuścił pomieszczenie reaktora w poszukiwaniu czegoś bardziej materialnego.

Gdy tylko znalazł się poza komorą reaktora, poczuł się zdecydowanie lepiej.

Nigdy więcej.

Rozdział dziewiętnasty

Zapis dziewiętnasty. *Obserwacja. Na jednej planecie życie bardzo szybko zaadoptowało się do nowych warunków. Zauważamy naturalny odchył od planowanych kierunków adaptacji w granicach akceptacji. Szacunkowe ryzyko katastrofy zmniejszyło się o 25%.*

Pierwsze godziny zleciały bardzo szybko. Podczas gdy profesor grzebał się, analizował i próbował poznać poszczególne części oraz funkcje urządzeń, Isaac zebrał, bez większego trudu, wszystkich członków załogi do największego pomieszczenia. Nie chciał, by ci walali się niepotrzebnie, zresztą bez działającego źródła energii, on sam nie uruchomi żadnego tu urządzenia. Niech oni wszyscy spoczywają w spokoju i dają im też spokój. Zaczął wstępnie segregować dokumenty oraz wszelkie przedmioty. O ile w przypadku załogi brak grawitacji mu pomagał, to drugie zadanie było wielce utrudnione. Z racji, że wszystko latało w chaotyczny sposób, nie mógł układać przedmiotów w zorganizowane grupy.

Kostium pozwalał im wytrzymać w próżni przez dobre pięć, sześć godzin czasu standardowego. W związku z tym, żaden z nich, nie spieszył się zbyt w swojej pracy. Dodatkowo chroniły ich przed promieniowaniem, zarówno kosmicznym, jak i gamma, oraz innym przenikliwym. Póki reaktor nie wybuchnie, nic im nie groziło.

– Isaacu? – odezwał się nagle głos profesora w słuchawce.

– Jestem. Co masz, Gilbertcie? – Sądzę, że udało mi się włączyć reaktor – było słychać w jego głosie ekscytację. – Nie powiem, że było to łatwe, ale się udało.

– To wspaniała wiadomość – Isaac szczerze się ucieszył, teraz mogli uruchomić wreszcie komputer pokładowy. – Zawsze wierzyłem w ciebie.

– Tak. Chociaż sam w to z początku nie wierzyłem, ale niestety jest problem.

– Mów, słucham cię.

– Reaktor nie jest w najlepszym stanie. Obliczając na szybko, na bazie tego, ile powinno być paliwa jądrowego, a ile zostało, powiedziałbym, że ten okręt ma parę tysięcy lat, według naszego roku planetarnego.

– Tysięcy? To niemożliwe, to poprzedza na długo nasze przypuszczenia.

– Wiem, ale wskazują na to wszystkie fizyczne dowody.

– Aż mi się wierzyć się nie chce. Ten wrak, tyle czasu, wytrzymał w próżni?

– Też uważam, że to niesamowite. Mieć coś takiego przed sobą. To całkowicie zmieni nasze pojęcie...

Isaac akurat nie miał ochoty słuchać wyводу, który profesor mógł mu zagwarantować, więc mu przerwał.

– Wspomniałeś, że udało ci się go uruchomić.

– A... tak, tak. Udało mi się ustawić minimalną moc wyjściową, akumulatory powinny niedługo się przy okazji naładować. Więcej niż parę gigawatów nie wyciągnę. Szczerze, to boję się, co mogłoby się stać, gdybym podkreślił potencjometr.

– Minimalna, więc musi nam wystarczyć w zupełności. Grunt, by odpalić komputer i podtrzymywanie życia.

– Jeśli tak uważasz.

– Gilbercie, jeśli możesz zostawić reaktor pod automatycznym nadzorem, to spotkajmy się za chwilę w kokpicie. Zgoda?

– Zgoda. Tylko pozwól, że upewnię się, że nie wysadzi nas w międzyczasie.

Isaac rozłączył się. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedział profesor o wieku pojazdu. Czy to było możliwe, aby był tak stary? Żadna znana historia świata, we wszystkich koloniach, nie różniła się za bardzo. Legendy głosiły, że istniała kiedyś potężna istota, zwana Zodiakiem, która była tak potężna, że mogła skinięciem ręki tworzyć i niszczyć galaktyki. Następnie z jakiegoś powodu, tu każda kolonia miała swoją wersję,

rozdzieliła się na dwanaście części i każda z nich poleciała do innego układu i z której powstałi później ludzie. Mało kto dziś wierzył w tę wersję, choć oficjalnie nigdy żadne stanowisko nie zostało ustalone. Podobno wieki wcześniej były osoby, które mówiły, jakoby jedna z tych kolonii była matką wszystkich innych. Problem w tym, że ta teoria upadła z braku solidnych dowodów. Jeśli ten statek miał wiek większy niż parę tysięcy lat, to by znaczyło, że istnieje jakaś znacząca część historii, o której nikt nic nie wie. Chociaż, o ile Isaac dobrze wiedział, istniały różne programy szukania życia, poza terenami należącymi do kolonii i od lat nie przynosiły one żadnych efektów.

Przerwał swoje rozmyślenia, nie chcąc, by Gilbert na niego czekał zbyt długo. Zebrał parę bardziej obiecujących kartek z latającego stosu oraz ruszył ciężko i powoli w kierunku kokpitu.

Rozdział dwudziesty

Zapis dwudziesty. *Czasem dniem mijają bardzo powoli. Metaboliczne sny pomagają. Załoga wciąż jest pewna optymizmu, chociaż czasem w pół żartach zauważyłem pierwsze sygnały rutyny. Warto zwracać na to uwagę.*

– Rozumiesz coś z tego? – spytał Isaac, siedząc w fotelu pilota i patrząc się w ekran.

– Szczerze, to nie za bardzo – odpowiedział mu Gilbert. – Język wygląda mi, tak jakby, znajomo. Niektóre symbole poznaję, ale nie wiem, jak by za to się ugryźć. Jestem fizykiem, nie lingwistą.

– Mam dokładnie to samo. Cóż, przynajmniej dobrze, że uruchomiłeś ten reaktor. Coś jeszcze działa poza nim, więc możemy w tym pogrzebać.

– Żaden problem. Nawet nie wiesz, jakie to było wspaniałe. Ten reaktor jest antycznie archaiczny. Jedyna rzecz zbliżona, jaka mi przychodzi do głowy, to jakby próbować mierzyć odległość przy pomocy łokci, albo stóp, mając w tym samym czasie ultraprecyzyjne metody laserowe.

– Powiedz mi, Gilbercie – przerwał mu młody pilot. – Jak myślisz, ile lat ma ten statek? Tak szczerze.

– Ciężko mi zgadywać, nie znam się na tym – odpowiedział mu, zamysłając się. – Poprzedza on technologię, jaką mamy, w ogromnej skali. Nie wiem, czy mogę tak mówić, ale wydaje mi się, że jest on starszy niż cokolwiek, co znamy.

Isaac przez chwilę mu nie odpowiadał, tylko wpatrywał się w ekran i dziwny alfabet.

– Myślisz, że to możliwe? – spytał po chwili. – To znaczy sam doszedłem do podobnego wniosku, ale wiesz... to trochę dziwne. Wszędzie mamy

zapiski w jakimś innym języku, ale to wciąż podobny alfabet do naszego. I dodatkowo napis na statku zrozumieliśmy bez problemu.

– Myślę, że za historią tego statku jest ukryte więcej niż na pierwszy rzut oka nam się wydaje – odparł i oparł rękę na ramieniu Isaaca. – Przyjdzie czas, to dostaniemy wszystkie odpowiedzi, których szukamy. Zobacysz, przyjacielu.

Mimowolnie Isaac uśmiechnął się i spojrzał jeszcze raz na konsolę.

– Mam wrażenie, że to jest to, czego szukamy – powiedział z dużą pewnością i wcisnął parę przycisków na bocznej konsoli oznaczonej piktogramem przedstawiającym prostą linię, ze skierowanymi grotami do niej prostopadłych strzałek.

Pojazd wydał nietypowy odgłos buczenia, cały kadłub się zatrzęsął lekko, po czym, jak na komendę, wszystkie swobodnie latające obiekty spadły na podłogę. Wskaźnik obok przycisków wyświetlał teraz liczbę 0,82 G, w jakiegokolwiek skali to było.

– Czujesz?

– Trudno tego nie czuć. Mamy sztuczną grawitację – odpowiedział Isaac.

– Wciśnij ten fioletowy przycisk na prawej rękawicy – powiedział Gilbertowi, po czym sam to zrobił.

– To niesamowite – profesor znów był pod dużym wrażeniem wszystkiego, co przeżywał. – Zupełnie inaczej się czuję. Niby ciężiej, ale jakoś tak płynniej i naturalniej.

– Miałem parę razy szkolenia wojskowe, w których robiliśmy coś podobnego, ale na zmianę i jeszcze z dodatkowymi zadaniami, bez kostiumów.

– Domyślam się, że lekko nie było.

– Nie, nie było. Szczególnie, gdy grawitacja zaskakiwała jak choćby, gdy nagle góra zamieniała się z dołem. Pierwszy i drugi raz mocno zwymiotowałem w trakcie. Nic przyjemnego, gdy nie czujesz intuicyjnej grawitacji.

Westchnął i zamyślił się na chwilę, patrząc na zmieniające się symbole na ekranach.

– Co teraz?

– Teraz zobaczymy, czy uda się uruchomić system podtrzymywania życia.

– Wydajesz się pewny, że uda ci się to uruchomić.

Isaac spojrział z ukosa na Gilberta.

– Niczego nie jestem pewien. Możliwe, że tworząc tu atmosferę, spowoduję rozszczelnienie powłoki, co w efekcie zrobi dziurę, przynajmniej w części statku. Chyba że śluz międzyprzedziałowe zadziałają – wytłumaczył.

– To nie napawa optymizmem.

– Nie, ale patrząc na naszego gospodarza – wskazał palcem na czyjeś zwłoki w korytarzu przed kokpitem – domyślam się, że system został z jakiegoś powodu ręcznie wyłączony. Gdyby działał i dopiero później się zepsuł, załoga zapewne byłaby bardziej porzrucana po statku. To po pierwsze, a po drugie zwłoki nosiłyby znaki rozkładu i pracy bakterii. Ktoś specjalnie uścił i wyłączył układ, by zachować statek i załogę. W większości. Taką przynajmniej mam tezę.

Gilbert znieruchomiał.

– Teraz to naprawdę każesz mi się martwić.

– Spokojnie, jakkolwiek był tego powód, nie przypuszczam, by zależało tej osobie, która to zrobiła, na tym, by nas skrzywdzić. Jeśli nasze przypuszczenia są prawdziwe i ten statek ma parę tysięcy lat... Nikt nie mógłby planować zamachu na nas tyle do przodu.

Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Normalnie ciężar z barków zrucasz – powiedział profesor, ale szczerze i tak nie był zachwycony taką wizją. Jedno porwanie w zupełności mu wystarczało do końca życia, a przynajmniej do końca tej podróży.

Przez chwilę Isaac pracował nad konsolą, a Gilbert w ciszy przyglądał mu się.

– Kadłub trzyma. Ciśnienie i temperatura rosną. Mieszanka powietrzna wydaje się dobra – zaanonsował nagle Isaac. – Niestety będzie o te piętnaście

procent mniej tlenu niż normalnie, ale odczujemy najwyżej lekkie niedotlenienie. Nic groźnego.

– Słucham? O czym ty mówisz? Nie rozumiem – spytał Gilbert.

– Zdejmujemy hełmy – pilot szybko wstał i spojrzał na swojego starszego towarzysza podróży. – I będzie nam łatwiej rozmawiać i będziemy mogli zdjąć te niewygodne kombinezony.

– Poważnie? Jesteś pewien?

– Tak jak ty jesteś pewien, że reaktor jest sprawny – odpowiedział mu zadziornie i zaczął rozszczelniać swój kombinezon.

W związku z tym, że system podtrzymywania życia jeszcze w pełni się nie rozgrzał, albo po prostu nie mógł, powietrze, które wniknęło do płuc Gilberta i Isaaca, było bardzo chłodne. Dla obydwu podróżników było to dziwne uczucie. O ile Gilbert przyzwyczał się do oddychania normalnie na pokładzie ich statku, te wydawało się mu jakiś obce, niepewne. Inne. Czuł się zdecydowanie mniej pewien, niż co do sprawy archaicznego reaktora. Co do niego był pewien, że z reaktorem wszystko będzie w porządku, póki nie spróbują go przegrzać za bardzo. Choć miał swoje lata, pracował bardzo ładnie, rzeczywiście, tak jakby ktoś go specjalnie zostawił w takim stanie. Osoba z większym pojęciem byłaby w stanie go uruchomić bez większego problemu.

Niepewne oddechy, z każdym następnym, zaczęły stawać się pewniejsze. Rzeczywiście zmniejszona zawartość tlenu była odczuwalna od razu. Oddech stał się szybszy i bardziej płytki, a dodatkowo powietrze samo w sobie zdawało się być trochę „cięższe.” W powietrzu, choć Isaac powiedział, że ustawiono tak atmosferę statku, by zakonserwować załogę i urządzenia, było możliwe odczuć lekko słodki zapach stęchlizny. Widać, procesy chemiczne w tkance organicznej od razu zaczęły ponownie funkcjonować po wielowiekowej przerwie, nie gorzej niż reszta sprzętu.

– I tak osiągnęli niezły wynik jak na parę tysięcy lat – powiedział Isaac, widząc, że profesor skrzywił się lekko, wyczuwając lokalny aromat. – Widocznie nie całe powietrze zostało wyciągnięte przy procesie usypania statku.

Przeleciał palcami po głównej konsoli.

– Wygląda na to, że część danych uległa zniszczeniu. To wina spędzenia w pustce kosmicznej tych lat. Zobaczą, co da się z tym zrobić.

– Dobrze – odpowiedział Gilbert i po wyrazie jego twarzy widać było, że już się przyzwyczajał do nowych warunków. – Przejdę się w takim razie po statku i poszukam czegoś, co mogłoby nam rzucić jakieś światło.

– Daj tylko znać, gdy coś znajdziesz – powiedział do odchodzącego starszego kolegi.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zapis dwudziesty pierwszy. *Otrzymaliśmy sygnał od Gai (błąd w odczycie)...
Zagrożenie jest realne. Muszę poinformować załogę.*

Poszukiwania zajęły więcej czasu i wysiłku niż przypuszczali. Nie dość, że wszystko było napisane w obcym dla nich języku, niektóre symbole i oznaczenia były zupełnie nic niemówiące. Na każde dziesięć stron pełnych wykresów i tabel przypadała jedna, która wyglądała na raport albo bezużyteczną instrukcję obsługi. Gilbert znalazł parę książek, leżących w różnych miejscach. Ale w większości były one raczej bezwartościowymi nowelami, przynajmniej na takie wyglądały. Prawdziwy skarb znalazł w jednej z kajut.

Niewielkie pomieszczenie, na oko pięć metrów kwadratowych, miało nawet skromny wystrój. Poza oczywistym umeblowaniem, łóżka w kącie, dwóch regałów, biurka i pary krzeseł, nie wyróżniało się niczym od innych. Za wyjątkiem ramki ze zdjęciem, na którym było widać ten sam statek, do złudzenia podobny do tego, na którym byli. Statek znajdował się w jakiegoś rodzaju doku, a pod nim stał mężczyzna w białym ubraniu przypominającym coś na kształt munduru wojskowego.

W jednej z szafek, w których pod wpływem czasu zamek zabezpieczający bez problemu uległ sile szarpnięcia, znalazł refleksyjny z jednej strony, bardzo płaski prostopadłościan. Gdy wziął go w swoje ręce, prostopadłościan ożył, a szklana szyba okazała się wyświetlaczem z ciągiem kolejnych niezrozumiałych znaków. Jednakże, co przykuło jego uwagę, był fakt, że sporo z symboli, od których zaczynały się kolejne sekwencje tekstu, przypominało mu normalne cyfry. Wręcz niektóre były identyczne. Zastanawiając się czy to przypadek czy nie, postanowił zabrać to znalezisko ze sobą.

W innych pomieszczeniach nie znalazł nic równie intrygującego. Co najwyżej parę magazynów, ukazujących różne kobiety, w mniej lub bardziej ubranym stanie, parę butelek z nieznanymi cieczami, odzież czy aparaturę szklaną nieznanego pochodzenia z masą rurek i czegoś, co wyglądało na skraplacz i destylator. Obok nich siedział jeden z członków załogi z dziwną czapką zakrywającą również całe uszy, butelką w ręku i dziwnymi strzępkami czarnej kurtki.

Zostawił go w spokoju i poszedł dalej.

Zawiedziony, choć nie miał żadnych większych oczekiwań, postanowił wrócić do Isaaca.

Ten zaś był, gdy tylko wszedł w zasięg, z wielką uwagą wpatrzony w jeden z ekranów.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytał.

Isaac odwrócił głowę w stronę profesora.

– Szczerze, to nie za bardzo. Wiem, że na pewno nie jest to statek z Caprici, co już ustaliliśmy wcześniej. Myślę jednak, że chyba coś udało mi się odkryć.

– Mi też udało się coś znaleźć, ale najpierw ty. Ciekawość mnie zżera – Gilbert podszedł bliżej i spojrzał na ekran, na który przed sekundą Isaac się patrzył.

– Mam wrażenie, że udało mi się dostać do czegoś, co wygląda na rejestr lotów – wskazał palcem na ekran, gdzie wyświetlony był model kosmosu z naniesionymi układami gwiazdnymi i prosto przerywaną linią wiodącą do punktu, w którym byli.

– Porównując to, że znana mi mapa wnioskuje, że znajdujemy się tutaj – wskazał na miejsce, gdzie był jeden z końców przerywanej linii. – Domyślam się, więc, że jest to trasa, jaką ten pojazd przeleciał.

– A mógłbyś określić, jaki był punkt startu? – wszedł mu w słowo profesor.

– Niestety nie. Wygląda na to, że przez parę tysięcy lat podróży pamięć tego rejestru się albo zapełniła, albo została uszkodzona. Biorąc pod uwagę

prędkość dryftu, mogę określić jego położenie tylko na przestrzeni około pięciuset ostatnich lat.

– To i tak niezły wynik – wsparł go profesor.

– Tak, ale nic nam nie daje – przerwał i na chwilę zapadła cisza, podczas której razem wpatrywali się w ekran.

– Jednakże, w tym wszystkim natknąłem się na coś, co wygląda mi na trzy współrzędne.

– Współrzędne czego?

– To może być wszystko, pojawiły się parę razy w logach. To może być cel ich podróży, miejsce startu, obszar objęty kwarantanną, wszystko. Powiem więcej, nawet nie mam pomysłu na bazie jakiego systemu są oparte te współrzędne.

Profesor wyglądał na zdezorientowanego.

– Myślałem, że jest jakiś jeden wspólny system.

– Bo jest, ale zanim nawiązaliśmy stałe kontakty z innymi koloniami, każda z nas wykorzystywała swój własny system. Opierał się on na trzech współrzędnych: promieniu od kolonii macierzystej, kątowi od osi poziomej i kątowi od osi pionowej.

Profesor zamyslił się na chwilę, zastanawiając się nad tym systemem.

– Czy jest możliwe, by ci ludzie również z niego korzystali?

– Jest to możliwe, ale jeśli już, to oparliby go o jakiś inny punkt. Punkt wygodny dla nich, którego my nie znamy. Bez niego niemożliwe jest to, byśmy to rozszyfrowali.

Profesor podał Isaacowi swoje znalezisko.

– Może to jakoś by ci pomogło.

Isaac zaczął przyglądać się tajemniczemu przedmiotowi.

– Odkryłem, że symbole, które pojawiają się na początku każdego wpisu – tłumaczył profesor – przypominają do złudzenia nasze cyfry.

– Hmm, ciekawe. Możliwe, że przy pomocy naszego komputera udałoby się rozszyfrować to.

Oddał Gilbertowi znalezisko.

– Takie same symbole pojawiają się i tutaj – przeniósł wzrok na swoje

odkryte współrzędne. – Tylko pytanie teraz, co oznacza ten symbol.

Wskazał na dwie wygrawerowane litery „nm.”

– Pojawiają się w każdej z trzech par.

– Na pewno dasz sobie z tym radę. Czuję, że kryje się za tym jakaś wielka tajemnica, która... – powiedział profesor, ale nagły odgłos pikania komunikatora Isaaca przerwał mu w połowie zdania.

Isaac spojrział bardzo szybko na wyświetlacz swojego komunikatora i bazując na jego wyrażeniu to, co zobaczył, na pewno nie było niczym dobrym.

– Mamy towarzystwo! – spojrział Gilbertowi w oczy, a spojrzeniu temu towarzyszyło narastające napięcie.

Rozdział dwudziesty drugi

Zapis dwudziesty drugi. *Załoga źle przyjęła informację, ale wiedzieli, na co się piszą. Zdają sobie sprawę, że ich życie może już nie wyjść poza ściany tego statku.*

– Właśnie wyskoczyły i nadlatują w naszą stronę dwa statki zwiadowcze Caprici – Isaac zrobił zniesmaczona minę.

– Czy to oznacza, że nie jesteśmy już bezpieczni? – Niestety tak. Musimy działać szybko, wywołują na. – włożył rękę do jednej z kieszeni swojego kombinezonu i wyciągnął niewielkich rozmiarów pudełko.

– To uniwersalny łamacz. Podłączę go pod konsolę i spróbuję przechwycić wszystkie dane z niej – wytłumaczył.

– Czy to w ogóle wykonalne? – zmarszczył czoło Gilbert – Jak chcesz scalić interfejsy, albo system kodowania?

– Tym się nie martwię teraz, to urządzenie przechwytyje surowe dane, rozkodowaniem ich zajmiemy się później. Sądzę, że komputer na naszym statku prędzej czy później da sobie radę. Potrzymaj to – podał Gilbertowi kawałek dolnego panelu konsoli, który odłamał w międzyczasie porządnym kopniakiem, po czym zanurzył się pod komputer.

– Będę miał tylko jedną prośbę – jego głos był lekko przytłumiony, ale za to bardzo basujący. – Wróć na statek, by kupić nam więcej czasu. Ty będziesz musiał zostać tutaj i przypilnować, by to cacko zebrało jak najwięcej danych.

– Jak długo może to potrwać?

– Trudno mi powiedzieć – w otworze pojawiła się głowa Isaaca. – Może to zająć dowolny czas. Jakby co dam ci znać, że masz zabrać to i się zabierać – z innej kieszeni wyciągnął niewielki wyświetlacz, który w ciągu sekundy scalił się z podłączonym urządzeniem.

– To musisz zabrać – powiedział, po czym podał profesorowi wyświetlacz i zaczął nakładać swój kosmiczny strój.

– Jest jeszcze jedno, załóż też swój kombinezon. Druga śluza nie działa i jak wyjdę, to rozhermetyzuję cały statek znów. Zresztą wolałbym przypilnować cię jeszcze, czy wszystko dobrze założysz.

– Ale grawitacja się nie zmieni?

– Nie, ale w związku z tym, że nie mam pojęcia, ani czasu, jak wyłączyć atmosferę i układ podtrzymujący życie, cały czas będziesz doświadczał mocnego przeciągu.

Profesor popatrzył na urządzenie i choć miał nieprzyjemne uczucie związane z tym, że zostanie sam na sam na tym obcym statku, kiwnął głową na znak zgody.

– Chyba dam sobie radę. Jak się porozumiemy?

– W hełmie przecież masz radio – Isaac pomógł nałożyć hełm Gilbertowi i sam ruszył w kierunku śluzy, zostawiając go samego w kokpicie.

Pół minuty później szarpnęło mocniej Gilbertem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Zapis dwudziesty trzeci. *Nie możemy pozwolić, by nas wykryli. Te dwanaście nasion musi wyrosnąć w spokoju, gdy przyjdzie czas, będą potężnym lasem. Ogień piekła nie może go osiągnąć. Musimy chronić nasze dzieci.*

– Załoga niezidentyfikowanego akwarińskiego statku, zgłoś się! – rozlegał się monotony głos, dochodzący z głośników.

Isaac na wpół spiesząc się, zdejmował w biegu resztki kombinezonu. Jego jedno oko cały czas spoglądało na ekran taktyczny.

Zbliżali się.

Mieli maksimum trzydzieści minut, nim wejdą w skuteczny zasięg wrogich dział. Na ich szczęście, załogi statków zwiadowczych wylądowały jeszcze dalej niż oni sami, gdy wskakiwali do tego układu.

– Tu załoga Ameby TK-421, kto wzywa? – zapytał się niepewnie. Nie chciał z nimi rozmawiać, ale coś musiał powiedzieć.

– No wreszcie! Dziesięć minut już was wywołujemy – głos po drugiej stronie nie wydawał się miły, ani zadowolony. – Tu Szczypiec 2. Naruszyliście przestrzeń terytorialną kolonii Caprici. Ze Szczypcem 3 lecimy was przechwycić. Wyłączcie silniki i przygotujcie się na abordaż.

– Szczypiec 2, moment, moment – Isaac miał nadzieję, że uda mu się jeszcze wyratować tę sytuację. – Jesteśmy na pokojowej misji. Mamy pozwolenie na poruszanie się po waszej przestrzeni. Mamy na pokładzie profesora Gilberta, który ma jutro wygłosić wykład wieczorem na Capricii, i...

– Zdajemy sobie sprawę z waszego ładunku...

Ładunku?!

– ...Ale naruszyliście naszą przestrzeń i nie podążaliście wyznaczonym

kursem. Dodatkowo jesteście objęci nakazem aresztowania za szabrownictwo i szpiegostwo technologiczne.

Moja lista robi coraz ciekawsza. Kolejne wykroczenia do kolekcji. – pomyślał Isaac.

– Wykonując skok, zrobiłem błąd w obliczeniach i wylądowałem tutaj. To przypadek.

Ciekawe, czy w to uwierzą.

– Zauważyliśmy statek, który nie dawał żadnych znaków i postanowiliśmy się mu przyjrzeć.

– To dowód potwierdzający oskarżenia. Powinniście się z nami bezzwłocznie skontaktować i zawiadomić. Wyłączcie silniki albo otworzymy w waszym kierunku ogień. To nasze ostatnie ostrzeżenie – powiedział agresywnie głos i rozłączył się, blokując połączenie ze swojej strony.

Isaac oparł głowę o tył fotela.

Cóż, to rozwiązuje problem dyplomatycznego rozwiązania.

Spojrzał okiem na wyświetlacz taktyczny. Zostały tylko dwadzieścia cztery minuty.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zapis dwudziesty czwarty. *Musieliśmy wylądować na jednej kolonii wbrew protokołowi. Sytuacja nas do tego zmusiła. Inżynier Darius i Inżynier Maria zdecydowali się zostać. Nie mogłem ich powstrzymać, teraz nie mam już takiego autorytetu. Inżynierowie znają procedurę, wierzę, że nie zawiodą.*

Profesor wrócił do pomieszczenia z reaktorem. Bez młodego pilota czuł, że samotność znów zaczyna mu doskwierać. Tym bardziej, że był sam na pokładzie bardzo archaicznego statku, który był teraz całkowicie rozszczelniony. Choć zdawał sobie też sprawę ze zbliżającego się niebezpieczeństwa, nie odczuwał niepokoju wynikającego z niego. Chciał tylko teraz zająć czymś umysł. A pomieszczenie reaktora było jedynym znanym takim tu miejscem. Gdy był tu wcześniej, dłubiąc przy bebechach reaktora, czuł się prawie jak w swoim laboratorium. Pomieszczenie go względnie uspokajało, pomijając pomarańczowe i czerwone wskazania na niektórych ekranach. Przypominały one cały czas wszystkim żywym i nieżywym duszom, że system jest bardzo przeciążony. Ciągła dekompresja wyciągała z systemu podtrzymującego życie ostatnie poty. System ten i tak, do dnia dzisiejszego, miał ogromne zapotrzebowanie na energię bezpośrednio z samego reaktora. A ten, który stał przed nim, przez stulecia wegetacji, nie chciał też w pełni współpracować. Szczególnie, że Gilbert nakarmił go tylko niewielką porcją kapsulek uranowych. Nie mógł ryzykować niekontrolowanej reakcji łańcuchowej. Co jakiś czas słyszał pojedyncze warknięcia czy zasyczenie z układu chłodzącego. Nie miał najlepszego humoru. Zachowywał się jak Taurusowy miś obudzony po dwusezonowej drzemce.

– Gilbercie, słyszysz mnie? – rozległ się trzaskający głos w słuchawce.

– Isaac? Jestem, jestem. Jak tam? – odpowiedział, wybity nagle ze swoich myśli profesor.

– Posłuchaj. Nie mamy dużo czasu. Za piętnaście minut wejdziemy w zasięg ognia dwóch statków zwiadowczych. Dyplomacja, niestety, na nic się nie zdała.

– Rozumiem, że mam się zabierać – zapytał.

– I tak, i nie. Mamy problem. Pilot zrobił krótką przerwę, ale przez hełm było słychać, że uderza gwałtownie w klawiaturę.

– O ile będę w stanie skoczyć w ułamku sekundy, to będą mogli na bazie naszej emisji ciepła i wektora kierunku określić bez problemu, gdzie skoczyliśmy.

– Nie rozumiem.

– Będą nas śledzić. Nie uciekniemy im. Chyba, że...

– Chyba, że..? – zadał pytanie profesor, czując ponownie narastające w nim zdenerwowanie. Włosy na jego skórze spodziewały się najgorszych odpowiedzi.

– Tak pomyślałem sobie. Pamiętasz, jak mówiłeś, że praktycznie ten reaktor to bomba.

– Tak?

– Mam więc bardzo nietypową prośbę. Czy mógłbym zmusić reaktor do eksplozji w określonym czasie, na przykład w ciągu dziesięciu minut?

– Ależ Isaacu! – to zaskoczyło profesora. – To zniszczy ten statek.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Gilbertcie, ale nie mamy wyjścia. Zresztą i tak nie możemy pozwolić, by wpadł on w ich ręce.

– Ale... ale... to... czysty wandalizm – profesor zaczął się mocno opierać, to było całkowicie sprzeczne z jego przekonaniem.

– Chciałbym, byśmy mieli inne wyjście, ale niestety nie mamy – Isaac mówił dalej szybko, ale dało się też usłyszeć nutkę jego niechęci co do tego planu. – Nie chciałbym, by Caprica posiadała jakąkolwiek wiedzę o technologii tejże Fundacji, jeśli jeszcze tego nie wie. Żałuję tej decyzji, ale nie mamy wyjścia. To umiałbyś to zrobić? Nie mamy czasu.

– Sądzę, że dałoby radę, ale na pewno nie mamy wyjścia?

– Niestety – chwilowe milczenie ogarnął eter. – Jeśli podniesie cię to na duchu czy zmotywuje cię to jakoś, to przecież nie niszcymy wszystkiego, zabieramy zarówno zawartość komputera, jak i to, co znalazłeś. Kto wie, jakie informacje to ukrywa.

Gilbert nie odpowiadał. Bardzo zaboląła go ta prośba. To co będzie musiał zrobić należało praktycznie do niepisanych zakazów i przekonań wszystkich wykształconych ludzi. Przez wiele lat uczył się, poszerzał swoją wiedzę i przez to nauczył się też szanować wszystko, szczególnie to, co dotyczyło historii i było z nią związane. Nie chciał jednak, by w świetle nieodzownej śmierci i potencjalnej niewoli, tak ważna wiedza wpadła też w niepowołane ręce.

Z trudem przełknął ślinę.

– Dobrze Isaacu, zrobię to – odpowiedział po dłuższej chwili. – Ale nie potrafię określić, kiedy nastąpi dokładne stopienie rdzenia reaktora. Aktualnie reaktor i tak ledwo się trzyma, cały układ podtrzymujący życie i sztuczna grawitacja potężnie obciążają go.

– Ty tu jesteś od tego specjalistą. Obróć nas tylko tak, by ten, na którym jesteś, był pomiędzy nami a nimi. To, jak to zrobisz, pozostawiam w twoich rękach. Masz siedem minut jednak, więc spiesz się.

Isaac rozłączył się, musząc zająć się naprędce skomplikowanym manewrem. W próżni, przy całkowitej bezwładności, zaledwie niewielka siła potrafiła nadać nieskończony moment obrotowy. Jeśli miał obrócić statki tak, jak chciał to zrobić, musiał bardzo delikatnie i powoli używać ciągu z silników, a następnie kontrować wyzwolony moment. To było zadanie wymagające nie lada skupienia i wyczucia. A także lat praktyk i doświadczenia.

Gilbert został sam ze swoimi myślami.

– Wybacz mi – pogłaskał delikatnie kopułę reaktora ręką. – Chciałbym cię lepiej poznać, ale los nie pozostawia mi wyjścia – zmarszczył czoło. Serce bolało go, gdy patrzył na takie piękno. Maszyna stworzona sprzed

dziesiątkami wieków, wciąż działająca, wciąż tętniąca życiem. I on, jej finalny kat.

Gdybym miał więcej czasu...

Wcisnął trzy przyciski na konsoli, obok prętów uranowych.

Wszystkie wystające dołączyły do swoich kolegów wewnątrz rdzenia.

Łza spłynęła po policzku Gilberta. W tym samym czasie wskaźniki temperatury zaczęły gwałtownie rosnać.

Bardzo gwałtownie.

Gilbert nawet nie zdążył mrugnąć. Obudził się z melancholii i szybko, nie tracąc ani chwili, ruszył pośpiesznie w kierunku kokpitu. Wychodząc z komory rzucił ostatnie spojrzenie na ten wyjątkowy okaz.

Gdybym miał tylko więcej czasu...

Szybko poodpinał i zabrał konsolę od uniwersalnego łamacza. Trzymając ją wraz ze swoim znaleziskiem, schował obydwie rzeczy do kombinezonu. Miał bardzo mało czasu i czuł to. Statek zaczynał przestawać być stabilny, i to pomimo ciągłego przeciagu.

Stojąc naprzeciwko śluzy, uzmysłowił sobie jedną rzecz. Będzie musiał sam wykonać skok przez pustkę. I to w pośpiechu.

– Gilbercie – rozległ się głos w słuchawce. – Wszystko z mojej strony jest już gotowe. Z mierników widzę, że rdzeń statku rozgrzewa się, i to bardzo szybko. Widnieje jak wielka czerwona plama wina wylana na białym obrusie. Zaraz będę stał przy naszej śluzie. Przypnij się póki co do jednej z linek asekuracyjnych i nie puszczaj, aż powiem.

Żołądek podszedł Gilbertowi do gardła po raz kolejny. Oby ten dzień jeszcze w żaden sposób go więcej nie zaskoczył.

Otworzył niepewnie rozszczelnione drzwi śluzy i spojrzał ponownie w głąbię pustki kosmicznej. Ta odpowiedziała mu cichym spojrzeniem, zapraszając do siebie, otaczając go mackami nieskończoności. Znów próbowała go zahipnotyzować jak bardzo łakoma kochanka...

– GILBERCIE, skup się! – słyszał głos, ale jakoś ciało nie chciało zareagować. – ZŁAP SIĘ LINY!

Isaac stał naprzeciwko niego, w otwartym włazie ich statku i machał

rękami w kosmicznym kombinezonie.

Gilbert wiedział, że musi się w pełni zmobilizować. Wybrnięcie ze stanu strachu kosztowało go wiele. Jego osłabiona wola i tak była na granicy poddania się.

Wziął głęboki wdech.

Nagły dreszcz, a raczej przeczucie, przeszło go. Poczul się, jakby za jego plecami wrota do piekieł otwierały się i wyciągały swoje macki, by go pochłonąć.

Złapał linę, nawet nie myśląc o tym.

Był pomiędzy dwoma rajami. Przed nim rozciągał się ten nieskończony, zimny, ale za to piękny, a za nim gorący, chwilowy, ale bardzo atomowy.

Świat nagle zawirował mu całkowicie przed oczami. Wszystko to, co widział, zasłoniły wirujące jasne gwiazdy. Odległe i piękne. Pulsujące na tle kosmosu. Takie ciche jak nieobecni obserwatorzy ich poczynąń.

Czy to koniec?

Obrócił się, kręcąc przez ramię. Zobaczył, jak statek za nim oddalał się bardzo szybko. Zdecydowanie szybciej, niż gdy pierwszy raz opuszczał swój wcześniej. Czuł, jakby jego dusza była wyrwana z ciała. Nie było to przyjemne i co gorsza, nie miał żadnej władzy nad kręcącymi się dookoła własnej osi kośćmi i ciałem.

Potężne szarpnięcie nagle go obezwładniło. Mocne i bezpośrednie. Prosto w dół i nim zdążył ponownie mrugnąć okiem, nad nim stał już Isaac.

Byli wewnątrz metalowego poszycia ich statku.

– Wybacz mi, Gilbercie, ale musiałem cię dość mocno szarpnąć. – usłyszał.

Isaac zamknął szybko śluzę za swoim towarzyszem, pobiegł w kierunku mostka, po czym krzyknął:– Szykuj się na skok! Ten może być bardziej gwałtowny niż poprzednie.

Profesor, podtrzymując się o jakiś wystający element, podniósł się i rozejrzał. Dopiero teraz dochodziło do niego, że był już bezpieczny w statku. Choć spędził w nim zaledwie, parę dni, jakoś nienaturalnie stał się jego drugim domem. Nie mógł uwierzyć, że sam wykonał kosmiczny skok. W tle świadomości miał nieodparte wrażenie, jakby ktoś mu pomógł się przełamać

do tego. Jakby sam statek Fundacji chciał mu pomóc i go popchnąć w ostatniej chwili.

– UWAGA, PIRANIA CZTERY! – rozległ się nagle czyjś rozłoszczony głos w głośnikach statku. – Mielicie swoją szansę. Jeśli myślicie, że schowanie się za tym wrakiem wam pomoże, to mylicie się. W imieniu prawa capricańskiego, zostaniecie teraz unieruchomieni!

– Nie przejmuj się nimi – Isaac krzyknął z kokpitu. – Gadają tak od dobrych pięciu minut. Nic nam nie zrobią. Wskoczymy im za... trzydzieści sekund.

Gilbert podszedł do iluminatora, by spojrzeć po raz ostatni na ten piękny i wyjątkowy stary pojazd, który został właśnie uwolniony z linek abordażowych. Ile historii mógłby on opowiedzieć, ile przygód przeżył, jakie systemy zwiedził i co sprawiało, że wciąż działał?

Niestety nie było mu dane poznać odpowiedzi na te pytania. Jego los był już przypieczętowany.

Bezpośrednią uwagę przykuwał jeden fragment poszycia okrętu. Jego rufa robiła się jakby coraz czerwiejsza i coraz bardziej pulsująca, jakby z każdą następującą sekundą ktoś dorzucił oliwy do ognia.

– Isaaa.... – chciał sięgnąć głosem i ostrzec swojego przyjaciela, ale w tym samym czasie statek zmienił się w kulę ognia. Kulę, która bardzo szybko zbliżała się w ich stronę. Szybciej niż cokolwiek innego.

Zbliżała się nieubłagane. Widział na formującej się powierzchni plazmy zmarszczki i pojedyncze wyrzuszenia. Czuł na skórze ogromne gorąco wytworzone z tej niekontrolowanej reakcji. Wiedział, że nie powinien się zbyt długo wpatrywać w epicentrum eksplozji, ale nie mógł nic na to poradzić. W jego wnętrzu widział piękno i słyszał, w duszy swojej wyobraźni, anielski głos, dziękujący mu za te parę godzin ich wspólnego kontaktu.

Nagle gwiazdy zmieniły swoje położenie. Wielka kula ognia zniknęła, a jedyne, co pozostało, to fragment fali, który w tym samym czasie uderzył okręt. Wszystko rozjaśniło się błyskawicznie i zatrzęsło poszyciem statku.

Rozdział dwudziesty piąty

Zapis dwudziesty piąty. *Otrzymaliśmy kolejną wiadomość. Ostatnią. To jest ostatni sygnał. Przewidywania były nietrafne. Przystosowali się i przybyli. Zostaliśmy sami, ale misja musi trwać dalej.*

Siła uderzeniowa była potężna. Choć fizycznie nie mógł jej poczuć, poczuł jej piekielne ciepło przez poszycie statku. Kadłub ledwo znosił kontakt z tak rozgrzaną, do paru tysięcy stopni, plazmą. Iluminator świecił jednolicie czerwono-białą barwą. Tak intensywną, że musiał aż przymknąć oczy i to pomimo kosmicznego hełmu. Parę centymetrów specjalnej szyby wytrzymało. Profesor natomiast mniej. W wyniku uderzenia fali, po raz drugi już dziś, wylądował na podłodze, turlając się nieporęcznie. Gdyby nie hełm, którego nie zdążył jeszcze zdjąć, prawdopodobnie rozbiłby sobie mocno głowę o jakiś przedmiot.

Nagle naszło go bardzo mieszane uczucie. Poczul się zarówno bardzo staro, jak i młodo. Ciało zaczynało odmawiać współpracy przez wydłużony stres i przeciążenia, ale umysł nielogicznie radował się z tej przygody. To wszystko przerastało go i nie mógł połapać się, co się tak naprawdę stało.

Leżąc tak na podłodze, z jego perspektywy, wszystko wydawało się takie spokojne. Sufit okrętu wydawał się w pełni obojętny zwariowanym wariactwom pasażerów i gdyby był człowiekiem, kiwałby głową niedowierzając, co ci dwaj dziwni ludzie jeszcze z nim wyprawiają. Oczywiście, gdyby tylko miał głowę. Jemu samemu w głowie natomiast lekko szumiało, co zagłuszało pikania różnych przeciążonych urządzeń.

Tu gdzie leżał było tak spokojnie.

– Nieźle nami szarpnęło – usłyszał zbliżający się głos Isaaca. – Jeszcze nanosekunda dłużej i mogło być po nas.

Pomógł profesorowi wstać z podłogi i rozebrać się z kosmicznego kostiumu.

– Nie spodziewałem się, że fala uderzeniowa przeskoczy z nami – powiedział. – Musiała nas już obejmować, gdy skakaliśmy.

– Opuszczając statek zostawiliśmy otwartą śluzę przecież – powiedział Gilbert, zgadując, że o to chodzi młodemu pilotowi. – Układ zapewniający atmosferę cały czas starał się kompensować to, co się ulatniało. Pod sam koniec reaktor pracował już na pełnej mocy. Liczba powietrza wytwarzanego przez okręt była ogromna. Gdy tylko rdzeń się stopił, cały ten tlen uległ nagłemu spalaniu. Stąd tak potężna fala – wyjaśnił.

Isaac zamyślił się nad słowami profesora. Sam zastanawiał się, skąd aż tak duża siła uderzenia się wytworzyła. To było bardzo nietypowe. Nawet jak na jego przygody. Z drugiej strony, nigdy nie wysadzał rdzenia reaktora.

Nawet podczas wojny.

Stuknął lekko dłonią w poszycie wewnętrzne.

– Statek doznał lekkich uszkodzeń, ale na szczęście to nic poważnego. Będziemy jednak musieli zmienić trochę nasz plan lotu.

Te słowa mało przypadły do gustu Gilbertowi.

– Czy to oznacza koniec naszej podróży?

Młody pilot wzruszył ramionami.

– Najpierw musimy wiedzieć, na czym stoimy. Dodatkowo musimy zatankować. Tym nagłym skokiem zużyliśmy sporo paliwa – wyjaśnił.

Isaac podał butelkę z jasnozieloną cieczą Gilbertowi.

– Udało nam się uciec prawie pewnej śmierci, a w najlepszym wypadku niewoli. Potrzebujemy odpoczynku, by zebrać myśli.

– Nie odmówię – profesor dopiero teraz poczuł, że z tych wszystkich wrażeń miał bardzo suche gardło. Upił sporawy łyk. W ułamku sekundy ciepło z wnętrza butelki rozeszło się po całym jego ciele, ustępujące zmęczenie i oszołomienie zaczynały się wycofywać w jego głębi. Poczuł się spokojniejszy i bardziej zrelaksowany.

– Lecimy na Librę – Isaac odebrał butelkę od profesora i sam wypił porządne dwa łyki. – Dzieli nas do nich teraz najbliższa odległość, a

dodatkowo mam tam znajomego, w naszej ambasadzie – spojrzał Gilbertowi w oczy. – Jak już ci mówiłem, nasza misja jest ściśle tajna. Oficjalnie nikt nam nie może teraz pomóc, jednak spróbuję coś nam wytargować. Nie powinno się zrobić o nas głośno, ale jeśli rozkazy od generała będą po naszej myśli, to wracamy. Jeśli nie, to lecimy dalej.

Gilbert przełknął ślinę.

– Co nie oznacza, że nie damy sobie rady – dokończył i klepnął delikatnie w ramię profesora.

Odstawił butelkę na jeden ze stolików w pomieszczeniu.

– Mamy dwa skoki do Libry. Zobaczmy, co uda nam się dowiedzieć z tej zabawki, którą wyciągnąłeś.

Profesor przypomniał sobie, że w swoich kieszeniach trzyma zarówno datapad z danymi z głównego komputera, jak i swoje znalezisko.

– Myślisz, że czegoś wartościowego się dowiemy? – spytał.

– A co mamy do stracenia – Isaac szczerze się uśmiechnął. Adrenalina i poczucie ryzyka bardzo go nakręcały. Gilbert przed samym sobą, choć ciężko mu było to przyznać, i sam jakoś czuł się lepiej. Tak jakby był pełen życia i jakby druga młodość do niego wróciła. Usiadł wygodnie na fotelu i oparł głowę o ścianę, przymykając oczy.

Interludium trzecie

– MIELIŚCIE ICH JUŻ W RĘKU! – grzmiał głos z hologramu. –
WSZYSTKO BYŁO GOTOWE!

– To nie nasza wina – odpowiedział mężczyzna w wojskowym uniformie.
– Nie wiedzieliśmy nic o tym wraku.

– Nie obchodzą mnie wasze tłumaczenia – odpowiedziała ta sama
tajemnicza postać w hologramie. – Wszyscy na tym stracimy. Całe
planowanie poszło przez was, nieudaczniki, do kosza.

Pozostałe osoby, w tym i te w żywej osobie, jak i holograficznej, milczały.
Nikt nie chciał zacząć.

– To się da jeszcze naprawić – rzekł inny z holograficznych głosów.

Krzyczący przywódca spojrział się z zainteresowaniem na tego, który
śmiał się postawić.

– Wytłumacz – rozkazał agresywnym głosem.

– Znam bardzo dobrze tego pilota. Nie wierzę, by zginął w wypadku.
Myślę, że niedługo się znów pojawi.

– Kontynuuj.

– Obarczymy go winą wtedy. Zgodnie ze starym planem – mówił pewnie,
patrząc mu w oczy. – Wyślemy po niego połączoną flotę. Damy mu poczucie
bezpieczeństwa tak, by nie spodziewał się niczego i wtedy go dorwiemy –
skończył.

Główny głos milczał przez chwilę. Zastanawiał się.

– Dobrze – odpowiedział po chwili. – Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to
tak zrobimy.

– TY! – obejrzał się na najmniejszą postać w gronie. – Kontynuuj plan i
przekazuj reszcie, czego się dowiesz.

– Tak jest – odezwała się wysokim głosem postać.

Zwrócił się ponownie do wszystkich:

– Ceną za porażkę jest wasza głowa. Nie zapomnijcie o tym – dodał krótko i rozłączył się.

Spotkanie było skończone i wszyscy w ciągu paru sekund albo się rozeszli, albo również rozłączyli.

Jedna postać została tylko dłużej. Ta, która zasugerowała naprawę sytuacji. Zdawała sobie sprawę, że trzeba działać szybko i bardzo dyskretnie.

Rozdział dwudziesty szósty

Zapis dwudziesty szósty. *Wykryliśmy wezwanie o pomoc. Przyjrzymy się mu. To nasi bracia. Niezbędny będzie sen metaboliczny. Obyśmy zdążyli.*

– Pójdę z tobą.

Isaac natychmiast się sprzeciwił.

– Nie! Zostań! – z jednej strony przypominając sobie poprzednią nieprzyjemną historię, nie chciał by i teraz też profesor został gdzieś zamknięty, z drugiej strony była też sprawa tej dziwnej Fundacji. – Zostań, proszę.

Jego głos stał się bardziej łagodny. Nie chciał urazić profesora swoim wybuchem i sprzeciwem.

– Dowiem się wszystkiego, czego tylko mogę. Po powrocie przekażę ci każdy szczegół. Obiecuję – kiwnął też głową w kierunku pamiętnika kapitana okrętu federacji, który znalazł Gilbert. – Ktoś musi tego pilnować. Zresztą dokonaliśmy przecież ogromnego odkrycia i musimy podzielić się obowiązkami. Ja spróbuję wyjaśnić sytuację, a ty, jak możesz, dowiesz się czegoś jeszcze ciekawszego z niego. Zgoda? – dodał na koniec, uśmiechając się delikatnie.

– Niechętnie przyznam ci rację – z lekkim rozczarowaniem Gilbert przytaknął. Miał w sobie ogromne pragnienie zwiedzić kolejną planetę, do tej pory udało mu się postawić stopę tylko na jednej, ale perspektywa czytania pamiętnika kapitana statku też była bardzo kusząca. I zdecydowanie mniej męcząca. Chociaż chciał zobaczyć inne kultury i ludzi, rzeczywiście ktoś musiał pilnować statku. – Obiecuj tylko, że mi opowiesz wszystko słowo w słowo.

– Obiecuję – Isaac teraz szczerze uśmiechnął się i wyciągnął rękę do

pożegnalnego uścisku, po czym wyszedł, zostawiając profesora samego w statku. Na wszelki wypadek, gdyby ten zaczął się za bardzo nudzić, zostawił mu butelkę jednego bardzo dobrego alkoholu z jego prywatnych zapasów, które udało mu się uzbierać z barku ze stacji COD. Butelkę, którą bardzo chciał wypić sam, ale uznał, że należy się profesorowi bardziej.

Za zaufanie.

Pogoda na Librze była najbardziej wyjątkowa ze wszystkich kolonii. W zależności od pory roku, siły wiatru, fazy słońca czy innych czynników, pogoda ta mogła być naprawdę różna. Nieraz zdarzało się, że w niezmierną parę minut dnia, czyste niebo zamieniało się w złośliwe burzowe chmury, a chwilę później zaczynał spadać grad. Roślinność tutaj pierwotnie wytworzyła odporność na to. Pomimo tego, najbardziej przystosowały się niewielkie okazy trawy i krzewów rosnące w skałach, które potrafiły wytrzymać bez problemu te ciężkie warunki. Drzewa były o bardzo grubych, choć giętkich, korach i liściach. Szerokością większe niż pięciu roślących mężczyzn, potrafiły nie uginać się za bardzo przed wiatrem i opadami. Mówiono, że Libra zawdzięcza właśnie nazwę tej zmiennej pogodzie. Z jednej strony wszystko się bardzo szybko zmieniało, a z drugiej, jednocześnie też, niczego nie brakowało. Bywały takie miejsca na planecie, które były bardziej statyczne, ale były też takie o równie ciężkich warunkach cały czas. Jedyne, co było prawdziwie stabilne i łatwe do przewidzenia na samej powierzchni, to temperatura. Choć i ta zmieniała się w zależności od pory roku, zawsze była w tych samych widełkach, idealnych dla ludzi.

Wszystkie zwierzęta morskie, lądowe i powietrzne, dwa razy do roku planetarnego, potrafiły się przemieszczać aż do połowy kontynentów. Jednak, dzięki różnorodności, część z nich cały czas zmieniała się miejscami. Były takie gatunki, którym surowa zima sprzyjała cały czas, a innym gorący klimat południowej i północnej ćwiartki, na zmianę. Wszystko było w swojej harmonii.

W dniu przybycia, w przedmieściach stolicy przywitała ich pora

przejsiowa mokra. Nim Isaac zdążył przejść teren z prywatnego lądowiska ambasadora do samego już właściwego budynku, jedyne, co miał na sobie suche, to bieliznę. A i co do niej zaczynał mieć pewne wątpliwości.

– Isaacu Vomisa – powiedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w niebieski frak, zielone spodnie i fioletowy krawat. Towarzyszyli mu dwaj żandarmi z bronią, która na pewno nie była na pokaz. – Mógłbyś mi wytłumaczyć, co tu robisz i dlaczego nie miałbym kazać cię teraz aresztować?

Pilot spojrział krytycznym okiem i ocenił z ogromnym niesmakiem ubranie swojego rozmówcy.

– Bo jedyny zarzut, jaki mógłbyś mi zarzucić, to pojęcie o dobrym guście. Ambasador rzucił okiem na swoje odbicie w sąsiedniej szybie, zmarszczył czoło i westchnął.

– Taka panuje tu moda. Im więcej kiczu i niepasujących kolorów, tym lepiej.

Dał znak żandarmom, że mogą wrócić do innych swoich obowiązków.

– Ty za to mógłbyś zmienić ubranie na coś mniej mokrego.

Isaac, widząc odchodzących żołnierzy, poczuł znaczącą ulgę i stał się o wiele swobodniejszy.

– Mam problem – przyznał – jak domyślasz się, nie zabawię tu długo. Ale najpierw muszę jak najszybciej skontaktować się z generałem Huxleyem i zatankować mój okręt.

– To da się załatwić – ambasador podrapał się po brodzie, po czym jego spojrzenie stało się bardzo poważne. – Dobrze cię widzieć, ale w coś ty się wpackował tym razem, młody?

Isaac wzruszył ramionami, nie wiedząc co odpowiedzieć.

– Jesteś teraz poszukiwany listem gończym na dziesięciu koloniach, ciąży na tobie zarzut zdrady, szabrownictwa, morderstwa i parę innych, nazwijmy to, łagodniejszych.

Pilot zrobił krzywą minę.

– Cóż, dzień jak co dzień. Niezbyt mogę o tym rozmawiać, co się ostatnio działo – odparł i oparł mokre ręce na ramionach ambasadora i spojrział mu

poważnie w oczy. – Ale nikogo nie zabiłem. Wierz mi.

Przynajmniej nie tym razem.

Ambasador westchnął i pokręcił głową.

– Choć znam cię zaledwie parę lat, jakoś ci wierzę. Niech stracę.

Zepchnął ręce Isaaca z siebie i pokręcił nosem. Wiedział, że będzie musiał się przebrać. Z mokrym frakiem nie może pokazywać się tak ludziom. To było po prostu niedopuszczalne dla niego, jako ambasadora.

– W coś ty się znów wpakował? – powtórzył, strzepując pojedyncze krople z barków.

– Muszę porozmawiać z Huxleyem – odparł bezpośrednio Isaac. – Wyjaśnić sytuację i dowiedzieć się, co dalej.

Ambasador wskazał mu drzwi i otworzył je przyciskiem kontrolnym na panelu ściennym.

– Chodź, zaprowadzę cię do naszej sali konferencyjnej – kiwnął głową jeszcze w kierunku statku, zanim zrobił jakikolwiek krok. – Słyszałem, że z profesorem Gilbertem podróżowałaś. Nie chciałby on może przejść się z nami? – spytał dyskretnie, jakby szeptem.

Isaac przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy to nie pułapka. Musiał zachować czujność. Jeśli był list gończy na jego głowie, to powodował, że teraz nie może nikomu ufać, nawet swoim przyjaciołom.

A w szczególności im.

– Profesor jest bardzo zmęczony – stwierdził jakby przelotnie. – Powiedział, że woli zostać na statku. Zbyt dużo przygód, mówi. Wiesz, profesor ma już swój wiek.

A ja każę mu skakać pomiędzy wybuchającymi statkami.

Ambasador zamyślił się.

– Cóż szkoda, odniosłem wrażenie, że będzie chciał zejść na ląd. Bardzo miło byłoby go poznać.

– Niestety nie mamy na to czasu – ponaglił go Isaac, by zmienić temat. – Muszę dowiedzieć się, jaki jest plan działań dla nas. Prowadź – zakończył sucho i uciał rozmowę.

Odniósł wrażenie jakby ambasador coś jeszcze ukrywał i miał jakąś

dodatkową intencję.

Na razie jednak dał mu się odprowadzić i nie pozwolił, by zostało to odkryte.

Sala konferencyjna była wyposażona w ogromny, okrągły stół, dla przynajmniej pięćdziesięciu osób. Na środku stał obrotowy projektor holowizualny, tak by rozmówca po drugiej stronie był widoczny przez wszystkich z każdej strony. Niewielkich rozmiarów panel, przy jednym z bocznych stolików, był wyposażony w nadajnik nadprzestrzenny. Urządzenie, które działało na tej samej zasadzie, co statki, jak i same podróże międzygwiazdne. Dzięki niewielkiemu rozmiarowi reaktora hiperatomowego, potrafiło ono zakrzywić przestrzeń w wystarczającym stopniu, by przesyłać kodowany sygnał, na względnie bliską odległość, do innej stacji przesyłowej. Tam manewr był powtarzany, aż wiadomość trafiała do odbiorcy. W związku z tym, że w trakcie przesyłania korzystano z wiązki laserowej i uwzględniając czas wszystkich przeskoków, całościowe opóźnienie nie przekraczało pięciuset milisekund i to tylko przy największych odległościach. To dzięki jednemu z tych wynalazków, Akwarius był w stanie utrzymać się w wojnie.

Isaac wybrał oficjalny kanał bezpośrednio do kwatery generała. Odpowiedź przysłała w ciągu paru sekund.

Projektor zamigotał i na środku stołu pojawiła się trzykrotnie powiększona twarz Huxley'a.

– Generale... – zaczął.

– Isaac, na Wielką Kolonię – odpowiedzi generał. – Coś ty dobrego narobił...

– Generale, zrobił się mały bałagan.

– Nie musisz mi tego mówić – warknął. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że przedstawia się wam zarzut zdrady, piractwa, morderstwa i szabrownictwa. Nie mówiąc już o tonach papierów, jakie wylądowały na moim biurku –

przerwał na chwilę i zaczął rozglądać się, jakby kogoś szukał. – Widzę naszego ambasadora...

Zwrócił się w jego stronę.

– Witaj ambasadorze. Dawno się nie widzieliśmy – skinął głową, ale nie czekając na odpowiedź, ponownie zwrócił się w kierunku młodego pilota.

– Co zrobiłeś z profesorem? Mam nadzieję, że nie zgubiłeś go po drodze?

– Nie, generale. Gilbert, to znaczy profesor Gilbert, jest aktualnie na statku. Mieliśmy ciąg nieszczęśliwych wypadków i uznałem, że lepiej będzie, gdy sobie bezpiecznie odpocznie.

Hologram generała kiwnął głową na znak zrozumienia.

– Skoro tak, to może wytłumaczyłbyś się, zanim każę ambasadorowi cię aresztować. Caprica nie daje nam spokoju. Żąda ekstradycji przynajmniej jednego z was – powiedział agresywnie, po czym dodał: – Tylko zwięźle.

Isaac przełknął ślinę. Wiedział, że nie będzie łatwo mu wszystko wytłumaczyć.

– Tak więc wszystko dobrze się układało... – zaczął i spojrzał na ambasadora, zastanawiając się, ile może przy nim powiedzieć.

– Możesz mówić swobodnie – Huxley, pomimo holograficznego wizerunku, zauważył to od razu. – Ambasador i tak wie już o rzeczach, od których straciłbyś pewnie wszystkie włosy.

– Odkryliśmy statek i udało nam się jego abordaż – spojrzał na hologram generała. – Nie był to jednak statek Caprikański, jak zakładaliśmy. Należał do Fundacji.

Hologram generała nawet nie drgnął, więc kontynuował dalej. Jeśli wiedział coś o tym, to nie dał po sobie tego poznać.

– Załoga była martwa od paru dobrych wieków, ale udało nam się uruchomić główny reaktor – opowiadał dalej. – Wszystko szło doskonale do chwili, gdy znikąd pojawiły się dwie lekkie fregaty zwiadowcze z Caprici. Nie widząc alternatywy, podjąłem decyzję – zauważył, że podświadomie bardzo ostrożnie zaczął nagle dobierać słowa – o autodestrukcji okrętu, w celu zamaskowania naszej ucieczki. I nie pozwoleniu przejęcia go wrogim okrętom.

– I zniszczeniu przy okazji fregat? – wciął się generał w wypowiedź pilota.

– Nie...! Nie? – odpowiedział zdziwiony. – Okręt został wysadzony, w bardzo bliskiej odległości względem nas, tak. Ale nikogo nie planowaliśmy zabić, tylko zmylić ich odczyty i uciec – dodał jeszcze na końcu. – Zresztą byli wciąż zbyt daleko, to niemożliwe, by coś im się stało. Nasz własny statek sam doznał przez to lekkich uszkodzeń.

General zastanawiał się nad jego słowami przez dobrych parę długich sekund, aż spojrzał w końcu ponownie na Isaaca, surowym spojrzeniem.

– Pozwól, że teraz opowiem ci inną, oficjalną wersję wydarzeń.

Isaac wiedział, że teraz przysła kolej na wysłuchanie. Rozsiadł się wygodnie na jednym z foteli. Chociaż etykieta wskazywała, że powinien stać, wiedział, że generałowi to wszystko jedno. Nic gorszego raczej nie może mu się teraz stać.

– Według Caprici, po wskoczeniu świadomie do ich układu, udaliście się na cywilny okręt. Zwykły prom wycieczkowy, który przypadkiem był akurat na drodze powrotnej na kolonię – słuchającemu tego młodemu pilotowi tylko jedna żyłka na szyi drgnęła. – Zastraszycie załogę, zrobiliście abordaż i w trakcie ucieczki, gdy zjawily się statki służb bezpieczeństwa, zabraliście, co tylko wam wpadło w ręce, i ustawiliście statek na autodestrukcję. Nie mówiąc o tym ani pasażerom, ani pilotom fregat. Dokonaliście morderstwa, które pomogło wam przy ucieczce – generał złapał oddech i dokończył. – Co w spektakularny sposób osiągnęliście cel, detonując zarówno statek cywilny, jak i dwie fregaty, zabijając przy tym z dwieście osób.

Isaac, nie wstając z fotela, odpowiedział wzburzony uderzając rękami o stół.

– To największy stek bzdur, jaki slyszalem. Jak niby we dwie osoby, ja z profesorem Gilbertem, mielibyśmy zastraszyć cały statek? I choć opowieść mi się podoba, to nie jestem mordercą, który z zimna krwią by zabijał cywili. Razem wiemy generale, jaka była nasza misja. Chyba nie ufa im pan, prawda?

– To nie mnie się musisz tłumaczyć i to czy ufam czy nie, jest bez znaczenia – odpowiedział chłodno hologram. – Ostrzegałem cię, co się będzie działo w przypadku wpadki.

Zapadła niezręczna cisza. W trakcie jej Isaac z niedowierzaniem zastanawiał się nad ich losem. O ile, dla niego, wpadanie w kłopoty było normą, to nie chciał zepsuć życia profesorowi bardziej niż już to zrobił. Za bardzo go zdążył polubić. Myśląc spuścił wzrok i przy pomocy swojej stopy zaczął się bawić nogą od okrągłego stołu.

To było bardzo niezręczne. Zarzuty, choć absurdalne, stawiały ich w bardzo niekorzystnym świetle. Prawdopodobnie nawet nie będzie żadnego procesu, a jak będzie, to znajdą się bez problemu ludzie, którzy potwierdzą tę wersję wydarzeń. Bałagan zrobił się naprawdę duży. Teraz Caprica nie odpuści, za nic, dorwania ich w swoje ręce.

– Ale nie zostawię swojego najlepszego pilota w takim bałaganie – odpowiedział generał, przerywając ciszę. Jego głos stał się nagle łagodny i pełen troski. – Służyłeś dzielnie Akwariusowi, wierzę, że na pokładzie twojego statku są dowody, które zaprzeczają w sądzie oficjalnej wersji i potwierdzą tę twoją.

Isaac siedział cicho i zaczął analizować pilnie słowa przełożonego.

– Posłuchaj mnie, Vomisa. Obiecuję ci, że osobiście zajmę się sprawą i zaopiekuję się wami – spojrzał w kierunku ambasadora. – Proszę, zaopiekuj się nimi, jak możesz. Wyślę zaraz do was oficjalny konwój po twoich gości. Dla ich bezpieczeństwa, zaopiekujesz się nimi, nim my odprowadzimy ich do nas. W ambasadzie będą bezpieczni.

– Dobrze generale, zrobię tak – odpowiedział ambasador.

– Pamiętaj – generał ponownie zwrócił się do Isaaca. – Ciężką na was zarzuty zdrady i morderstwa. Caprica twierdzi, że ma dowody na to. Postaraj się nie skomplikować jeszcze bardziej sytuacji chłopcze. Jasne? – podkreślił mocno ostatnie słowo.

Isaac siedział bardzo spokojnie, słuchając tego. Wiedział, że w takiej sytuacji ma bardzo niewielki wybór. Nie mógł teraz pokazywać zbędnych emocji. Dowiedział się już wystarczająco dużo, by wiedzieć, co musi zrobić.

Karty zostały rozdane na stół.

– Rozumiem, generale.

– Doskonale. W takim razie to tyle, oczekuj konwoju za cztery dni.

Rozłączył się.

Isaac i ambasador zostali sami w ogromnej sali konferencyjnej.

Po chwili ambasador podszedł do Isaaca.

– Jeśli jakoś ci to pomaga, to... wierze ci – w głosie było słycać szczere współczucie i nutkę litości. – Ale musimy wszyscy wykonywać rozkazy, takie są zasady. Niestety. Przykro mi. Wierzę, że oczyścisz swoje imię i obalisz wszystkie te fałszywe zarzuty.

Młody pilot nie patrzył jednak tak optymistycznie na tę wizję przyszłości.

– Niczego mi nie pozwolą udowodnić – odpowiedział gniewnie. Jego jedyne dowody są elementem w bardzo tajnej misji.

Logi statku nie mogą ujrzeć światła dziennego.

– Co będzie, to będzie. Generał was tak nie zostawi – ambasador stanął przy samym Isaacu. – Chodź, przygotuję dla was specjalne kwatery. Nie mogę zostawić przyjaciela w potrzebie.

Isaac nic nie odpowiedział ponownie, wiedział, że wszystkie sensowne realistyczne opcje zostały przed nim zamknięte.

– Zgoda – powiedział obojętnie. – Pozwól tylko, że pójde w takim razie po Gilberta. Przy okazji wezmę parę rzeczy, które mogą nam się tu przydać.

Ambasador pokiwał głową na znak zgody.

– Dobrze, w takim razie spotkajmy się za godzinę przy głównym wejściu. Mam nadzieję, że pobyt tutaj, pomimo okoliczności, spodoba się wam tu – powiedział i dodał: – Proszę, nie róbcie tylko nic głupiego. Naprawdę daję wam ogromny kredyt zaufania.

Isaac wstał i wyszedł bez słowa, nie patrząc już na niego. Musiał się spieszyć, jeśli mają mieć jeszcze jakąś szansę, by wszystko odkręcić.

Rozdział dwudziesty siódmy

Zapis dwudziesty siódmy. *Odkryliśmy wrak naszych braci z Gai na jednej planecie. Ich misja się skończyła, ale my kontynuujemy swoją. Zostawiliśmy zarówno wrak, jak i załogę na planecie, niszcząc ważniejsze dowody naszej obecności. Teraz nie możemy już ingerować. Jesteśmy tylko obserwatorami.*

– Isaac – przywitał go Gilbert na wejściu. – I jak, udało ci się czegoś dowiedzieć?

Isaac spojrzał na niego poważnym, milczącym wzrokiem, ale odpowiedział chłodno po chwili.

– Tak, jesteśmy oskarżeni o zdradę i morderstwo.

– Że co? Ale, ale przecież... – wiadomość całkowicie zamurowała profesora, aż usiadł na jednym z krzeseł wewnątrz statku. – Nie rozumiem.

– A ja tak. Zostaliśmy wystawieni – odpowiedział krótko.

– Wystawieni? Ale jak? Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że naszym wrogiem stali się jacyś naprawdę bardzo ważni gracze.

– Nie rozumiem – Gilbert wyglądał na bardzo zmartwionego. – Przecież nic nie zrobiliśmy.

– Jak mówię, nie znam przyczyn i to tylko moje przypuszczenia, ale mam pewność jednocześnie, że nie możemy tu dłużej zostać.

Gilbert nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– General Huxley oznajmił mi, że wysyła po nas specjalny oddział, który ma nas eskortować w drodze powrotnej.

– To chyba dobrze, prawda?

– Nie. To bardzo źle – odrzekł gwałtownie Isaac. – Gilbercie. Jesteśmy oskarżeni o zdradę, a to oznacza tylko jedno.

– Nie nadążam.

Isaac położył dłoń na ramieniu oszołomionego naukowca.

– Lecą nas aresztować. I gwarantuję, że w trakcie naszej rozprawy nikt za nami się nie wstawi. Zostaliśmy wysłani na tajną misję, której szczegółów nigdy nie będzie można opublikować. Rozumiesz już?

Profesor kiwał niepewnie głową. Próbował, ale nie mógł zrozumieć toku rozumowania przyjaciela.

– Widzę, że nie łapiesz tego, Gilbertcie – Isaac spojrział na twarz profesora. – Wytłumaczę ci to jeszcze raz, dokładniej, w drodze.

– W drodze gdzie? Proszę powiedz, co planujesz?

– Uciekamy – powiedział zwięźle Isaac. – W przestrzeni kosmicznej będziemy bezpieczniejsi niż tutaj. Zostając tutaj, za trzy dni trafimy do aresztu i pod czujnym okiem zostaniemy skazani, w imię pokoju między nami a Capricą – był bardzo poważny mówiąc to, ale słowa wymawiane brzmiały strasznie lakonicznie w jego ustach. – Cena pokoju jest większa niż nasze wspólne życie czy przyszła kariera. Nie mamy wyjścia. Dla naszego świata już nie istniejemy. Jesteśmy wyjęci spod prawa już.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku kokpitu.

– Co w takim razie zamierzasz? – Gilbert pytał, starając nadążyć za nim w drodze do sterów.

– Jeszcze nie wiem. Byle jak najdalej stąd – odpowiedział pilot i usiadł za sterami. – Znam parę miejsc i parę osób, które mogą nam częściowo pomóc.

– A co z generałem?

– Oficjalnie nam nic nie może pomóc. Przypuszczam, że ma tak samo jak my związane mocno ręce. W trakcie samej rozmowy nalegał na obecność ambasadora. Świadka, który by również potwierdził jego wersję i to, że działał dla dobra kolonii zgodnie z prawem. Nie wiem czy mógł coś zrobić więcej czy nie, ale przynajmniej mnie ostrzegł. Mam nadzieję, że tylko ja dowiedziałem się o tym ostrzeżeniu.

Isaac usiadł za sterami i szybko przeleciał przez różne przyciski i wajchy.

Rzucił szybkie w spojrzenie w kierunku stojącego obok Gilberta.

– Radziłbym usiąść – stwierdził. – Wyłączam właśnie wszystkie zbędne

systemy. Chcę wyciągnąć i przekazać pełną moc reaktora silnikom.

Gilbert szybko podporządkował się uwagom pilota, usiadł na stanowisku nawigatora i zapiął solidnie pasy.

– Będzie nami brutalnie rzucało – ostrzegł Isaac. – Kompensatory będą ustawione na minimum. Poczujesz ogromny napływ krwi, we wszystko, co będzie ustawione przeciwnie do naszego kierunku. Ustawię je tylko na tyle, byśmy nie potracili przytomności, ale możesz mieć problemy z ostrym widzeniem. Głowa też może cię zacząć bardzo boleć. Uprzedzam tylko.

Gilbert spojrział na Isaaca niepewnym wzrokiem, ale szczerze odpowiedział:– Jesteśmy w tym razem. Ufam ci i wierzę. Tak samo jak w to, że mnie uratujesz na Stagitariusie.

Isaac kiwnął głową, na znak podziękowania za wiarę pokładaną w niego.

– UWAGA! Załoga statku Pirania proszona jest o WYŁĄCZENIE SILNIKÓW – odezwał się głos w głośniku komunikatora.

Isaac całkowicie go zignorował.

– Proszę zaprzestać wykonywania jakichkolwiek działań. W przypadku nie posłuchania tych instrukcji, będziemy zmuszeni użyć siły.

Gilbert zastanawiał się, czy ktokolwiek odważyłby się otworzyć ogień w ich stronę. W końcu byli wciąż na terytorium ambasady i mieli pewny immunitet. Z drugiej strony mieli teraz na sobie list gończy.

Ułamek sekundy później jego uwaga została skierowana na coś zupełnie innego.

W całym swoim życiu nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej został poddany takiemu doświadczeniu. Nawet jego poprzednie doświadczenie sprzed paru dni nie umywało się do tego. Jego całe ciało zostało tak bardzo wbite w fotel, że zastanawiał się, jak to jest w ogóle możliwe. Następnie odkrył, że nie może oddychać i że od nagłego zgromadzenia krwi w głowie, zaczyna mu w nią być bardzo ciepło. Wręcz gorąco.

Obraz przed jego oczami przyciemniał na chwilę. A przez wgniecione przez przeciążenie płuca poczuł się, jakby odpływał w nicość.

Minęło parę bardzo długich sekund dla niego. Pełny oddech udało mu się odzyskać dopiero, gdy przebili się przez grubą warstwę chmur.

Komunikator wciąż odzywał się, jednakże nie mógł w żaden sposób zrozumieć, co oficer łączności próbował im przekazać. Cały świat kręcił mu się przed oczami. Obraz, zgodnie z ostrzeżeniami, rozmywał mu się i zamiast widzieć ostro, wszystko widział jak przez brudne i zaparowane okulary. Z oczu upłynęło na tyle dużo krwi, że narząd, nie mógł prawidłowo funkcjonować. Skierował, mimo ogromnego trudu, wzrok na Isaaca.

Gdyby tylko mógł, to zaniemówiłby teraz podwójnie.

Pilot siedział za sterami, jak gdyby nigdy nic. Jego skupiony wzrok był skoncentrowany na odczyt z różnych urządzeń, ręce przeskakiwały z jednej sekcji panelu kontrolnego na drugą. Isaac istniał i funkcjonował w pełni, był w swoim żywiole. Te same prawa fizyki, które tak dusiły profesora, jego nie miały się wcale. Był ponad to wszystko.

Profesor rozejrzał się za plecy, słysząc hałas. Z tyłu pomieszczenia leżało mnóstwo ich przedmiotów. Wszystko to, co nie zostało zamocowane uprzednio, skończyło praktycznie przyklejone do tylnej ścianki statku.

Siła przyśpieszenia i bezwładność w pełnej okazałości – pomyślał ironicznie.

– Jaaaak... Ty... to... wytrzymujesz...? – powiedział z wielkim trudem Gilbert, trzęsąc się od turbulencji, gdy opuszczali atmosferę.

Isaac spojrział z troską na biednego profesora.

– Powiedziałbym, że lata praktyki – uśmiechnął się i dodał: – Kwestia przyzwyczajenia. Chociaż, jeśli ci to poprawi nastrój, to też zapewne mam czerwoną twarz jak supernowa.

Gdy Gilbert przyjrzał się mu uważnie i wzrok przystosował się częściowo do tych nienormalnych warunków, to rzeczywiście mógł dostrzec, że miał on do połowy czerwoną twarz, a do połowy tylko trochę siną.

Wielka Całko, to jak ja muszę wyglądać – pomyślał o sobie, oddychając już z mniejszym trudem.

Isaac nie odrywał się od pilotażu. Po chwili dodał informacyjnie:

– Mamy pościg. Niewielki oddział Librańskiej straży planetarnej jest na naszym kursie przechwytyjącym.

Profesor nie wiedział, co to oznacza, ale domyślał się, że nic dobrego.

– Uciekniemy im, o ile... – zaczął mówić, po czym przerwał i zaczął

wpisywać jakieś wartości do komputera nawigacyjnego.

– ...o ile dostaniemy zielone światło od komputera.

– Skok na ślepo? – spytał profesor.

– Nie do końca – odpowiedział młody pilot. – Tak jak ci już mówiłem.

Pierwszy skok z układu statek może wykonać sam. Grunt byśmy oddalili się na jeszcze trochę większą odległość. Nie będzie on bardzo precyzyjny, ale mam współrzędne bezpiecznego miejsca, w głębokim kosmosie niedaleko stąd.

– Bezpiecznego miejsca? – spytał zaciekawiony uczony. O tym jeszcze mu Isaac nie opowiadał.

– Odpowiem ci później, gdy skoczymy – odpowiedział i ucinając praktycznie rozmowę, skupił się w pełni na pilotażu.

Załoga statków Librańskich nie miała zbyt szans, choć bardzo się starała. Nagły zryw i ucieczka statku, który rejestrował się i podawał wcześniej dyplomatyczne kody dostępu, były czymś, na co, w ogóle nie byli przygotowani. Choć zapewne ambasada ogłosiła już ich ucieczkę i objęła nakazem aresztowania, było zbyt późno. Przeciężony reaktor przekazywał prawie całą swoją moc silnikom, które nadawały zwiększającą się cały czas prędkość liniową statku. Słabością tej kolonii, która wynikała z pychy i pewności siebie, był fakt, że jedyne bazy wojskowe, na których mogłyby stacjonować statki, były w bliskiej odległości od planety.

Zbyt daleko już, by przeszkodzić dwójce zbiegów.

Rozdział dwudziesty ósmy

Zapis dwudziesty ósmy. *Ostatnia seria nieszczęśliwych wypadków nie może być przypadkowa. Wynoszę poważne konsekwencje do wszystkich naruszeń procedur. Nasuwają mi się złe myśli, ale mam nadzieję żadna z nich nie jest prawdziwa.*

Jakoś, poza stresem związanym z ponownym uciekaniem od lokalnego wymiaru sprawiedliwości, Gilbert nie czuł się wyraźnie zdenerwowany. Pomniejsze turbulencje i drgania trochę mu przeszkadzały, ale poza tym wierzył i wiedział, że jego przyjaciel doskonale kontroluje sytuację. Czas, jaki im zajął, na oddalenie się na bezpieczną odległość, minął bardzo szybko. Pościg został bardzo daleko w tyle.

– Skaczemy za 5... – zaczął nagle odliczać Isaac. – 4... 3... 2... 1...

Gwiazdy po raz kolejny błysnęły Gilbertowi przed oczami. Teraz już wiedział, że tak naprawdę żadnego błysku nie było. To było tylko związane z tym, że przeskakując z jednego miejsca w drugie, światło, które docierało do nich z każdego miejsca, było inne. Dodatkowo skacząc, mózg interpretował sygnały nie tak, jak powinien. A to dawało właśnie tego typu iluzję błysku świetlnego.

Spojrzał na Isaaca i spytał:

– Jesteśmy już bezpieczni?

– Prawie – odpowiedział. – W teorii powinniśmy wykonać jeszcze jeden skok, w inne bezpieczne miejsce, by nie mogli nas namierzyć po emisji ciepła pozostawionego, ale nie sądzę, by Librze zależało tak bardzo na pościgu.

– Skąd ta pewność? – spytał szczerze ciekawy profesor.

– Cóż, dla nich byliśmy dyplomatycznym statkiem – westchnął, wypuszczając powietrze z ust i odprężając się. – Nawet jeśli pogwałciliśmy

protokoły startu, jeśli nasza ambasada poprosiła ich o pościg, teraz jesteśmy poza ich jurysdykcją. A do czasu przybycia naszej floty, ślad po nas się wystarczająco rozniesie.

Z wiary w młodego pilota, argumentacja ta przekonała profesora. Pod tym wpływem pozwolił sobie na rozluźnienie.

– Czym jest to bezpieczne miejsce, o którym wspomniałeś? – spytał po chwili, wracając myślami do tego, co powiedział wcześniej.

– Cóż... – pilot zastanowił się, jak to ująć. – Powiem tak, jak już wiesz, możemy skakać między gwiazdami, bo znamy dokładne ich koordynaty.

Profesor przytaknął głową.

– W sytuacji, gdy nie znamy ich, nie wiemy, jak zagiąć przestrzeń i ile mocy potrzeba i takie tam – Isaac machnął ręką w powietrze. – Jednakże, układy gwiazdne nie muszą być jedynym miejscem, na które można precyzyjnie skoczyć. Jeśli w jakiś sposób uzyskasz dokładne koordynaty przestrzenne innego punktu, bez problemu można i by na nie skakać.

– Na przykład bazy kosmicznej – próbował zgadnąć profesor.

– Dokładnie. Tyle, że nie musi to być nawet fizyczny obiekt. Wystarczą same koordynaty.

– Rozumiem, że bezpiecznym nazywa się, dlatego, że bez nich nie zlokalizujesz statku.

– Tak. Widzę, że łapiesz to – Isaac uśmiechnął się pod nosem.

Może z profesora będzie jednak pirat – pomyślał żartobliwie.

– Musisz jednak wiedzieć, że prawdziwe bezpieczne miejsca są oddalone o przynajmniej parędziesiąt jednostek kosmicznych od układu. Kwestia jest tego typu, że choć w układzie pomiędzy ciałami niebieskimi można by się schować, jakoś w większości tego się nie robi.

– Parędziesiąt jednostek... Taki lot, konwencjonalnie zajmowałby parę godzin, prawda?

– Czasem i dni. Nie zapominaj, że w głębokim kosmosie nie zatankujesz nigdzie. Dlatego też ceny za takie miejsca, które są sprawdzone i mają pewne koordynaty, są bardzo cenne. Też nie zawsze masz pewność, czy tylko ty o nich wiesz albo czy nie wylądujesz zbyt blisko jakiejś gwiazdy.

Bezpośredni skok na takie koordynaty jest mniej paliwożerny, ale bardziej niebezpieczny. Chyba, że jest on już sprawdzony – wytłumaczył Isaac, drapiąc się po głowie.

– Niesamowite – stwierdził Gilbert. – To jest ciekawsze niż myślałem. To wiele wyjaśnia.

– Nie masz za co, Gilbercie, w końcu niestety razem w tym łajnie siedzimy i co gorsza, czuję się odpowiedzialny. I za twoją wcześniejszą przygodę, i za ten aktualny stan – zwiesił głowę, kończąc zdanie, i posmutniał.

– Nie przejmuj się tym – wzrok Gilberta był pełen troski. – Nie uważam cię za winnego. Prawda, sytuacja trochę się skomplikowała, ale przynajmniej przeżyłem do tej pory najwspanialszą przygodę życia. Tamten statek był naprawdę niesamowity. Wierzę, że sprawa się niedługo wyjaśni i wrócimy do swoich żyć – wrócił wspomnieniami do chwil spędzonych na archaicznym statku.

– Dziękuję ci, Gilbercie – Isaac poczuł się znacznie lepiej wiedząc, że jego starszy przyjaciel tak optymistycznie podchodzi do tego i to nie ze względu na to, że chce mu poprawić humor. Naprawdę w to wierzył. Jednak nie był przekonany co do szybkości rozwiązania tego problemu, w jakim się znaleźli.

Komunikator przerwał ich rozmowę i zaświergotał radośnie.

Obydwaj pasażerowie spojrzeli na siebie. Rzucili jednocześnie wzrokiem na informacje, które komputer zaczął im drukować na ekranie.

– Nie przypuszczałem, że spodziewasz się dostać jakąś wiadomość tak szybko – powiedział zdziwiony Gilbert.

Isaac za to stał się bardzo zaniepokojony i nerwowy.

– Coś się stało? – spytał profesor. – Wyglądasz na bardzo spiętego. Czy jest coś złego w tej wiadomości?

Isaac spojrział bardzo poważnym wzrokiem na Gilberta.

– Tak, to bardzo źle. By wysłać taką wiadomość potrzebujesz albo otwartego kanału komunikacyjnego, albo w miarę dokładnych koordynatów odbiorcy.

– Czyli nas.

– Dokładnie. A to oznacza, że albo ktoś wiedział, że tu przybędziemy, albo... – zrobił przerwę na złapanie oddechu. – Albo jesteśmy śledzeni i mamy podpięty gdzieś nadajnik nadprzestrzenny.

– Rozumiem, że to bardzo źle – powiedział profesor spokojnie. – Ale zobaczmy może, co dostaliśmy. Może to rzuci jakieś światło na to wszystko. Gdyby nas chcieli skutecznie złapać, myślę, że by to już zrobili.

Choć młody pilot chciał bardzo działać, dowiedzieć się i najpierw namierzyć nadajnik, musiał przyznać rację swojemu starszemu koledze.

– Zgoda, posłuchajmy jej.

Interludium czwarte

Nikt nie śmiał odezwać się słowem. Cisza opanowała całą salę. Tym razem wszyscy byli obecni, ale nikt nie śmiał nie stawić się w sytuacji. Pierwszy Mówca zarządził gwałtownie nagłe spotkanie. Nikt nie był na tyle odważny lub na tyle głupi, by to zignorować. Wszyscy czekali w grobowej ciszy.

Sam Mówca stał jak zwykle po środku i w naprawdę przedłużającej się ciszy, wyczekiwał i budował napięcie. Co parę minut zmieniał osobę, na którą się patrzył w milczeniu. W jego spojrzeniu dominowały gniew, frustracja i żądza zrobienia komuś krzywdy. Panował jednak nad sobą. Wzbudzało to tylko ogólną panikę w zebranych. Czy punkt przełomu nastąpi, i jeśli tak, to kiedy i na kogo spadnie pierwszy cios.

Spojrzenie Mówcy padło w końcu na osobie ubranej w wojskowy mundur z insygniami Akwariańskimi.

– Gratuluje awansu... admirale – powiedział. – Miałeś rację co do tego, że nasza dwójka jest dużo bardziej zasobna. Wykonałeś swoje zadanie doskonale. Ich aktualna ucieczka nie jest twoją winą.

Przerwał i pozwolił, by słowa zapadły w pamięć wszystkim obecnym.

– Jak widzicie – kontynuował po chwili – wasza lojalność i oddanie zostają wynagrodzone. – Spojrzał po pozostałych członkach spotkania. – Dla wszystkich tych, którzy jeszcze nie dostali tego, co było im obiecane... Dostaniecie to, tylko nie testujcie mojej cierpliwości – powiedział twardo.

– Nasza dwójka małych zbiegów zostanie złapana – kontynuował i rozwiał zawczasu wszelkie wątpliwości i potencjalne pytania. – Wysłałem za nimi specjalnego człowieka. Złapie ich i przekaże odpowiednim osobom. – Spojrzał na parę osób również z oznaczeniami wojskowymi, tyle że zupełnie innej kolonii, oraz na jednego mężczyznę stojącego bardzo dumnie w całym tym towarzystwie.

– Skoro o tym mowa, dostaliśmy w swoje ręce bardzo interesujące dane, które pozwolą nam przewidywać ich ruchy. Tak więc plan jest wciąż aktualny. I choć zmienił się on znacznie od wstępnych przewidywań, kontynuujemy go. Niewielkie porażki nie mogą nas powstrzymać.

Zrobił kolejną dłuższą przerwę.

– Jednakże, jeśli któryś z was – powiedział bardzo wyraźnie i agresywnie, kończąc złudzenia wszystkich, że łagodnie zakończy się to spotkanie – jeszcze raz mnie zawiedzie... Nie ważne, w jakiej sprawie. Kara będzie bezlitosna i natychmiastowa – spojrzał po twarzach wszystkich obecnych osób i choć wszyscy byli skryci za półmrokiem, celował w ich oczy i tym, którzy wiedzieli, że nie żartuje, odbił swoje śmiertelnie poważne spojrzenie, w samym sercu duszy.

– Isaac Vomisa i profesor Gilbert nie będą już waszym zmartwieniem. Skupcie się na reszcie planu – powiedział twardo.

– Będziemy w kontakcie – dodał i zakończył połączenie ze swojej strony.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zapis dwudziesty dziewiąty. *Przelot nad jedną z kolonii przyczynił się do zwiększonego morale. Wszyscy są szczęśliwi, że po naszym długim metabolicznym śnie kolonia pięknie się rozwija. Nie udało się znaleźć przyczyny psucia sprzętu od ostatniego zapisu.*

Wiadomość była krótka i zwięzła.

Brzmiała następująco:

Spotkajmy się. Wspólny znajomy.

Do samej wiadomości załączony był zestaw współrzędnych. Z tego co wiedział Isaac, nie pasował on do żadnej znanej kolonii. Był jak najbardziej skłonny uwierzyć, że była to jakaś tajna placówka, stacja kosmiczna albo była baza przemytników.

Mając na plecach niedawny, wciąż jeszcze ciepły oddech wymiaru sprawiedliwości, i z braku innych opcji, udali się bezpośrednio we wskazane miejsce. To było jedyna wskazówka, którą mogli teraz podążać. Gdyby nie ona, Isaac nie wiedziałby, co innego mogliby konkretnego zrobić.

Zastanawiał się nad tym, kim mógł być ten wspólny znajomy. Dodatkowo ryzyko kolejnej pułapki było duże, Isaac odczuwał przez to pewną obawę. Ledwie byli we dwóch miejscach razem i przypadkiem w każdym z nich czekała na nich niemiła niespodzianka. Jego myśli krążyły wokół tego, że tym razem zrobi wszystko, by i to nie okazało się prawdą.

– Gilbercie, musimy porozmawiać – powiedział Isaac, wchodząc do kwatery profesora.

Profesor był akurat w trakcie czytania swojego znaleziska, które jak odkryli, było pamiętnikiem kapitana statku nieznanego imienia. Dla ich

szczęścia dosyć rzetelnie spisywał całą swoją przygodę, a komputer pokładowy szybko rozkodował język, w którym był napisany.

Profesor zakatalogował go jaką bardzo archaiczną wersję wspólnego języka, który wyszedł z tysiąc lat temu z użycia. Był to język, za pomocą którego młode kolonie komunikowały się ze sobą, w zamierzchłych czasach.

– Słucham, Isaacu, w czym mógłbym ci pomóc? – spytał profesor, wyrwany ze swojej niecodziennej lektury.

– Zawiodłem cię, Gilbercie – zaczął pilot. – Na Stagitariusie nie powinienem był cię zostawiać samego. Nie spodziewałem się, że ktoś mógłby chcieć cię porwać.

Profesor odłożył konsolę, z której czytał zapiski.

– Nie ma o czym mówić. Już rozmawialiśmy o tym, jestem ci bardzo wdzięczny za ratunek – uśmiechnął się. – To nie twoja wina, że pewien ambitny człowiek próbował wykorzystać mnie do swoich niecznych celów.

– Dziękuję, ale chodzi mi też o co innego – Isaac mówił bardzo poważnie, nie był chwilowo w nastroju na dobry humor. – Wplątałem cię w niezłą aferę. Zostałeś w oczach ludzi oznaczony jako zdrajca. I choć zazdroszczę ci optymizmu, boję się, że nie tak łatwo oczyścimy twoje imię.

– Nie przejmuj się tym, przyjacielu – beztraska wraz ze szczerym uśmiechem profesora były naprawdę budujące. – Wierzę, że z czasem wszystko się wyjaśni. Choć prawda, strasznie dużo przeszliśmy, w tym krótkim czasie, to szczerze bardzo mi się podobało to wszystko do tej pory. Dzięki tobie poczułem się młodszy i ile czasu utraciłem wśród księżek. Pokazałeś mi, że moja fobia do latania była strasznie głupia. Jestem zdania, że razem uda nam się wszystko zrobić. Nawet jeśli będziemy musieli polecieć na drugi koniec galaktyki.

Isaac poczuł się zdecydowanie lepiej, jednakże miał nadzieję, że profesor tego nie dostrzeże. Odczuwał wstyd i nie radził sobie najlepiej, ukrywając go. Starał się zachować poważną postawę i tonację.

– Twoja wiara we mnie jest bezcenna, jednak muszę cię o coś poprosić.

– Słucham, przyjacielu.

Isaac spojrział na konsolę, z której czytał niedawno profesor.

– Chciałbym byś zniszczył ten pamiętnik nim dolecimy do właściwych koordynatów. I byś zrobił to tak, by nie zachował żadnej kopii i nie przekazał żadnej informacji nikomu dalej.

Profesor zatrzymał się jakby został spoliczkowany.

To było brutalne.

– Ale... jak... co... dlaczego? – wyjąkał zupełnie zaskoczony.

– Nie miej do mnie urazy, Gilbertcie – rzekł spokojnie Isaac. – To nic osobistego, wierz mi. Mówię ci to tylko ze względów bezpieczeństwa. Naszego, jak i innych osób postronnych.

– Ale... ale... to historia. Tak nie można – głos profesora przeszedł ze zszokowanego do oburzonego.

Dopiero teraz doszło do niego, o co go prosi.

– Wiem, że to trudne dla ciebie i zgadzam się, że to barbarzyństwo – ze spokojem tłumaczył dalej Isaac. Wiedział, że to trochę ich poróżni, ale niestety nie było innego wyjścia.

To już drugi raz. Obym nie musiał więcej.

– Barbarzyństwo to mało powiedziane – warknął nadspodziewanie agresywnie Gilbert. – Tak po prostu nie można. Ten pamiętnik opisuje ludzi, którzy żyli na długo przed nami. Nikt nie ma innej wzmianki o nich. To ostatnie zapiski tych ludzi. Nie zgadzam się! To morderstwo!

Isaac westchnął. Wiedział, że nie będzie prosto.

– Gilbertcie, wysłuchaj mnie.

Profesor, siedząc teraz ze skrzyżowanymi rękami, patrzył chłodno na młodszego kolegę, ale rzekł ze zdecydowanie mniejszym spokojem niż zazwyczaj:

– Wysłucham. Ale tylko dlatego, że traktuję cię jak prawdziwego przyjaciela – powiedział szorstko, patrząc z dużo mniejszą uprzejmością i dobrocią niż zazwyczaj. W jego oczach po raz pierwszy wrogość i pogarda zaczynały tańczyć razem w parze.

– Jeśli okaże się, że nasz „wspólny” *przyjaciel* to kolejna pułapka – zaczął tłumaczyć Isaac – to nie chcę, by informacje, które odkryliśmy, wpadły w ręce wroga. Rozumiem, że prosząc cię o to, w szczególności uwzględniając

poprzednią prośbę o wysadzenie tamtego okrętu – przypomniał mu – nagingam bardzo zaufanie pomiędzy nami, ale uważam to za niezbędny ruch. Cały czas cię straszę wrogami i to powtarzam na okrągło, ale niestety taka jest prawda.

Profesor nie skomentował tego. Bolało go już wtedy bardzo tamto działanie. Z tą różnicą, że w tamtej sytuacji, bezpośrednio ich życie było prawdziwie zagrożone. A teraz spokojnie lecieli sobie przez próżnię kosmiczną.

– Dlatego też, mówię ci o tym już teraz.

– To niewiele zmienia – rzekł chłodno uczony.

– Posłuchaj mnie, Gilbercie. Wiem, że to może być dla ciebie trudne. Ale pomyśl, co zrobiliby wszyscy, by osiąść choćby skrawek informacji z tego, co już my wiemy? Jeśli byłby jakiś fizyczny dowód, albo nawet sama wzmianka, że coś wiemy, nasze życie i życie naszych bliskich byłyby w ciągłym niebezpieczeństwie. Nikt, kogo sam znam, nie byłby bezpieczny, a wiesz mi, ty masz zapewne więcej bliskich ci osób niż ja.

Profesor analizował uważnie te słowa. Jego argumentacja trafiała tam, gdzie miała trafić.

– Nie każę ci zapomnieć tego, co już się dowiedziałeś. Jedyne proszę o zniszczenie go w formie fizycznej. To, czego się dowiemy, do czasu przylotu do stacji, pozostanie nasze. I nikt nam tego nie zabierze. A nawet jeśli, to nie będzie mógł udowodnić, że to nie wymysł naszej fantazji. Później, gdy się uspokoi już wszystko, spiszemy to i podzielimy się. Póki, co nie możemy jednak ryzykować. Dla dobra nas wszystkich.

Profesor milczał przez dłuższą chwilę, ale w końcu, na wpół łagodnym głosem, zapytał: – Rozumiem, że mogę go przeczytać całego?

– Tak, o ile zdążysz – odpowiedział Isaac. – Ja już zawartość komputera pokładowego całkowicie wykasowałem. Był zbyt zaszyfrowany. Wszystkie próby złamania go na nic nam się nie zdały. Udało mi się tylko wyciągnąć jeden zestaw współrzędnych, który zapamiętałem – spojrzał bezpośrednio w oczy profesora. – Więc proszę cię o to samo. Zapamiętaj, ale nikomu nic nie mów. Na razie... Proszę...

Profesor znów zamilkł. Dla niego, człowieka nauki, zniszczenie tak bezcennego znaleziska, było gorsze niż największe świętokradztwo. Można powiedzieć, że zatajanie informacji samo w sobie było świętokradztwem z ołtarza historii. Jednakże argumentacja Isaaca miała sens. Wiedza ta stanowiła ogromne zagrożenie. Gdyby wpadła w niepowołane ręce... Jednak w powołanych i zaufanych mogła być bezpieczna...

Chciał już powiedzieć coś, co mu szybko przeleciało przez myśl, ale ugryzł się w język i powstrzymał się.

– Zgoda. Jeśli obiecasz mi tylko, że będę mógł, o tym później, do woli i w pełni, dyskutować.

– Przyrzekam ci, Gilbertcie. Gdy to się wszystko skończy, będziesz mógł o wszystkim wszystko powiedzieć.

Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie – dodał w myślach, wiedząc, że pewnie wojsko też będzie chciało pewne sekrety zachować dla siebie i przymusi Gilberta do zachowania tajemnicy na swój sposób.

– Czyli mam ile? Trzy dni, tak?

– Mniej więcej tak – odpowiedział Isaac.

Profesor stał się zamyślony. Ich wzajemna relacja ochłodziła się. Nie było mowy o pomyłce.

Jednak w sercu duszy profesor nie chciał, by podzieliło ich cokolwiek. Nie mógł darować tej bezczelności, ale jednocześnie głupio by się czuł, nic nie mówiąc.

– Wspominałeś coś o jakichś współrzędnych...?

Isaac w myślach podziękował Gilbertowi i odetchnął z ulgą. To była dobra zmiana tematu, ta cała prośba nie była niczym przyjemnym dla żadnego z nich.

– Tak. Zanim ci dokładnie opowiem o tym, muszę się ciebie o coś zapytać. Czy wiesz, w jaki sposób opisujemy nasze współrzędne w kosmosie?

– rzekł do starszego towarzysza.

Profesor chciał coś od razu odpowiedzieć, ale powstrzymał się i zastanowił chwilę.

– Rozumiem, że dla wygody, musi istnieć jakiś uniwersalny system,

prawda? – spytał.

Isaac kiwnięciem głowy potwierdził.

– Na tyle prosty i niezłożony, aby wszyscy mogli łatwo z niego korzystać.

– Dokładnie. Określamy nasze współrzędne na podstawie środka, od uniwersalnego punktu i dwóch kątów przestrzennych, poziomego i pionowego...

– Środek galaktyki – przerwał mu nagle Gilbert. – Za punkt wyjścia przyjmuje się środek galaktyki, prawda? Isaac chciał być zaskoczony jego szybką analizą, ale nie był. Wiedział, że profesor potrafi bardzo szybko przyswajać nowe rzeczy i momentalnie wyciągać na ich bazie z grubsza prawidłowe wnioski.

Szkoda, że z ludźmi nie radzi sobie tak dobrze.

– Masz całkowitą rację. Aktualnie za punkt wyjścia przyjmujemy właśnie centrum naszej galaktyki – przyznał. – Ale musisz, jednak wiedzieć o jednej rzeczy.

Profesor słuchał z pełnym skupieniem.

– To nie jest jedyna metoda. W teorii, jest ich nieskończenie wiele.

Gilbert kiwnął głową na znak zrozumienia.

– Nawet wyłączając ze zbioru to, że za punkt odniesienia możemy przyjąć dowolny inny punkt, i tak pozostanie ich sporo. Przypuszczam, że do jednego z nich należą te współrzędne.

– Czyli byłbyś w stanie rozkodować je i namierzyć? – Tak, jeśli mi się poszczęści. Widzisz, Gilberte, mam pewną teorię. Mamy trzy pary liczb – zaczął wyliczać i pokazywać to na palcach. – Kiedyś uczyłem się o systemie opartym na wspólnej części sfer. Rozumiesz, o co mi chodzi? – spytał.

Gilbert pokręcił przecząco głową.

– Niestety nie, mógłbyś mi wyjaśnić dokładniej, przyjacielu? Isaac uśmiechnął się pod nosem. Zrobiło mu się przyjemnie, wiedząc, że profesor wciąż tak o nim myśli.

– Już tłumaczę – wziął do ręki leżącą niedaleko kartkę i ołówek. Narysował na nich dwa mało estetyczne, prawie równe okręgi.

– Dla uproszczenia, narysuję to w dwuwymiarowej przestrzeni, ale

zasada jest dokładnie taka sama w trzech.

Profesor pilnie przyglądał się i słuchał.

– Jak widzisz, te dwa okręgi mają cztery warianty ułożenia. Albo tak jak narysowałem, gdy nie będą się ze sobą stykały albo tak, że mogą – narysowałem pozostałe trzy rysunki.

– Jeden z tych wariantów jest taki, że będą tylko w jednym punkcie się dotykały. To sytuacja idealna. Drugi jest taki, że przetną się w dwóch miejscach, przenikając się częściowo przez siebie. A trzecia – wskazał na rysunek, gdzie był tylko jeden okrąg – jest tak samo zła, jak gdy w ogóle się nie stykają.

– Gdy pokrywają się całkowicie? – spytał profesor.

– Dokładnie. Tak więc przechodząc z okręgów na ich promienie można stwierdzić, że w dwuwymiarowej przestrzeni potrzebujesz dwóch różnych promieni tak, by zaistniał wariant pierwszy, z jednym wspólnym punktem; lub trzech, gdyby wartości promieni były do siebie podobne i otrzymałbyś z dwóch aż dwa punkty. Wtedy potrzebujesz trzeciego, by wyeliminować ten zły.

– Rozumiem, że w trzywymiarowej przestrzeni byłoby podobnie.

– Tak, tylko w niej potrzebujemy czterech współrzędnych, w najgorszym przypadku. A mamy do dyspozycji tylko trzy.

– Więc...? – profesor nie do końca rozumiał, do czego zmierza Isaac.

– Więc albo system, który ci przedstawiłem jest niepasujący do współrzędnych, albo na co wskazują liczby, mamy trzy zupełnie różne odległości od jakichś obiektów.

Profesor podrapał się po brodzie.

– To już coś, a wiemy, czym są te obiekty?

Isaac zrobił skwaszoną minę.

– Niestety nie. Pewnie drugie liczby w parze o tym mówią, ale na razie nie doszedłem do tego. Trudno zgadnąć, co dokładnie opisują. Wiesz, to tylko teoria, oparta na paru hipotezach. Pewne jest jedno, aby system miał sens, obiekty te powinny być jak najbardziej stałe w czasie i przestrzeni.

Inaczej, nie będąc w jednym miejscu, miałbyś problemy z określeniem swojej lokalizacji.

– Stałe obiekty w kosmosie... – zamyślił się Gilbert, po czym powiedział: – Może chodzi o jakieś czarne dziury, magnetary albo pulsary?

– To byłoby logiczne – przyznał mu rację Isaac. – Ale kolejny problem jest taki, jak je rozpoznać na tle innych. Takich obiektów są niepojęte miliony. Żeby dodatkowo sprawę utrudnić, niektóre z nich są nieobserwowalne z niektórych miejsc w kosmosie.

– W takim razie, co nam po nich? – zadał kolejne pytanie Gilbert. – Jeśli nie potrafimy stwierdzić, które z tych punktów nas interesują, jak będziemy mogli zlokalizować miejsce, gdzie nas te współrzędne kierują?

Isaac pokiwał głową.

– Dlatego poruszyłem ten temat. Chwilowo nie mam pomysłu. Możliwe, że ty na coś wpadniesz w międzyczasie. O ile w ogóle, dobrze to rozumiem – odłożył zarysowaną kartkę na bok. – Taka metoda jest praktycznie jedyną, która mi przychodzi do głowy, uwzględniając i mając do dyspozycji tylko te trzy grupy liczb.

– Jeśli natknę się na coś, dam ci znać – powiedział profesor i wziął datapad z dziennikiem znów w ręce. – Szczerze to zaciekawileś mnie tym. Sam bardzo chciałbym wiedzieć, co znajduje się tam, po drugiej stronie.

Isaac wstał i ruszył w kierunku kokpitu, ale wychodząc z pomieszczenia odwrócił się i powiedział jeszcze:– Dziękuję ci naprawdę i przepraszam, Gilberte. Mam nadzieję, że szybko uda nam się wszystko odkręcić, tak byśmy mogli skupić się na rozwiązaniu tej zagadki.

Gilbert kiwnął na zgodę głową i wrócił do czytania lektury.

Isaac wyszedł, mając mniejsze wyrzuty sumienia niż te, które jeszcze miał parę minut temu.

Rozdział trzydziesty

Zapis trzydziesty. *Z pierwszym oficerem podjęliśmy decyzję o kontynuowaniu naszej misji, tak długo jak będziemy w stanie. Nie zamierzamy wracać. Nie mamy gdzie. Wypełnimy ją.*

Przez kolejne trzy dni czas bardzo szybko zlatywał. Pasażerowie bardzo mało ze sobą rozmawiali, obydwoj skupieni na rozwikłaniu swoich zagadek, nie zwracali na siebie większej uwagi.

Zbliżał się czas obliczenia ostatniego skoku. Isaac ustawił komputer do automatycznego określenia diagnostyki i przygotowania parametrów do skoku. Profesor w tym samym czasie siedział w niewielkiej kuchni, studiując dalej dziennik. Młody pilot postanowił przyłączyć się do jego towarzystwa.

– Fundacja cały czas nas obserwowała – powiedział niby do siebie profesor, ale też tak jakby do wchodzącego młodego przyjaciela. – A my o niczym nie wiedzieliśmy. Niesamowite.

Isaac przysiadł przy stole.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego, ciekawego? – spytał i nalał sobie zwykłej wody z podajnika obok. Miał lekkiego kaca po poprzednim picciu. Czasem z nudów nie potrafił się powstrzymać.

– Wszystko tu jest ciekawe – powiedział profesor, nie odrywając wzroku od datapadu. – Ale jeśli chodzi ci o konkrety, to od czasu naszej poprzedniej rozmowy, niewiele.

– Czyli wiemy, że istniały dwie planety fundacyjne.

– Tak. I jeśli, wierzyć tym zapiskom, kapitan tego statku był z planety o nazwie Gaia.

Isaac odstawił kubek.

– Brzmi dokładnie, jak mój niedawny jeszcze pracodawca.

– Sądzę, że to przypadek. Niestety, nie wspominają za bardzo o drugiej. Wiemy tylko tyle, że istniała.

Isaac skrzywił się, miał nadzieję na coś bardziej precyzyjnego. Jego własne postępy nad rozszyfrowaniem niewiele dały. Czuł, że jest bliski odkrycia, ale możliwości wciąż było zbyt wiele.

– Rozumiem, że w większości są to zapiski dotyczące ich misji.

– Tak, ale jest parę wzmianek o niejakim zagrożeniu, którego się bardzo obawiali. Ich misją była obserwacja naszych kolonii i po części strzeżenie nas.

Nie mógł w to uwierzyć. Najwcześniejsze znane im zapisane wzmianki nigdy nie mówiły o czymś takim. Wierzono, że kolonie po prostu się pojawiły. Nikogo nie interesowało, jak i dlaczego. Myślano, że kiedyś jedna kolonia była kolebką, ale problem był w tym, że wszystkie miały zbyt zbliżony wiek do siebie. Na nic innego nie było dowodów.

Praktycznie do teraz.

– Czyli możemy bezpiecznie założyć, że ta Fundacja przyczyniła się do powstania naszych kolonii.

– Na to wygląda. Nie mając nic, poza tym dziennikiem, trudno mi powiedzieć, jak stare te zapiski są.

– Ale po co? – Isaac zadał pytanie – Nie rozumiem, dlaczego mieliby założyć nasze kolonie i nie powiedzieć nam o tym.

Gilbert przeleciał palcami po wyświetlaczu i przeczytał fragment.

Nie możemy pozwolić, by nas wykryli. Te dwanaście nasion musi wyrosnąć w spokoju, gdy przyjdzie czas, będą potężnym lasem. Ogień piekła nie może go dosięgnąć. Musimy chronić nasze dzieci. Skończył.

– Czyli ukrywali nas. To, w gruncie rzeczy, odpowiada na moje pytanie.

Zapadła większa cisza. Żaden z podróżujących nie wiedział, co powiedzieć. Isaac jako pierwszy przerwał ciszę.

– Czytasz ten dziennik bez przerwy od paru dni, jak myślisz, dużo ci jeszcze zostało?

Profesor spojrział zmęczonym wzrokiem na młodego przyjaciela. Wiedział, że, w pytaniu jest ukryte drugie dno.

– Nie, kończę już po mału – powiedział – Zostało mi tylko parę wpisów.
– Jak się kończy historia tego statku? – spytał z ciekawości pilot.
– Jeśli wierzyć zapiskom, to kapitan odkrył jakąś anomalię. Obawiał się czegoś. I to bardzo. Jakiegoś konfliktu wewnątrz załogi – wyjaśnił Gilbert. – Nie jest zbyt precyzyjny, ale nazywa drugą grupę buntownikami i nie chce, by wskutek ich działań, cała misja się nie powiodła. Mówi, że podejmie każde niezbędne kroki, by nas ochronić.

Isaac popijał z wolna wodę ze szklanki. W tym międzyczasie napełnił i opróżnił ją dwa razy.

– Pamiętasz, Gilberte, jak odkryliśmy ciała załogi na statku? – spytał.

Profesor ponownie odłożył dziennik.

– Szczerze, to nie zwróciłem uwagi. Wiesz, byłem przerażony i podekscytowany wtedy. Pamiętam je, ale to tylko tyle.

Isaac kiwnął głową. Rzeczywiście profesor z samego początku był tego dnia pod ogromnym stresem.

– Prawie wszystkie ciała były w głównym pomieszczeniu – powiedział.

– Nie rozumiem.

Isaac westchnął.

– Zastanawiałem się nad tym wcześniej. Po tym, co powiedziałaś, teraz sugeruję, że popełnili samobójstwo. Ale teraz myślę, że to kapitan statku do tego się przyczynił praktycznie bezpośrednio.

– Samobójstwo? Ale jak? – zaskoczyły profesora te słowa.

– Myślę, że dla ochrony misji, zebrał wszystkich, poza zaufanymi ludźmi, właśnie w tamtym pomieszczeniu. Po czym wpuścił zapewne jakiś środek do atmosfery, który ich bezboleśnie zabił. W przypadku rewolty, ta zabiłaby ich wszystkich i zagroziłaby, możliwe że i całej ich Fundacji. To znaczy, to tylko teoria, ale pasuje idealnie do tego, co znaleźliśmy i tego, co właśnie przeczytałaś.

Profesor był zmartwiony tą informacją. Nie mógł jakoś pogodzić się, że ludzie sprzed tylu lat, możliwe, że ich niebezpośredni przodkowie, chcieli popełnić samobójstwo. Taki akt ogólnie występował i do dnia dzisiejszego, ale nie był nigdy niczym chwalebny. Raczej był traktowany jako oznaka

słabości niż poświęcenia. A nawet jeśli było już to uzasadnione, to czym było to niebezpieczeństwo, o którym mówili? Może jeszcze coś znajdzie z ostatniego zapisu.

Wziął do ręki datapad i zaczął czytać na głos.

Nasza misja tu się kończy. Nie uda się nam wrócić. Napęd podświetlony jest zbyt uszkodzony. Ktoś zrobił sabotaż. Nie możemy pozwolić, by wygrali Oni nad nami. To ostatni zapis. Fundacja ponad Wiecznością. Skończył.

Cisza spowiła całą kabinę. Nikt z obecnej dwójki nie odważył się powiedzieć niczego. To przesądzało sprawę.

Teoria Isaaca była bardziej niż trafna.

– Niesamowite – powiedział w końcu Gilbert.

Isaac kiwnął głową w zgodzie.

– A jednak – po czym dodał: – Czyli mówisz, że nic konkretnego w nim nie było?

– Trochę było. Między innymi opis naszych kolonii, parę szczegółów dotyczących ich misji, ale poza tym, to niestety nic.

Młody pilot westchnął z rozczarowania. Miał nadzieje, że znajdą coś, co nakierowałoby ich jakoś na odnalezienie planet fundacji. Niestety.

Z kokpitu rozległ się odgłos pikania komputera nawigacyjnego.

Nadszedł czas – pomyślał Isaac.

Westchnął głęboko, wstał i spojrzał na Gilberta.

– Gilbercie...

Ten przerwał mu jednak odważnie.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – spojrzał poważnie w oczy pilotowi. – Nie mów nic. Wiem, co muszę zrobić.

Spojrzał na datapad, po czym ponownie, ale już łagodniejszym wzrokiem, na swojego kompana.

– Pozwolisz mi to zrobić samemu, proszę – to była prośba osoby, która chciała po raz ostatni spędzić chwilę z tym, co było dla niej praktycznie święte i bezcenne.

Isaac nie mógł odmówić mu tego. Wyszedł w ciszy i ruszył sprawdzić dane z komputera.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zapis trzydziesty pierwszy. *Kończą się zapasy i paliwo. Nie jesteśmy w stanie wytworzyć nowego. Na razie tylko trzy osoby o tym wiedzą. Jesteśmy bardzo daleko od jakiegokolwiek kolonii.*

Wyskoczyli.

Pusta przestrzeń rozpościerała się w każdą stronę. W zasięgu wzroku nie było widać niczego.

Gilbert obserwował dane z komputera, by pomóc pilotowi określić, jaki był cel ich podróży z tajemniczych koordynatów.

Byli naprawdę daleko od jakiegokolwiek układu. Najbliższa gwiazda była nie większa niż ziarno Skaa. Można by powiedzieć, że po prostu wykonali kolejny skok na długiej trasie do celu. Tyle, że to właśnie był ich cel.

– Urządzenia niczego nie wychwytyją – powiedział pewnie profesor. Przez ostatnie doświadczenie sporo się nauczył o nawigowaniu i w pełni pomagał teraz Isaacowi po każdym przeskoku. – Jest czysto. Na pewno dobrze skoczyliśmy?

Isaac w skupieniu wpatrywał się na stery.

– Nie ma mowy o pomyłce – powiedział obojętnie, ale dyskretnie, i tak kazał komputerowi określić ich lokalizację.

– Czy możliwe jest, byśmy się spóźnili? Że ten nasz wspólny znajomy odleciał już.

– Wątpię. Sam umawiałem się parę razy w pustce takiej, jak ta tutaj. Zwyczajem jest czekać około tygodnia w przód czy w tył. A my mieliśmy teraz najwyżej dzień opóźnienia.

Gilbert spojrzał ze zdenerwowaniem w głosie na przyjaciela.

– A jeśli to pułapka znów?

Przeszło to także i Isaacowi przez głowę, ale wątpił w to.

– Gdyby to była, to wychwyciłbyś teraz mnóstwo innych statków – wskazał mu głową na radar, któremu profesor, od czasu wejścia do systemu, się przyglądał. – Tak czy siak, chyba nie będziemy mogli skoczyć teraz nigdzie dalej, chyba że tylko na ślepo.

Profesor odetchnął, jednak z pewnym niepokojem.

Komunikator nagle znów zapiszczał niespodziewanie.

Obydwaj pasażerowie spojrzeli się na siebie. Pobudziło ich to równo.

– Co tam pisze? – spytał Gilbert, zaglądając przez ramię pilotowi.

– Dostaliśmy kolejny układ współrzędnych – odpowiedział Isaac. – Tym razem niedaleko nas.

Wskazał palcem na fragment mapy galaktyki, którą zarówno on, jak i Gilbert, mieli na swoich ekranach.

– Kierujemy się w stronę układu BX-12042. Czyli mówiąc ludzkim językiem, z grubsza przed siebie.

– Daleko?

– Około jednej standardowej jednostki.

– Dziwne – stwierdził Gilbert. – Mówiłeś mi wcześniej, że zasięg mamy na radarze do dwóch, więc czemu wciąż niczego nie widzę?

Isaac wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może statek jest maskowany, by nie dało się go wychwycić nawet niedaleko, dzięki czemu na tle kosmosu jest całkowicie niewidoczny dla oka ludzkiego. Kto wie? Za minutkę dowiemy się zapewne wszystkiego.

Będąc niecałe sto kilometrów od punktu docelowego, Isaac wskazał palcem na jeden z bocznych ekranów.

– Spójrz – powiedział do Gilberta i przekręcił jedną kontrolką. – To baza kosmiczna.

Profesor przysunął się blisko iluminatora, ale nie mógł dostrzec niczego.

– Gdzie ty ją widzisz?

– Tu na środku – wskazał palcem raz jeszcze.

Gilbert wypatrywał jeszcze przez chwilę, ale w końcu zauważył niewielki punkt w iluminatorze, który rósł i rósł, coraz szybciej, z każdą sekundą.

– Niesamowite. Dlaczego nie było go widać wcześniej?

– Tak jak mówiłem. Maskowanie i ekranowanie. Wystarczy ekranować wszystkie sygnały wychodzące z niej, a ciepło przechowywać w specjalnych systemach i bam!, jesteś niewidzialny. Było ją widać już trochę poniżej stu kilometrów, ale do tego trzeba mieć dobre oko i widzieć, czego się szuka. Tak więc, praktycznie jest niewidzialna.

Profesor przyjął to w milczeniu. Kolejna rzecz, której się nauczył od Isaaca. Tyle rzeczy, ile się już nauczył w trakcie ich przygody, nie mógł zliczyć, choćby bardzo chciał.

– Plan mamy następujący – powiedział mu spokojnie Isaac. – Nie przypuszczam, by skontaktował się z nami ktoś bezpośrednio, więc robimy rundkę dookoła i lądujemy.

– Czy znów będę musiał zostać na statku?

– Nie. Tym razem pójdziemy razem. I tak ogólnie sporo ryzykujemy. Twoja obecność może nam pomóc. Zobaczymy, kim jest ten nasz tajemniczy wspólny przyjaciel.

Wykonał ruch sterami i zaczął z wolna okrążyć stację.

Wraz z profesorem skupili całą swoją uwagę na iluminatorach.

Stacja z bliska wyglądała niezmiernie. Nie przypominała żadnej, którą by Isaac widział kiedykolwiek wcześniej. Co prawda, miała cechy charakterystyczne jak każda inna. Była zbudowana wokół wspólnej osi pionowej, na promieniu, do której były dobudowane poszczególne moduły. Co wyróżniało tę konkretną, poza jej stosunkowo niewielkim rozmiarem, było to, że była w pełni najeżona uzbrojeniem. Dziwnym natomiast było to, że poza nimi samymi, żaden statek nie był obecny. Szczerze, to bardziej wyglądała mu ona jakby była w pełni opuszczona i zaniechana.

Chociaż całe uzbrojenie było wciąż trochę onieśmielające i zapewne w sytuacji awaryjnej na chodzie zbliżył okręt na bliższą odległość.

Lekki dreszcz przeszedł mu po plecach.

Standardowo na górnej połowce znajdowały się wloty do hangarów, zarówno mniejszych do jednostek takich jak ich statek, ale też i parę ogromnych, dla krążowników liniowych.

Większość z nich była otwarta.

Isaac potraktował to jako zaproszenie i wleciał do pierwszego lepszego.

Gładko wylądowali. Automatyczny system zamknął za nimi gródź i wprowadził atmosferę.

Platforma lądowiska była całkowicie pusta.

Brak za to jakiegokolwiek komitetu powitalnego.

– A co, jeśli nikogo tu nie spotkamy? – spytał trochę zdenerwowany profesor.

– Wtedy rozejrzemy się po okolicy i odlecimy. Nie ma co kusić losu. Wątpię jednak, że długo będziemy się cieszyć samotnością – odpowiedział i wskazał profesorowi, by poszedł na nim do rampy wyjściowej.

– W końcu dostaliśmy od kogoś wiadomość.

Rozdział trzydziesty drugi

Zapis trzydziesty drugi. *Był mały bunt w załodze. Informacja naturalnie wypłynęła. Umówiliśmy się na ujawnienie wszystkich informacji za dwadzieścia godzin przy wspólnym posiłku. Nie mam wyjścia. Misja jest ważniejsza niż załoga.*

Opuścili okręt, zabierając parę rzeczy ze sobą. W milczeniu ruszyli w kierunku wind. Cały czas obserwowali okolicę, ale nic poza nimi nie było. Pustka i cisza przerażały ich obojgu w podobnym stopniu.

Isaaca nurtowało jedno pytanie, w jaki sposób to wszystko wciąż funkcjonowało? By takich rozmiarów stację utrzymać po prostu „na chodzie”, były potrzebne nie lada fundusze. Chociaż przestrzeń kosmiczna była ogólnie łaskawa, to jednak niektóre części maszyn wymagały konserwacji, a reaktory wymagały stałego nadzoru i uzupełniania paliwa. Ktoś musiał się tym interesować. I to ktoś z nie lada kapitałem.

Wspólny znajomy. Kim ty jesteś?

Szli dłuższą chwilę prostym korytarzem w kierunku czegoś, co zdaniem Isaaca, było centrum dowodzenia. Po drodze nie spotkali, ani nie znaleźli niczego konkretnego, nie licząc pojedynczych skrzyń, luźnych paneli czy drobnego złomu. Po prostu pustka, nawet bez większych śmieci czy żadnych znaków upływu czasu.

Tajemnica spowijała wszystko.

Dochodząc do drzwi centrum kontroli, otworzyli i weszli do środka.

– Długo każecie na siebie czekać – odpowiedział im nagle czyjś poważny głos.

Isaac szybko przygotował i wycelował swój rewolwer w kierunku jednego z odwróconych do nich tyłem krzesel, stojących przy okrągłym stole.

– KIM JESTEŚ? PRZEDSTAW SIĘ! – krzyknął, odbezpieczając swoją

broń.

Krzesło, nie spiesząc się, obróciło się i oczom ich ukazał się mężczyzna, w mundurze wojskowym Akwariusza.

– Generał? – powiedział zdumiony Isaac i opuścił broń w zaskoczeniu.

Profesor był jeszcze bardziej zdumiony.

– Gdybym chciał cię teraz zabić, to zrobiłbym to – powiedział generał chłodno. – Opuściłeś broń, tak po prostu? Czego cię uczyłem całe te lata? Isaac skrzywił się. Generał go skarcił i wiedział, że miał słuszość.

Ale to był bez wątpienia jego generał.

Schował broń do kabury i zabezpieczył ją.

– Generale... – zaczął niepewnie. – Co tu się dzieje? Mógłbyś nam wytłumaczyć? Generał Huxley wstał od stołu i wskazał, by podeszli bliżej do niego.

– Rozumiem, że sam muszę się przedstawić. Znów mnie rozczarowujesz – spojrzał na profesora. – Profesorze.

Isaac nie skomentował tego. W ogóle zapomniał, że ci panowie się nie znają.

– Generał Huxley, rozumiem – powiedział jednak pierwszy profesor. – Isaac wspominał mi trochę o panu.

Generał skinął głową.

– To zaszczyt. Mam nadzieję, że mówił prawdę. Sporo mnie kosztowało wychowanie go na porządnego człowieka – uśmiechnął się krzywo i dodał. – I admirał teraz.

Wskazał na insygnia admirałskie na pagonie.

– Admirał...? – Isaac nie mógł wydusić z siebie nic.

Generał zignorował go i zwrócił się w kierunku profesora.

– Najmocniej przepraszam pana profesora za całe to zamieszanie i wplątanie pana w ten bałagan – powiedział. – Mam nadzieję jednak, że podróż się udała.

– Cóż, nie powiem, aby poszła zgodnie, z tym, co planowałem, ale z drugiej strony, nie mogę powiedzieć też, że się nudziłem – powiedział bardzo luźno i niezobowiązująco Gilbert.

Admirał uśmiechnął się pod nosem.

– Wspaniale – zwrócił się do Isaaca. – Jestem wam winny pewne wyjaśnienia. Zanim jednak to zrobię, chodźcie za mną.

Odwrócił się i dał znak, by poszli za nim.

Dwaj przyjaciele spojrzeli po sobie i bez żadnego wypowiedzianego słowa podążyli za nim.

Wychodząc z centrum dowodzenia, Isaac jednak przerwał ciszę.

– Genera... Admirale... Czy mógłbyś nam wyjaśnić, o co tu naprawdę, w tym wszystkim, chodzi? Dlaczego jesteśmy tutaj i jak to się ma do naszej sytuacji? – powiedział z lekkim oburzeniem.

W ogóle nie spodziewał się go tu. Cały czas przypuszczał, że generał chciał i musiał go oficjalnie aresztować. I że przez cały czas obecny jest na stacji COD-2 albo na samej planecie.

– Sytuacji waszej nie możecie naprawić – odpowiedział krótko i chłodno jego przełożony. – A raczej na pewno nieprędko. Sprowadziłem was tutaj, bym mógł wyjaśnić parę spraw. Takich, których nie mógłbym inaczej.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na Isaaca.

– Jestem ci przynajmniej tyle winien.

– Nie rozumiem.

Admirał nie odpowiedział, tylko wznowił krok i ruszył dalej przed siebie.

– Dojdziemy i do tego. Wiedźcie jednak, że nic wam tu nie grozi. Nie musicie się spieszyć – mówił, będąc cały czas odwróconym do nich plecami.

– Mamy czas. Zaczniście może od opowiedzenia swojej wersji wydarzeń. Z jak największymi detalami.

Isaac spojrzał na Gilberta zmieszonym wzrokiem.

Pojęcia nie miał, co o tym sądzić, jednakże wierzył Huxleyowi, że byli tu bezpieczni. A to się chwilowo liczyło najbardziej.

– Po naszym odlocie udaliśmy się zgodnie z planem na Stagitariusza – zaczął ostrożnie po chwili mówić Isaac. – Rzecz w tym, że tak naprawdę już wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Admirał szedł dalej nie odpowiadając, tak więc Isaac kontynuował.

– Zostawiłem profesora samego na uczelni, a sam poszedłem zaciągnąć

lokalnego języka – powiedział.

– Czyli, jak to ty, pójść się upić i szukać zaczepki pewnie – dopowiedział niespodziewanie admirał.

– To nie do końca tak było – zaczął tłumaczyć się zmieszany pilot. Czuł się skrępowany. Ze słów admirała wyczytał, że uważał go za mało odpowiedzialnego.

– Doszły mnie słuchy, że już tam naprawdę nieźle narozrabiłeś.

– Cóż, nie powiem, żebym był zadowolony z rozwoju sytuacji, ale...

– Zawiodłeś – powiedział zwięźle Huxley. – Miałeś chronić profesora, a zamknęli cię w celi.

– Właśnie chciałem się o to spytać – odpowiedział pewnie Isaac. – Skąd wiedzieli, że tam jestem i skąd mieli te dowody? Myślałem, że tamta sprawa została załatwiona przez Gaię, lata temu. Co to miało znaczyć i kim właściwie była tamta kobieta?

– Tego dowiesz się w swoim czasie. Kontynuuj.

Nie spodobał mu się ten ton. Huxley nigdy go nie rozpuszczał i rzadko bywał uprzejmy, ale coś tym razem w jego głosie było nie tak...

– Cóż, pewna osoba pomogła mi uciec, a następnie udałem się na poszukiwania Gilberta, którego w tym samym czasie porwał niejaki Garcia Pacano.

– To nie było częścią planu...

– Słucham?

Tym razem admirał zmieszał się lekko, ale po głosie nie dał po sobie tego poznać. Tylko lata wspólnych rozmów dały sygnał Isaacowi, że coś chciał ukryć.

– Nieważne. Kontynuuj.

– Znalazłem Gilberta w jego willi, skąd następnie uciekliśmy. W tym wszystkim podejrzane było to, że strażnicy przy wejściu, gdy wychodziliśmy, byli wszyscy martwi. Ktoś poza nami tam był.

Spojrzał na Gilberta.

– Nie wiem, jaką agendę miał ten Garcia, ale obawiam się, że nie spocznie, póki nie dostanie profesora w swoje ręce.

– Nim nie musicie się już martwić – odpowiedział stanowczo Huxley – Jego ambicja została silnie przytemperowana. Nie będzie już stanowił żadnego problemu.

Isaac nie chciał dokładnie wiedzieć, co miał myśli, mówiąc to. Gilbert też raczej wyglądał tak, jakby nie chciał znać dokładniejszych szczegółów.

– Następnie udaliśmy się na nasz statek, zgodnie z instrukcją owej wybawczyni, która była kobietą... – zawiesił głos, by dać admirałowi szansę na wypowiedź. Nie dostał jej, więc zmuszony kontynuował: – Później skierowaliśmy się na Capricę i nasz cel właściwy. Zgodnie z wytycznymi wyjawilem wtedy Gilbertowi wszystko.

– Doskonale – powiedział admirał, otwierając kolejne drzwi z rzędu już, w trakcie trwania tej rozmowy. Ciągłe zmierzali w tylko jemu znanym kierunku. – Co wam się tam udało dowiedzieć, co było na statku?

– Myliliśmy się. To nie był statek z Caprici – Isaac zrobił pauzę, przez którą spojrzął szybko na Gilberta. – Był on z Fundacji.

Admirał stanął w połowie kroku, po czym odwrócił się gwałtownie.

– Fundacja... Jesteś tego pewny? – zapytał śmiertelnie poważnie.

Isaac był zaskoczony tą reakcją. Przypuszczał, że admirał mógł wcześniej nic o niej nie wiedzieć, ale w takim wypadku ta wiadomość nie wywarłaby na nim takiego wrażenia. Tak samo, gdy wspomniał mu o niej w ambasadzie.

Zmieszany spojrzął na profesora. Uprzedził go podczas wcześniejszej rozmowy, by nie podawali zbyt wielu szczegółów, nieważne z kim przyjdzie im się spotkać. Admirał czy nie, przez ostatnie parę dni zbyt wiele się działo. Chwilowo nie mogli nikomu aż tak zaufać.

– Tak. Przynajmniej na taką informację natknęliśmy się na samym statku.

Admirał wydał się trochę bardziej ożywiony przez chwilę.

– Dowiedzieliście się czegoś więcej? Czegokolwiek? – pytał gwałtownie, jakby to chodziło przynajmniej o zdrowie jakiejś jego bliskiej osoby.

Isaac przełknął ślinę. Musiał być teraz wiarygodny, Huxley z pewnością wyciągnie z niego informacje, gdy odkryje, że sami coś ukrywają.

– Niestety nie. Udało mi się zdobyć co prawda dane z komputera

nawigacyjnego – admirałowi rozszerzyły się oczy i nastawił pilnie uszy. – Ale niestety były zbyt zaszyfrowane i uszkodzone, bym mógł je z miejsca rozkodować.

Admirał momentalnie wrócił do swojej standardowej, niewyrażającej żadnych uczuć miny. Isaac domyślał się, że w myślach wyraził pod jego adresem szereg przekleństw.

– Niedługo później pojawiły się statki zwiadowcze Caprici i generator statku utracił stabilność – spojrzał głęboko w oczy Huxleyowi. – Wszystko zostało utracone – powiedział jak najbardziej szczerze mógł. Wiedział, że mówienie prawdy jest najlepszym sposobem na kłamstwo. A to była prawda, teraz, gdy wszystkie dane razem usunęli.

Zapadła dłuższa cisza, w trakcie której admirał zaczął mrużyć coś pod nosem i utonął gdzieś we własnych myślach. Porozumiewawczym wzrokiem Isaac z Gilbertem próbowali dojść do tego, o co mu chodziło. Żaden z nich jednak nie miał najmniejszego pojęcia.

– Dzięki eksplozji statku udało nam się zgubić pościg i skoczyć bezpiecznie – wznowił historię Isaac. – Jednak gwarantuję, że nikt przy tym nie zginął. Co prawda o mało nas to nie spotkało, ale sami zwiadowcy byli za daleko. Profesor Gilbert tak zdestabilizował reaktor, by całkowicie zniszczyć okręt. Nie chcieliśmy, by wpadł w ręce wroga. Resztę historii już znasz chyba lepiej.

– Doskonale – odpowiedział beznamiętnie admirał. – Szkoda tylko, że wszystko poszło w gwiazdny pył.

Isaac wzruszył ramionami.

– Nie wiedzieliśmy, że to tak ważne jest – skłamał znów. – Pierwszy raz o Fundacji usłyszeliśmy.

Tym razem to admirał wziął głęboki wdech i zaczął wyjaśniać.

– Mało ludzi o niej wie. Tak jest lepiej, dla wszystkich – zatrzymał się i spojrzał po nich. – Sądzę jednak, że powinniście teraz wiedzieć więcej, skoro już na to się natknęliście. Prawdę mówiąc, będzie dużo lepiej, jeśli będziecie wiedzieć wszystko.

Zebrał przez chwilę swoje myśli, poprawił swój mundur i z początku,

choć niepewnie, to z każdym następnym słowem nabierał zarówno tempa, jak i pewności, mówiąc.

– Skoro już wiecie o istnieniu Fundacji, to czas wam wyjaśnić parę istotnych faktów. Zaczniemy od tego, że wszystko, w co wierzycie lub wiecie, o historii naszych kolonii, to opowieści wyssane z palca. Prawda, choć oczywista, chociaż dla niektórych może być zbyt bolesna.

Isaac z Gilbertem w milczeniu słuchali pilnie, co mówi admirał. Bardzo sami chcieli wiedzieć więcej. Zapewne wiedział on o paru dodatkowych szczegółach, tak przynajmniej wynikało z jego słów.

– Nasze kolonie powstały parę tysięcy lat temu, Ludzka Federacja Planet, zwana też Fundacją w skrócie, postanowiła założyć nasze dwanaście kolonii. Skąd oni pochodzili czy jaki cel mieli, tego dokładnie nie wiemy. Wiemy jednak, że są naszymi ojcami–założycielami i że żyli parę tysięcy lat temu. Nasi specjaliści badający pozostałe dowody mówią, że było to pomiędzy trzema a pięcioma tysiącami lat wstecz.

– Ale jak to się stało, że nikt o tym nie wie? – spytał Isaac, starając zrobić jak najbardziej realistyczną, szczerą, zaskoczoną twarz.

– Bo to tajemnica. Z tego, co wiemy, próbowali nas uchronić przed czymś złym. Ściśle strzegli nas przed tym, tak samo, jak przed odkryciem nawet tej informacji o nich za wcześnie. Na niektórych planetach z naszych dwunastu kolonii odkryto pozostałości po ich okrętach. Znalezione też przypadkiem parę zrujnowanych stacji w przestrzeni. Wszystkie w fatalnym stanie i jedynie ze strzępkami informacji. Jeśli, jak mówicie, byliście na jednym z tych okrętów, to pewnie zauważyliście archaiczność ich rozwiązań technologicznych.

Pokiwali zgodnie głowami.

– Tak, wszystko wyglądało naprawdę prymitywnie. Aż dziwne, że byli w stanie w ogóle odbywać loty kosmiczne – powiedział Isaac.

– Dokładnie, a jednak jesteśmy wielce przekonani, że to im zawdzięczamy nasze istnienie.

Admirał spojrzął po oczach swoich rozmówców.

– Gdybyście przypadkiem mieli coś, co mogłoby nas nakierować na nich,

to byłoby to dla wszystkich bardzo bezcenne. Dzięki takiej wiedzy moglibyśmy pokonać Capricę. Pomyślcie, co ci, którzy nas stworzyli, mogli osiągnąć przez ten czas?

Isaac przełknął ślinę. Wiedział, że stąpa po cienkim gruncie.

– Niestety gen... Admirale... Nic nie mamy – powiedział z przykrością i by odwrócić od siebie spojrzenie i uwagę, spytał: – Ale czy gdyby oni wciąż istnieli, to czy nie natknęlibyśmy się na ich ślad do tej pory?

Admirał przez chwilę badał bacznie wzrokiem młodego pilota, ale w końcu mu odpuścił.

– Tak... to jedyny problem. Jakąkolwiek mieli agendę, widać niestety nie do końca wypaliła. Albo nie chcieli się tą informacją z nami dzielić. Ogólnie masz rację, żadnych jasnych śladów po nich nie ma. Co prawda każda informacja mogłaby się przyczynić do odkrycia ich tajemnic. A kto pierwszy ją odkryje, będzie miał potężną broń w swojej ręce.

– Niesamowite – odparł nagle Gilbert, który przez większą część rozmowy w ogóle się nie odzywał. – Pomyślcie tylko, ile tak naprawdę o nich jeszcze nie wiemy. Jeśli naprawdę Fundacja nas założyła, to po prostu jest niesamowite. Bezwzględnie w takim razie trzeba ją odkryć – zwrócił się bezpośrednio do Huxleya. – Jeśli, Admirale, pozwolisz, to chciałbym skontaktować się z naszą uczelnią. Wierzę, że taka informacja wielce by ich zainteresowała.

– Niestety to niemożliwe, profesorze – przerwał mu szybko admirał. – Po pierwsze, to największa tajemnica, jaką mamy i nikt nie może o niej wiedzieć, przynajmniej póki go nie upoważnimy. Wiedza ta byłaby i jest zbyt cenna. A po drugie przypominam, jesteście teraz traktowani jako zdrajcy. Nikt wam nie uwierzy. A dodatkowo wszyscy będą mieli was na oku.

– Skoro o tym mowa – dołączył się Isaac – to co z nami? Co z profesorem? Został on niezastudzenie w to wplątany – rzucił przelotne spojrzenie na profesora, po czym poważnie wpatrywał się w admirała. – Jak zareagowało ciało naukowe uniwersytetu na to?

Przełożony przez parę sekund nie raczył go odpowiedzią, ale w końcu złamał się i odezwał beznamiętnym głosem.

– Z tym niestety nic nie możemy zrobić. Profesor został oficjalnie skreślony jako hańba uczelni. To było i jest poza moja kontrolą i władzą. Gdy tylko sprawy trochę przycichną, powinno udać się to odkręcić, ale na chwilę obecną nikt z was nie ma prawie żadnej przyszłości, w większości z naszych dwunastu kolonii. Przykro mi.

O ile Gilbert przyjął to ze smutkiem i obojętnością, to w Isaacu zaczęła się zbierać burza emocji. Czuł się odpowiedzialny za swojego przyjaciela. Stawał się zły, i nie za to, jaki los trafił się jemu, ale za to, że cały dobytek i praca tego człowieka zostaną teraz bez żadnej uwagi cofnięte i zlekceważone. Był gotowy krzyczeć i walczyć, gdyby nie to, że zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nic by to nie dało w rzeczywistości.

Skupił więc cały gniew i frustrację na admirał, spojrzawszy morderczym spojrzeniem.

– Jest jedna dobra wiadomość – dopowiedział Huxley, widząc, jak gniew iskrzy się w oczach młodego pilota. – Powiem, że chyba powinna cię ucieszyć ona, profesorze; jako szefa instytutu zastąpi cię twoja asystentka, Anastazja.

Gilbert pokiwał tylko ze zrozumieniem głową, ale z przybicia nie był w stanie nic powiedzieć. Pod nosem dodał tylko bardzo cicho:

– Cóż, i tak miała mnie zastąpić... – po czym znów spuścił głowę. Naprawdę go przybiło, że praktycznie instytut wyparł się go. To był jego dom, jego całe życie.

– Przykro mi – odpowiedział admirał. – Dlatego też was tu zebrałem – powiedział, zatrzymując się przed ogromnymi wrotami, prowadzącymi do jednego z hangarów na stacji.

– Będziecie musieli udać się na wygnanie. Jesteście już poszukiwani w większości systemów i nie zmieni się to w najbliższym czasie. Wszystkie lokalne źródła informacji o was trąbią. Nie powinno być osoby, która by o was nie słyszała. Bałagan zrobił się na tyle duży, że nie sposób go teraz powstrzymać. Staliście się nieświadomie kozłami ofiarnymi.

– Powiedz nam coś, czego jeszcze nie wiemy – odgryzł się już lekko zirytowany Isaac.

Admirał spojrzał na niego i jak gdyby nic odpowiedział:– Jest pewna

grupa bardzo wpływowych ludzi, którym też bardzo zależy konkretnie na was.

To było bezpośrednio i chłodne stwierdzenie faktu. Jak gdyby stwierdzić, że wczorajszy chleb jest suchy.

Isaaca poczuł się zaintrygowany. W milczeniu wyczekiwał dokładniejszego wyjaśnienia.

– Grupa ta zaaranżowała prawie wszystkie zdarzenia, z jakimi mieliście styczność – kontynuował beznamiętnie, ale poważnie Huxley. – Jedynym powodem, dla którego jeszcze żyjecie jest to, że stanowicie pewną wartość dla tych ludzi i to, że dzięki waszym zdolnościom, udało wam się uciec w dobrej chwili.

– Nie rozumiem? – odpowiedział Isaac i spojrzał na równie zdziwionego teraz profesora. – Skąd, jak, kto, dlaczego?

– Ponieważ sam jestem jej członkiem.

– Że jak? Chcesz powiedzieć, że...

– Że każdym waszym działaniem manipulowaliśmy efekt wyjściowy, w jakiś sposób.

Młody pilot nie wiedział, co powiedzieć. Ta informacja nadeszła zbyt szybko. Nie był gotowy na coś takiego.

– Ale dlaczego nam o tym mówisz, w takim razie? To nie ma sensu.

– Bo nie chcę, byście zostali złapani – odpowiedział krótko i sucho. – To jedyny powód.

– Nie. Nie. Nie. Nie wierzę ci... Kim wy jesteście...? Admirał stał jak posąg. Wciąż nie wykazywał żadnych emocji. Stał i po chwili tłumaczył dalej:

– Kim dokładnie inni są, nie wiem. Wiem tylko, że należą do różnych innych kolonii i nie są to ludzie, którym chciałbyś wejść w drogę. Oni nie cofną się przed niczym. Wierz mi.

– I ty nas wysłałeś na misję, która, jak mówisz, była cały czas sterowana? – powiedział oburzony Isaac, podchodząc bardzo blisko do samego admirała i grożąc mu palcem.

– Gdyby była w pełni, to nie musiałbym cię wysyłać. Chroniłem was jak tylko mogłem. Udostępniłem wam o parę szczegółów za wiele, dzięki czemu

cały czas tu jesteście.

Isaac nie mógł w to uwierzyć.

– Chroniłeś? A co z patrolem na Capricii, albo uwięzieniem mnie na Stagitariusie, nie mówiąc już o porwaniu profesora i oznaczeniu nas zdrajcami?

Z gniewu przestawał bardzo szybko panować nad sobą. Choć zdawał sobie z tego sprawę, nie przeszkadzało mu to w zupełności.

– Nie bądź dzieckiem. Nie myśl, że wszystko zawdzięczasz sobie. Przy ucieczce z więzienia pomógł wam nasz człowiek. Ta kobieta była i jest naszą agentką wysłaną teraz, by was pochwycić. Nie przestanie was gonić. To ostrzeżenie dla was. Miejcie się na baczności.

– Nasz? – młody pilot wyrzucił z siebie, ale nie dostał odpowiedzi. Admirał również zaczął tracić cierpliwość, odpowiadając na te wszystkie dziecinne pytania.

– Garcia był nieprzewidzianym wypadkiem. Nie mieliśmy kompletu informacji. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że zdecyduje się na taki ruch i że ma wystarczające środki, by dojść do twojej, ukrytej przez nas, przeszłości – spojrzał gniewnie w oczy swojemu niedawnemu podwładnemu. – Jak myślisz, kto posprzątał cały bałagan polityczny po tym? Nie było nam bardzo na rękę, by wyszło, że profesora porwał byle jaki mafioso. To mu nie mogło ująć na sucho.

Machnął agresywnie ręką w powietrze.

– Patrol nad Capricą był akurat zaplanowany. Doskonale wiedzieliśmy, gdzie i kiedy będziecie. Wasza przygoda miała wtedy właśnie się skończyć.

– Śledziliście nas?

– To się nazywa odpowiedzialność. Jak mówię, nie chcesz wejść w interes tym ludziom, z którymi mam, co drugi dzień, do czynienia. Im zależy tylko na ich inwestycji i dopilnują, by sprawa została zakończona po ich myśli. Miałem nadzieję tylko, że uda ci się wykorzystać twoje naturalne zdolności, w tym i inteligencję, i uciec pogoni. I nie myliłem się. Na wasze szczęście.

Gdyby tylko mógł, Isaac rzuciłby się z gołymi pięściami na admirała i rozerwałby go na strzępy. Jeśli to, co mówił teraz było prawdą, to zdradził go

i zniszczył całe zaufanie i szacunek, jakie do niego nazbierał przez te wszystkie lata.

– Zdrajca! – a wierzył wcześniej, że admirał pomagał im na Librze, bo miał związane ręce i był zmuszony do tego.

Admirał chłodno na niego spojrzał.

– Gdybyś nie był dzieckiem, wiedziałbyś, że czasem są sytuacje, nad którymi nie mamy kontroli.

– Zawsze ma się wybór – Isaac odpowiedział krótko, po czym zapadła dłuższa niezręczna cisza.

Profesor przyglądał się w milczeniu tej dwójce, nie wiedząc co powiedzieć. Z jednej strony sam nie potrafił jeszcze w pełni pojąć i pogodzić się z zaistniałą sytuacją, a z drugiej za mało też wiedział o temacie, nie mówiąc już o admirale, którego dopiero co spotkał. Z tego co mu Isaac opowiadał, był on dla niego jak ojciec. To by usprawiedliwiało cały ten wybuch gniewu. Z drugiej strony podobno był człowiekiem bardzo inteligentnym. Nikt nie mógł służyć ponad połowy swojego życia w GAI, jako głównodowodzący i nie być nim. Musiało być coś jeszcze, o czym żaden z nich nie mówił.

– Admirale – zaczął, rozpraszając ciszę. – Dlaczego nas tu sprowadziłeś?

Admirał rzucił tylko milczące, gniewne spojrzenie na swojego byłego podwładnego, ale grzecznie i spokojnie odpowiedział Gilbertowi.

– Nawet, jeśli mi nie wierzycie, to jestem po waszej stronie...

– Jasne... – wtrącił się naburmuszony Isaac, ale obydwaj starsi od niego panowie go zignorowali.

– Do tej całej grupy zostałem wciągnięty na siłę i zależy mi bardzo, by im się nie udało. Jednakże nie mogę tego publicznie pokazać, ani mówić o tym.

Wskazał na Isaaca.

– Dlatego właśnie wybrałem cię do tej misji, miałem zaufanie, że uda ci się pokrzyżować plany wszystkich. Zresztą byłeś i wciąż jesteś ich celem. A tak łatwiej było wami kierować.

Pilot rzucił spojrzenie pełne nienawiści w jego stronę i miał już się ruszyć, ale spokojna dłoń profesora położona na jego rękę go powstrzymała.

– Z tego, co mi się udało dowiedzieć – kontynuował admirał – na tobie, profesorze, zależało najbardziej Caprice. I to w ich ręce miałeś właśnie wpaść.

Isaac, choć myśli miał zajęte snuciem, w jaki sposób zrewanżować się Huxleyowi, potrafił przyznać mu rację.

Gdyby tylko Caprica posiadała technologię aero–atomowych reaktorów, praktycznie w następnej wojnie byłaby nie do powstrzymania.

– Ty natomiast – zwrócił się do pilota – byłeś przeznaczony dla kogoś, kogo dobrze znasz.

Isaac zrobił zdziwioną minę. Nie wiedział, o kim on mówi. Miał i tak na karku dosyć długą listę wrogów, by zastanawiać się, który z nich najbardziej mu zagrażał.

– Komuś, kto w przeciwieństwie do mnie, prawdziwie zdradził cię i wymagał o wiele więcej niż ja kiedykolwiek.

Jak piorun nagle przebiegła myśl mu przez umysł. To była osoba, którą praktycznie chciał, gdyby tylko mógł, wymazać całkowicie ze swojej historii.

Nie! Jeśli to on, to niemożliwe.

– Tak, widzę twoja intuicja dobrze wciąż ci służy. Dokładnie on. Twój ojciec. Casimir Vomisa – powiedział admirał, widząc jak w oczach Isaaca pojawiają się iskry paniki i walki ze swoją osłabioną wolą.

– Nie... Nie...– Tak, pomimo że nie jest on na stałe w naszej organizacji, jak sam wiesz, jest to człowiek o na tyle dużych wpływach, że udało mu się dojść do jakiegoś porozumienia z naszym liderem. W zamian za ciebie, obiecał pełną pomoc i poparcie wobec wszystkich planów Lidera, którego nazywamy Pierwszym Mówcą.

Isaac nie chciał w to wierzyć. Myślał, że ojciec o nim całkowicie zapomniał, tak samo jak on chciał zapomnieć o nim. Prawdą było, że był według prawa spadkobiercą rodu, ale z tego też samego powodu, nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Nawet na pieniądzach mu tak bardzo nie zależało, gdyby miało do tego dojść. Chciał zawsze być wolny i nieskrępowany wymaganiami narzucanymi mu z zewnątrz. Należał mu się

szacunek i należała mu się jego niezależność. Nie zamierzał znów niczego nikomu udowadniać. I tak zrobił to już zbyt wiele razy w przeszłości.

– Jaka jest w ogóle ta wasza agenda? Poza porywaniem oczywiście – spytał ostrożnie, próbując odzyskać kontrolę nad sobą.

Admirał przecząco pokiwał głową.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – drobna żyłka drgnęła Isaacowi. On, teraz już Admirał Caprikańskiej GAI, człowiek bezpośrednio odpowiedzialny za wywiad kolonii, nie wiedział.

– Zostałem w to wciągnięty przez nasz rząd, wbrew swojej woli – odpowiedział sucho Huxley. – Gdy zostałem zaproszony do wewnętrznego kręgu, odkryłem, że jest już za późno. Nie miałem wyjścia. Muszę być z nimi. Zarówno moje bezpieczeństwo, jak i całej kolonii, na tym spoczywa.

– Ale nie nasze...

– Nie bądź śmieszny. Wy byliście i jesteście bezpośrednim celem. I tak zrobiłem wszystko, by zapewnić wam najlepsze środki na przeżycie.

– Jakoś wierzyć mi się nie chce...

Admirał nic nie odpowiedział już. Musiał przegryźć się przez własną porcję goryczy. Frustracja młodego pilota była w większości uzasadniona. Nie mógł im powiedzieć więcej, chociaż bardzo chciał. Pozostało mu jeszcze tylko jedno.

– Admirale... – wtargnął grzecznie profesor i ze szczerą ciekawości spytał: – Dlaczego nas tutaj sprowadziłeś?

Huxley bez słowa odwrócił się i podszedł do jednej z konsol przy ścianie, z ogromnymi wrotami do hangaru.

– Chciałem wam dać jeszcze jeden prezent – mówił odwrócony plecami.

– Coś, dzięki czemu, mam nadzieję, przetrwacie całe to zamieszanie.

Wcisnął przycisk od otwierania wrot.

Wrota powoli zaczęły się rozpościerać.

Ich oczom ukazała się sylwetka statku. Statku, który był bardzo dobrze znany Isaacowi.

– To mój statek! Ikra!

Isaac, nie patrząc się na admirała, szybko zerwał się, podbiegł do kadłuba statku i baczny okiem zaczął się mu przyglądać. Nie widząc nic nietypowego, gniewnie spojrzął się w kierunku admirała i rzucił:– Co mu zrobiliście, dlaczego tu jest?

Admirał z początku całkowicie go zignorował i gestem zaprosił profesora, by i ten podszedł w kierunku statku. Podeszli do nerwowo czekającego młodego pilota.

– To jest mój ostatni prezent dla was, jaki mogę zaoferować – powiedział beznamiętnie. – Nikt nie wie, że jest on tutaj. Użyłem wszystkich znanych mi kanałów, by go tu przemycić i by przypadkiem zniknął całkowicie z zapisków GAI.

Isaac zdawał sobie sprawę, że musiało być to nie lada wyzwanie organizacyjne. Coś tak dużego jak ten statek nie było rzeczą, która mogła tak po prostu zniknąć. Czuł, że powinien podziękować admirałowi za to, ale gniew jeszcze nie zszedł mu do tego stopnia. W sercu jednak poczuł odrobinę pozytywnego uczucia, którego chwilowo nie chciał czuć.

– Oddacie mi swój obecny statek i polecicie tym – kontynuował Huxley. – Obiecuję, że nie jest w żaden sposób śledzony. Szczerze zależy mi na tym, byście zostali niewykryci. To jest jeden z najnowszych i najszybszych statków, jakie mamy w dyspozycji. Nie wliczając w to twoich prywatnych modyfikacji.

Podszedł i otworzył wejście do statku.

– Jest w pełni zaopatrzony. Zdaję sobie sprawę z tego, że paliwo do silnika aero-atomowego może być wam ciężko zdobyć, dlatego też ponad połowa ładowni jest nim załadowana. Gdyby jednak zaistniała taka potrzeba, zawsze możecie przybyć na tę stację. Ona także jest już od wielu, wielu lat wymazana z kartoteki GAI.

Isaac, wchodząc do statku, nie odkrył nic innego w stosunku do tego, w jakim stanie go zostawił na porcie stacji orbitującej dookoła Akwariusa.

Chwilę później dogonił admirała w jednym pomieszczeniu okrętu.

– I co, mamy tak latać do końca naszych dni, całkowicie bez celu, rozglądając się co skok, czy nie mamy was jako cienia na swoich plecach? –

spytał.

Huxley zatrzymał się na środku korytarza wiodącego do kokpitu i odwrócił się w jego stronę.

– Nie! – odpowiedział krótko. – Mam dla was inną misję.

Isaac zmrużył oczy.

Nie ma nic za darmo.

– Wiedziałem, że musi być haczyk.

– Niepotrzebnie się złościysz. Jak mówiłem, zrobiłem, co tylko mogłem.

Nie bądź dzieckiem.

– Słyszeliśmy to już, powtarzasz się – odgryzł się.

– Chcę ułatwić wam to wygnanie. Dostajesz swój statek, bazę, o której tylko wy będziecie wiedzieć, i dla waszych potrzeb nieograniczoną liczbę środków. W komputerze dostaniesz wiadomość, jak będziecie mogli mieć do nich dostęp.

– W zamian za...– W zamian za znalezienie Fundacji.

Słowa te zamurowały zarówno profesora, jak i Issaca.

– Chcesz byśmy znaleźli Fundację?!

– Tak. Tylko wy spokojnie będziecie mogli jej teraz szukać. W komputerze są też informacje, które wam wcześniej przekazałem na jej temat. Dodatkowo macie pewnie pewne własne doświadczenie ze statku. Wierzę, że ona istniała i że wciąż istnieje. Tylko ona może nam pomóc. Zarówno przeciwko Caprice, jak i radzie, w której jestem.

– Nie wierzę.

Generał nie zwrócił na jego komentarz większej uwagi i zwrócił się bezpośrednio do profesora.

– Profesorze, dla pana, jako człowieka nauki, jest to okazja do wielkiego odkrycia. Wiem, że jest pan wielce skuszony tą propozycją.

– Tak, ma pan admirał rację. Nie mogę zignorować takiej możliwości.

Isaac spojrział z niedowierzaniem na profesora.

– Chyba nie zgadzasz się na to, Gilberte? Przed sekundą przyznał się nam do zdrady i że stał za tym wszystkim – wyrwał się młody pilot.

– Rozumiem twoją frustrację, ale pomyśl, możemy być pierwszymi,

którzy odkryją nasze pierwotne pochodzenie. Nie uważasz tego za ekscytujące? Isaac nie mógł uwierzyć, że profesor złapał tak łatwo haczyk.

– Uważam. Ale to nie powód, by się tak zgadzać.

Admirał patrzył w ciszy, jak pozostała dwójka przez chwilę dyskutuje ze sobą, ale w końcu wtrącił się im pomiędzy słowa.

– Nie musicie się zgodzić – powiedział spokojnie. – Powiedziałem, że jest to rozkaz, ale tak naprawdę, to jest prośba z mojej strony. Nie chcę, by wam się coś przytrafiło, latając po przestrzeni naszych kolonii.

– Dlatego nas wysyłasz na uganianie się za duchem – odgryzł się pilot.

– Który istnieje, a przynajmniej istniał. Sam zresztą byłeś na ich statku.

Isaac nie mógł zaprzeczyć temu.

– W ten sposób będziecie bezpieczni – westchnął admirał. – Jeśli naprawdę nie będziecie chcieli, to możecie tu zostać, albo latać w jakimś innym celu. Ale naprawdę zależy mi, byście byli bezpieczni i mieli co robić. Jesteś dużo bardziej niebezpieczny, gdy nie masz nic do roboty.

Isaac walczył ze sobą. Potrafił przyznać rację logice admirała. Nawet zgadzał się z nią i rzeczywiście wolał udać się w jakąś przygodę, niż spędzić na tej stacji najbliższych paręnaście lat. Taka bezrobotna perspektywa nie była czymś, co by go pociągało. Ale nie mógł też wybaczyć mu wszystkiego. Nie tak szybko. Komplement komplementem, ale nie może mu tego puścić płazem.

– Zgoda – odpowiedział. – Widzę po oczach i z doświadczenia czuję, że profesor Gilbert również się zgadza.

Profesor odpowiedział skinieniem głowy.

– Ale... – mówił dalej – chcemy być, jak to będzie tylko możliwe, informowani o wszystkim, co się będzie działo na Akwariusie. W szczególności o wszelkich staraniach dotyczących oczyszczenia imienia profesora.

Admirał słuchał.

– Udamy się w tę podróż i niech mnie piekło pochłonie, gdy wrócimy, nasze kartoteki niech będą czystsze niż Jezioro Łez na Leo.

Huxley skinął tylko głową.

Rozdział trzydziesty trzeci

Zapis trzydziesty trzeci. *To także moi bracia. Ale musimy chronić nasze dzieci. Jesteśmy tylko ludźmi i zbyt łatwo ulegamy pokusom. Nasza misja tu się kończy. Nie uda się nam skoczyć nigdzie, napęd podświetlony jest zbyt uszkodzony. Ktoś zrobił sabotaż. Nie możemy pozwolić, by wygrali Oni nad nami. To ostatni zapis. Fundacja ponad Wiecznością.*

Przeniesienie rzeczy z jednego okrętu na drugi nie zajęło im dużo czasu. Chociaż Ikra była zdecydowanie mniej podróżno–przyjaznym okrętem niż ich poprzedni, Isaac wreszcie czuł się jak u siebie. Ten okręt był przedłużeniem jego rąk i duszy. Znał każdy jego szczegół. Mając teraz nawet do dyspozycji niewielki arsenał, czuł się znacznie bezpieczniejszy.

Po szybkim sprzątnięciu oddał profesorowi swoją kabinę, a sam przeniósł się do luku bagażowego. Niestety, to nie był pojazd przystosowany do stałej kabiny dla większej liczby osób. Umieścił swoje poślanie pomiędzy skrzynkami z paliwem do reaktora i amunicją. Mało wygodnie, ale nie przeszkadzało mu to. Tym razem spędzi jeszcze więcej czasu przy komputerze. Ta misja miała zupełnie inny charakter i będzie od niego wymagała jeszcze większego skupienia.

Generał po powiedzeniu im jeszcze paru mniej znaczących szczegółów oddalił się w głąb bazy, prawdopodobnie do swojego osobistego statku, albo zabezpieczając ją też od innych potencjalnych odkrywców.

Znów zostali sami.

Tylko on i profesor...

I nowa przygoda.

– Rozumiem, startujemy – Gilbert usadowił się wygodnie na siedzeniu drugiego pilota i zaczął podawać Isaacowi parametry startu. Sprawiał

wrażenie już teraz, jak gdyby był zaprawiony w takich podróżach.

Isaac uśmiechnął się pod nosem. Stali się zgranym zespołem.

– Tak, Gilbercie, chodźmy odnaleźć Fundację.